

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/127

1958



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. NOWAKOWSKI :

WYPRAWA WIEDEŃSKA

Zd. BRONCEL : **TRAGEDIA AMERYKAŃSKA**

SPIS RZECZY

Tadeusz Nowakowski: *Wyprawa wiedeńska* 3

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *Dla kogo zbroimy Niemców?* 61
Londyńczyk: *Kronika angielska* 68

WOLNA TRYBUNA

Zygmunt Zaremba: *Medytacje na trasie W-Z (W odpowiedzi J. Mieroszewskiemu)* 75

K R A J

Wł. Ledóchowski: *Notatnik z podróży do Polski* 81

SPRAWY I TROSKI

Adam Jaworski: *Polonia kanadyjska w gąszczu cyfr* .. 89

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Witold Babiński: *Na marginesie polemiki* 97

KRONIKA KULTURALNA

Zdzisław Broncel: *Tragedia amerykańska* 107
Józef Czapski: *Czy należy zabić Buffeta?* 122
Klara Szpakowska: *List z kresów* 130
— *Komunikat* 132

KSIAŻKI

Paweł Hostowiec: *Drugi krok w chmurach Marka Hłasko* 133
Zbigniew Czajkowski i
Bolesław Taborski: *O polskiej technice powstań* 137
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 147

◆
St. Zamoyski, M.K. Pawlikowski, M.T. Chyliński, A. Uziębło, M.H. Garwin, B. żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, W. Jastrzębiec, Z. Szpikowski, St. Chmielewski: *Listy do Redakcji* 149

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1958

INSTYTUT



LITERACKI

Ś T P

LUDWIK RUBEL

Dziennikarz, żołnierz, emigrant

Zmarł w Londynie dnia 10 kwietnia 1958 r.

Redakcja "Kultury"

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Ks. Artur Słomka, Ramsey, N. J. (USA) 2.250 fr.

DZIĘKUJEMY

Wyprawa wiedeńska

Teatr z Polski przyjechał do Austrii na niecały tydzień. Z braku dewiz, jak pisała prasa, byli u nas wszystkiego sześć dni, nie więcej. Występowali przez pięć wieczorów, bo w niedzielę Paździorek dał im wolne. A więc byli u nas od zeszłej soboty do tego czwartku...

Tak, dzisiaj mamy czwartek, wczoraj była środa... A zatem przedwczoraj, we wtorek, Henryk spotkał się z małą Paluchówną po raz trzeci. Po przedstawieniu, przy pełni księżyca, wybrali się za miasto.

Marychna zarzekła się, że nie jest narzeczoną Paździorka. Podnosiła dwa palce w górę, brała niebo na świadka, chociaż cała „Jutrznia” zapewniała Henryka, że ślub ich odbędzie się lada tydzień, najprawdopodobniej tuż po powrocie zespołu z Wiednia do Krakowa. „To ich podróż przedślubna” — szydził dekorator Orzeszek.

— Owszem — broniła się Marychna z rumieńcem na twarzy — chodziłam z nim, bo musiałam. Paździorkowi żadna odmówić nie może, bo on ma wpływy w komitecie i jest mściwy z natury, urodził się pod znakiem Skorpiona. Jeden jego telefon, i człowiek jest bez pracy. Owszem, zgadza się, spałam z nim raz czy drugi, tak jak inne, jak Kozłowska, jak Kaźmierczakówna, jak siostry Olczak, ale nie po dobroci, tylko z czystego przymusu. To nie była miłość. I choćby się chciał ze mną ożenić, a wiem że chce, i tak nic z tego nie będzie, bo lepiej już być bez pracy niż całe życie żyć z Paździorkiem. On każdą dziewczynę z naszego zespołu nazywa swoją „narzeczoną”. Może mnie i kocha, tego nie wiem, i nic mnie to nie obchodzi...

Akurat! Nic ją to nie obchodziło, mówiła jednak na ten temat od trzech dni bez przerwy.

Biedny Paździorek — pomyślał Henryk, rozkładając pałto na ziemi. — Wypożyczam sobie jego dziewczynę. Nawet chłopak nie przeczuwa, jak szpetnie go tutaj „oszwagrzam”.

Właściwie nie powinien mieć do mnie żalu — roześmiał się w duchu. — Jestem, co prawda, jego „wrogiem” klasowym i politycznym, „złym emigrantem”, a jakże, ale za to on jest przysięgłym wrogiem prywatnej własności. Srogi komunardzik nie upowszechniający swej narzeczony, czyż to nie sprzeczność sama w sobie?

Spojrzał na Marychnę bez sympatii. Po co ta wycieczka za miasto, eskapada z trzeciorzędnego romansidła? Czy warto młokosowi Paździorce „na złość” wciągać dziewczę w zarośla? Przyprószone księżycowym pyłem, wygląda jak topielica. Trupio blada, nieduża, zabiedzona. Włosy pachną spalenizną. Musiała je przypalić rurkami. „Obiecujący narybek naszej sceny”, godny Paździorca i jego arcyłudowej „Jutrznii”!

— Czy wierzysz w miłość od pierwszego wej...

— Oczywiście — poglądził ją po włosach.

— Dobrze ci ze mną?

— Dobrze. A tobie?

Znał to bla-bla na pamięć, aż do znudzenia.

— Dobrze.

Szybko i zajadle zaczął wydeptywać legowisko w mokrym listowiu.

— Czy mogę ci zaufać?

— Możesz — odpowiadał machinalnie.

Zawsze ten sam scenariusz. Jeszcze moment, a rozpocznie się ów „zenujący ‘strip-tease’ psychiczny” (Wyrażenie mecenasa Lacha).

Po co ja to robię? — zezłościł się na siebie. — Po co, u diabła?

— Ja naprawdę tego Paździorca nie...

— To dobrze — przerwał jej. — Usiądźmy na chwilę.

Księżyc mnie w oczy razi.

— Jak można powiedzieć „księżyc mnie w oczy razi” — roześmiała się przytulnie. — Można powiedzieć: „słońce mnie w oczy razi”, ale nie „księżyc mnie w oczy razi”...

Ogarnął ich chłód trawy, zaskrzypiało łamanymi gałązkami.

— To mój pierwszy wyjazd za granicę...

Mówiła, jak trudno dzisiaj dostać paszport i wizę. Nie słuchał. Męczyły go te zdania, wypowiedane zbyt ciepłym i serdecznym tonem. Chętniej posłuchałby w tej chwili rubasznego żartu.

— Jak tutaj pięknie, jak inaczej.

— Od dawna nie słyszałem naszej mowy — zmienił głos.

— Tyle lat wśród obcych...

Nowa nieuczciwość: stale przebywał wśród swoich, mówił po polsku od rana do wieczora. Ale tak trzeba: cietrzew tokuje, kogut wystawia grzebień, a mężczyzna kłamie.

— Biedaku... — objęła go za szyję.

Tak, to rzeczywiście rurki, kuchenne rurki i słodycz wody kolońskiej.

— Więc co z tym Paździorkiem? — zapytał.

— Koniec! — zawołała uroczyście. — Już nigdy więcej! Nigdy!

— To dobrze.

Czas włócił się. Pachniało zgniłą korą i wczesno wiosenną wilgocią. Mokra trawa kleiła się do rąk i twarzy. Na drugim brzegu Dunaju, w głębi przysłoniętego gałęziami horyzontu, dudnił nocny pociąg. A tutaj, w mroku, bielily się dziewczęce kolana.

Raz jeszcze odkrywał starą prawdę, że doświadczenie jest najzbędniejszym nabytkiem pod słońcem. Nie ma to jak być młodym, brać wszystko piekielnie na serio i w ogóle znaleźć się w podobnej sytuacji po raz pierwszy w życiu. Właśnie w takich kłopotliwych momentach miał ochotę po łobuzersku zepsuć całą zabawę, wydrwić każde słowo, wygwizdać napuszone „misterium” na palcach. Złym okiem notował każdy szczegół z fotograficzną dokładnością, z czujnością karykaturzysty czyhał na wyszydzenie „wzniołej chwili”.

„Jedno wam, zasmarkane kapucyny, powiem — przypominał mu się sierżant sprzed wojny, postrach dywizyjnego kursu podchorążych — że to dla nas, mężczyzn, żadna przyjemność. Przekłamane. Od góry do dołu!” — A sierżant chyba wiedział co mówi. Nazywano go „dziwkoadem”. Co wieczór odzywał się kobiecym mięsem. Jak hiena padliną.

— Mój Boże... — westchnęła Marychna. — Tyle szczęścia...

„Szczęścia”! Znowu ten śmieszny banal. Tyle kłamstwa — pomyślał. — Tyle fałszywej literaturki, kicz-poezyjki, deseru dla bon i kucharek. Zwierzęta stoją od nas wyżej: nie kłamią. Który to głuptas powymyślał te wszystkie słowne zakrętaszy: „twarz jej wypiękniała w blasku pożądania”... Albo: „w jej oczach malowało się szczęście oddania się ukochanemu mężczyźnie”. Brr!

Istna makabra z tą pełnią, księżyc nawet przez gałęzie prąży jak reflektor. Marychna odrzuciła głowę w tył. „Szczęśliwa, zmęczona, piękna” — przedrzeźnił ten gest w myślach. Biedaczka, pewnie się jej wydaje, że właśnie w tym momencie jest wyjątkowo ładna. Gdyby siebie widziała! Ale i my wyglądamy żałośnie, malpio, groteskowo. Zwłaszcza, gdy ulegając szantażowi chwili i konwenansu, przybieramy pozę jaskiniowca, buńczuczno ujarzmiacza rozhukanych żywiołów, bezradnego synka lub zwycięskiego Waligóry, który — tra-ta-ta! — „bierze” (straszne słowo!) Teatralne, wyuczone grymasy, łapanie powietrza, chrapliwy głos, oszukiwanie siebie i innych, i to żalosne libretto: „czy jesteś szczęśliwy (-a)?” Cała liturgia błagi, byle sobie wierzgnąć.

— Czy ty mnie...

— Oczywiście. A ty?

— Ja też.

„Jedno wam, świńskie cycki, radzę — mówił doświadczony sierżant — że w takich okolicznościach najlepiej jest mało mówić, swoje robić, i nic ale to nic nie myśleć, bo myślenie — niezdrowy dla męskiego ciała wysiłek”.

— Czy przede mną...

— Minimalnie — odpowiedział. — Może trzy lub cztery. Nie więcej.

— Dziękuję — westchnęła z ulgą. — Bo ja poza Paździorkiem to tyle co nic...

— To dobrze.

Pocziwina — pomyślał. — Było tego, i u niej i u mnie, do diabła i trochę. Ale tak się mówi. Tak trzeba mówić. Niepisana umowa. Było tego — skrzywił się — pod dostatkiem, zawsze podług tego samego obrządku, zawsze nie wiadomo po co. Rasowemu alkoholikowi wódka nigdy nie smakuje, sierżant nie lubił kobiet, ale mimo to...

— Czy ty mnie naprawdę?

— Naprawdę.

— O czym teraz myślisz?

Właśnie! O czym? Chyba o sierżancie, który miał twarz buldoga i czerwoną pręgę na czole — ślad po czapce. Może o Paździorku?

— O Kraju — skłamał. — Tyle lat rozłąki...

— Biedaku, ty tak tęsknisz. Wy wszyscy tak bardzo tęsknicie — głos jej załamał się ze współczucia. — A najciężej wam pewnie, gdy nadchodzą święta?

— Tak — westchnął.

Na tę wędkę ją właściwie złapał. Na utraconą ojczyznę. Jak biedny garbusek na swój garb. W maseczce zbolałego tułacza wciągnął ją w krzaki. Dopóki dziewczęta uczą się w szkołach wierszy Słowackiego i czytają „Latarnika”, wszystko idzie jak z płatka. „Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem”, doloż nasza, dolo. Przynajmniej na coś przydaje się literatura! „Smutno mi, Boże”, jako wytrych do dziewczęcego serca. Co prawda, Paździorek daje sobie radę bez wytrycha.

— Nie martw się: wrócisz. Wy wszyscy kiedyś wrócicie.

— Daj Boże — pokiwał głową.

Wcale się nie martwił. I wcale nie chciał wracać. Myślał mi był już gdzie indziej. Daleko od tego wilgotnego legowiska, wygniecionego ich niepotrzebną miłością, daleko od jej zmarzniętego i wychudłego ciała. Ten pył księżycowy dokoła, co pomączył trawę i liście, skojarzył mu się z nadmorskim piachem. Myślał o przeludnionej plaży w Riccione, o pewnej Włoszce w białym kostiumie kąpielowym, o namiocie z seledynowego nylonu, gdzie to samo odbyło się z jeszcze większą szybkością i także najniepotrzebniej w świecie.

Fiu, fiu, o czym się to nie duma w takich „oddech w pierśiach zapierających” chwilach, zacna, październikowa Marychno z krainy wodnej ondulacji, i cóż to nie wyskakuje, jak pajacyk

na sznurku, na scenie naszej niesfornej pamięci! Ty o miłości i świętej ziemi naszej, a moja pamięć, niczym ulicznik, pokazuje ci język!

Riccione, „perla Adriatyku”. Na pięć metrów kwadratowych plaży — o uroku groteski! — jak na „Grunwaldzie” Matejki przypadały co najmniej cztery oklejone piachem torsy, kłębawisko nóg, żmijowisko rąk, i czyjeś potężne, smażące się na słońcu, „ambra solare” podlane udo-gigant. Pół wioski ludożerców żywić by się nim mogło przez tygodnie. Właścicielem tego udźca było zradiofonizowane zwierzę, pewien „dyrektor generalny” z Turynu, nazwijmy go: Bongiovanni Lauro, niemilosierdzie rozbrzuszony, z kuferkowym odbiornikiem umieszczonym filuternie tam, gdzie pierwsi rodzice, zamiast bikini, nosili listek figowy. Ze szkatułki wyciekła rycyna sentymentalnej piosenki, nazwijmy ją: „Una notte ancora”... Cóż to tylko ten tuczniignorant wymamrotał o braciach-Lechitach, zanim senne zmrużył powieki? — „Polacchi, — zauważył z wyrzutem — tacyście zawsze bravi i eroichi, demokraci prawdziwi, generała Benesza wydaliście i tylu innych wielkich Europejczyków, ale po jakiego diabła zamęczyliście kilka milionów Żydów podczas wojny, perche?”... I nie targnij się takiemu na lalczkę!

— Paździorek się nie liczy — zapewniała Marychna. — I nigdy się nie liczył. To nieprawda, co ludzie opowiadają...

— To dobrze.

A gdy grubas, zmożony muzyką i upałem, zasnął, wszystko odbyło się, jak w niemym filmie: bez słów. Przez ściankę plażowego namiotu słychać było spokojny oddech przemysłowca, pokryty warstwą radiowej piosenki i rytmicznym szelestem morza. Niezapomniana przygoda! Rozsypujące się szklivo wody, piasek w ustach, łoskot serca i głupawa satysfakcyjka: tamten ma „Jaguara” i willę za miastem i konto w banku, byt zapewniony do końca życia, a ja, bez pieniędzy, bez willi, bez „Jaguara” i bez przyszłości mam jego papużkę pod sobą. Nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy. Zdaje się, że nie była zbyt ładna. Utkwiły mu tylko w pamięci czarne, rozsypane na gazecie włosy i dwie kropelki potu nad wysmarowaną wargą... A może to wszystko nieprawda, owoc wyobraźni, urywek z przeczytanego romansu, migawka ze słabego filmu?

— Natulałeś się, biedaku — powiedziała Marychna.

— Natulałem się. Tyle lat...

I znowu, niespodziewanie, ten rubaszny sierżant. — „Jedno wam, zafajdane aniołki, powiem — pouczał w koszarach. — To wy pierwsi kończycie całą czynność, że się tak wyrażę. Wy dajecie hasło do odwrotu, a nie kto inny. I pamiętajcie: streszczać się! Co za wiele, jak mówią wieśniacy, tego i warchlak nie zeżrze, a wy, w te i nazad pieprzone, jesteście z miasta!”

I już, chwalić Boga, po „wzniosłym nastroju”. Także i księżyc przysłał, zadrzaśnięty chmurą.

— Wracajmy do miasta — otrzepał kolana z trawy. — Już późno.

— Dobrze, wracajmy — zgodziła się posłusznie. — Ale czy ty mnie naprawdę?

— Naprawdę! — roześmiał się. — Po co miałbym cię okłamywać?

— Ale ze mnie hycel — pomyślał.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Bo jestem szczęśliwy! — wyciął koguta. — Po raz pierwszy w życiu!

Po chwili wyszli ze swej kryjówki na szosę i trzymając się za ręce, pomaszzerowali w stronę miasta.

To było we wtorek, a teraz cofnijmy się do poniedziałku, bo lepiej będzie opowiedzieć całą historię nie od schadzki w zaroślach, ale od początku. Jak dotychczas, niewiele jeszcze wiemy ani o Henryku ani o Paździorku ani o ludziach z „Jutrznii”.

Zacznijmy więc od Henryka. Dużą pomocą przy poznaniu Henryka może być wierny towarzysz jego licznych podróży, gruby brulion w celofanowej okładce.

Dopiero pod koniec drugiego dnia pobytu w Wiedniu Henryk znalazł godzinę dla siebie. Po wypróżnieniu butelki „Gumpoldskirchnera” poczuł na sobie ciepłą szubę autoironii; grzała go radość natrząśnięcia się z samego siebie. Przywarłszy łokciami do staroświeckiego biurka w pensjonacie „Hubertus” na Dorotheer Gasse (nieдалеко barokowej „Pestsaula”), w nocy z poniedziałku na wtorek napisał w pamiętniku:

„Tsj, hadko pisać, *citoyens*, ale każdy z nas ma swego bacz: moja wiedeńska znajomość, poczciwe pachole z rewolucyjnym błyskiem w cygańskim oku, towarzysz Paździorek z ministerstwa w Warszawie, ma swojego, i ja, mniej poczciwy bratłata z reakcyjnym zgryzem pod wąsem, Henryk Ziółkowski z Londynu, też mam swojego. Mój bacz na pielgrzymstwie, daj mu Boże zdrowie, czerstwy i hoży sufler, doradca, spowiednik, naganiacz i finansowa mamka w jednej osobie, mecenas Lach (pseudonim), zwany na żarty (ładne mi żarty!) „właścicielem krzywdy polskiej”, dla którego dwa i dwa ciągle jeszcze jest cztery, a nie siedem i pół, ani chybi machnie ręką z niesmakiem na niniejsze zapiski: „Histeria acuta-schizofrenia polityczna trzecia siła-komunopederastia-psychodezynteria-a kysz!”

„Może ludzie wątpiący nigdy niczemu nie zaprzeczają. Sam od dłuższego czasu zastanawiam się przy kwatrze absyntu: gdzie się we mnie, w Ziółkowskim, u licha, kończy szlachetny i niezłomny dr Jekyll, a gdzie się poczyna „*der innere Schweinehund*”, owe nikczemne i płaskie w swej ideologicznej słabości żyjątko głębinowe czyli Mr Hyde? Właściwie (i tutaj moi towarzysze broni chyba mają rację) nie powinienem bez uchwały plenum CWW ujawniać tego wstydliwego faktu, ale trudno, wyrzucę z siebie całą prawdę, i tylko prawdę: jest nas, nie-

stety, dwóch Ziółkowskich w jednym Ziółkowskim. Jeden: człowiek na serio, Henryk Ziółkowski, ambitny literat, laureat i podpora kwartalnika „Pro Arte”, zazdrośnie strzegący świętej autonomii swej sztuki przed interwencjami mecenasów Lachów z Czołówki Walki o Wolność (CWW), a drugi: świszczypałka „Ziółko”, publicysta zaangażowany w sporze ideologicznym „dwóch światów”, filar naszego ruchu, entuzjastyczny pismak-wycirus, facet którego szczerze nienawidzę, i, co gorsza, którym gardzę. Traktuję go z waszecia, nazywając go „pejoratywnie” Ziółkiem. A jednak, proszę państwa, wbrew temu co o „żelaznych koniecznościach” za pewnym aforystą powtarza moja pięcioletnia, nad wiek rozwinięta córeczka, Urszula: „żelazna konieczność jest to rzecz co do której ludzie w ciągu historii spozstrzegają, że nie jest ani żelazna ani konieczna”, współistnienie dwóch różnych Ziółkowskich, przyczajonych w jednym Ziółkowskim, jest na prawdę „żelazną koniecznością”, *believe me*. Dlaczego?

„Hm, zacznijmy po marksistowsku: z czego by żył i przybierał na wadze dziewiczo niepokalany i anheliczny sublokator wieży z kości słoniowej, Ziółkowski, gdyby na niego nie harował jak dziki osioł ów brudny Murzyn od mokrej roboty, „Ziółko”? Po wtóre: mój bacz, daj mu Boże zdrowie, mecenas Lach, nigdy by nie zaangażował dziennikarskiego hycła Ziółka, gdyby Ziółko nie był sjamskim bliźniakiem artifexa Ziółkowskiego. Wszak to znany nie-konformista Ziółkowski, niczym słońce, użycza swego światła księżycowi — Ziółce. Ba, powiem więcej: akcje Ziółki, jak zauważyłem, idą w CWW w górę, ilekroć Ziółko, wyrobnik propagandy, rękodzielnik fabryki nadziei, w chwilach wolnych od zawodowych zajęć machnie coś nieutilitarnego, prześwieconego blaskiem autentycznej sztuki, Wówczas to mój bacz, kochający literaturę jak własną matkę, mecenas Lach, daj mu Boże zdrowie, przypomina sobie (co prawda: nie na długo), że jego szcudło i hoplita, gdy zechce, może być ponad-Ziółkiem, a więc samym Ziółkowskim! Słaba to zaśię pociecha, gdy się zrachuje lichwiarską cenę owej „żelaznej konieczności”, leżące u podstaw kazirodczej symbiozy Ziółkowskiego z Ziółkiem”...

Poczuł alkohol w wątrobie. Strząsnął atrament z Parkera na dywan i pisał dalej — ze zmarszczką nad brwiami:

„Z początku, o naiwności, wydawało mi się, że wulgaryzator Ziółko nie zaszkodzi zbyttno artyście-Ziółkowskiemu: w najgorszym razie dostarczy mu materiału do demaskatorskiej powieści-bomby zegarowej o kulisach CWW, ale dzisiaj widzę, jak na dłoni, że łatwopis i szybkostrzelny polemista Ziółko oddał ambitemu twórca Ziółkowskiemu niedźwiedzią przysługę: przysporzył mu kilka funtów szterlingów, zabrał mu sztukę. Wnikliwy portrecista, poeta M***, pastwiąc się nad P***, powiada w jednej ze swych książek, że najstraszliwsze Waterloo

oczekiwało ambasadora-literata, gdy syt zaszczytów i *cocktail-parties*, zamykał się w swej alkowie — sam na sam z niezapisaną kartką papieru. Muzo, ty najkrnąbniejsza ze wszystkich dziewczek! Ach, czyż nie to samo dzieje się dziś ze mną, Ziółkowski, choć nie jestem ambasadorem? Oto słowa przestrogi dla użytkowego żyjątko, Ziółki: cóż pomoże pisarzowi, choćby cały świat zyskał, ale przy tym stratę na swej sztuce poniósł? Nad wiek rozwinięta Urszulka powiada mi na to: „Nie martw się, tatusiu, Mauriac, wielki pisarz, niemniejszy od ciebie i P..., pisuje polityczne felietony do gazety, i w niczym mu to nie szkodzi”. O smutną chwilę zatajania własnych ułomności: jakże wy tłumaczę mojej małej, nad wiek rozwiniętej Urszulce, że ja, Ziółkowski, nie jestem Mauriac’iem: mnie szkodzi”...

Odpoczął, przetarł czoło. „Gumpoldskirchner” wcale nie jest dobrym winem. Jad, ferment, smutek, siarka na końcu języka. „Katarek psychiczny — powiedziałaby Lach. — Ci nasi pożał-się-Boże-intelektualiści męczą się pierwsi. Masy, na szczęście, są zdrowe”. A wszystko przez to, że po kilkunastu latach picia samogonu, zwanego emigracją, człowiek nie może się stać nałogowcem.

Za ścianą, w drugim pokoju, jakaś starsza paniusia śpiewną wiedeńszczyzną mówiła do drugiej paniusi:

— Mój mąż, *stellen Sie sich vor*, miał w czasie wojny psa...

— Psa miał...

— I ten pies potrafił węchem odróżnić Żyda od nie-Żyda...

— *Unglaublich!* — słyhać nabożny podziw za ścianą.

„*Wien, Wien, nur du allein!*” — skrzywił się Henryk i piął dalej:

„Żeby się już dłużej nie rozwodzić nad własnym rozdwojeniem jaźni, dodam tylko, że żyję z moim Ziółkiem jak pies z kotem, upatrując w jego nieposkromionej żądzy złota i pożałowania godnej słabości charakteru jedną z głównych przeszkód na drodze do osiągnięcia trwałych i „niezniszczalnych”, bo pozagrobowych, sukcesów, bez których życie pisarza, jak słusznie zauważa moja nad wiek rozwinięta Urszulka, nie ma najmniejszego celu i sensu. Jeśli zatem ja, Henryk Ziółkowski, utalentowany, obiecujący autor „*Lat niezabliźnionych*”, któregoś dnia *omnis moriar*, nie wińcie mego bacy, mecenasa Lacha, daj mu Boże zdrowie, ani pozostałych członków CWW. Wińcie mego Mr Hyde’a, moralnego pigmeja Ziółka, wroga kultury i sztuki nr. 1”.

„A jednak znalazłem z nim „wspólny język”. Przed trzema dniami w gabinecie bacy. Gdy mecenas wręczył mi bilet lotniczy do Wiednia i wyjawiał szczegóły nowej, patriotycznej misji, ucieszyliśmy się oba dwaj: Ziółkowski i Ziółko. Ziółko, as publicystyki w CWW, pomyślał sobie: „Brawo, zamiast wypisywać antykomunistyczne klasówki za biurkiem, siedząc na antyhemo-

roidalnej poduszce, skonfrontujmy teorię z praktyką w plenerze, zajrzyjmy żywym ludziom, ludziom stamtąd, w twarz. To uchroni nas przed niebezpieczeństwem intelektualnej spekulacji, gdyż abstrakcja, jak powiada poeta W***, w Kraju, to sęp wyżerający ludziom mózgi i serca. My wprawdzie lepiej wiemy, jak tam jest, (patrzac z lotu ptaka, widzimy więcej) — ale czyż może być miłsza muzyka dla emigracyjnego ucha nad nocną rodaków rozmowę, rozmowę potwierdzającą nasze aprioryczne sądy i przesady. Tyle ten biegas, Ziółko. A maestro Ziółkowski, pisarz na bezterminowym urlopie, uśmiechnął się do siebie z nadzieją: „Nareszcie wagary, a kto wie, proszę szanownych czytelników, czy nie pasjonujący temat do nowej noweli?”

„Tu wtrączę, ni w pięć ni w dziewięć, co następuje: pewien wytrawny, choć zmurszały już nieco, erotoman z zaprzyjaźnionej instytucji („*Dźwięk Prawdy*”) zwierzał mi się niedawno, że wierz w swój męski radar. Spośród tysiąca kobiet, zwitków loteryjnych, powiada, z zamkniętymi oczami nieomylnie wyciąga główną wygraną na dzisiejszy wieczór. Jeszcze przed grzecznym uchYLENIEM kapelusza, przed zawarciem znajomości ze swoją przysłą ofiarą, z góry i bez pudła wie, że włączy ją do kolekcji żywych trofeów myśliwskich. Niezawodna, męska intuicja. Podobnie ma się rzecz i ze mną, Ziółkowskim, autorem niniejszych zapisków: lecąc czteromotorowcem „*Pan-American-Line*” do Wiednia, czułem że natknę się na Paździorka, chlubę i dumę czerwonego narybku, ministerialnego urzędnika kultury i sztuki z Warszawy...

„Odwołac mnie na lotnisko, baba Lach, daj mu Boże zdrowie, wcałował się w moje policzki po żołniersku, w rytmie wierszy Wincentego Pola, największego grafomona, jaki kiedykolwiek deptał świętą ziemię rodzinną. Przez moment miałem niemiłe uczucie, że znowu mam lat siedem i ojciec konwojuje mnie do szkół:

„Tylko bez brawury, Henryczku — powiedział mecenas. — Nabrawurowaliśmy się do syta w czasie wojny. Pamiętaj: wczoraj rano jakiś tajemniczy motocyklista przejechał naszego człowieka w samym sercu Wiednia. Dyć to nie przypadek, hehehe. Dwudziesty wiek nie zna pojęcia przypadku. Nie pchaj zasię palca między drzwi! Trzymaj się, Henryczku! Wygramy! Nasza sprawa słuszna, cyk!”

„Tutaj znowu mały nawias: Lach, chcąc nadać naszej pracy filmowo-sensacyjnego polotu, w czasie blokady Berlina wręczył nam, korespondentom prasowym CWW, po „*miętusie*” — na wszelki wypadek. Cukierek działa w jednej sekundzie, bez bólu. Ale, powiedzcie sami, czy to nie upokarzające dla polskiego patrioty, by umierał jak Himmler lub Göring? Przeciwi „*miętusowi*” występujemy zgodnie: i Ziółko i Ziółkowski.

„Tu dodam jeszcze, bez cienia złośliwości, że gdyby mojego Lacha kiedyś nie zsiekanano bykowcem, nie cieszyłby się wśród współczesnych tak wielkim i zasłużonym szacunkiem. „*Dostał w skórę na śledztwie*”, „*cierpiał*”, „*przesiedział się kilka lat* —

to coś więcej niż kwalifikacja, to geneza i tajemnica powodzenia niejednego z naszych przywódców i mężów stanu. Nie głowa zatem, *citoyens*, ale zupełnie inna część ciała staje się u nas źródłem legendy, zasługi i prawdziwej wielkości. Nad nią więc, umęczoną, unosi się narodu pióropusz i aureola.

„— Byś nie tylko był lwem, ale i lisem! — powtarzał mój baba przy odlocie za Makiawelem. — Strzeż się prowokacji, ulubionej broni podstępного wroga.

„— Dretwa gadka, strachy na Lachy, mecenasie — roześmiała się szyderczo moja nad wiek rozwinięta Urszulka. — Powiedźcie jeszcze, że wróg cierpi na bezsenność, to inny cymes z waszego wokabularza walki. Wiedeń z epoki „*Third Man'a*” należy do przeszłości. Porywanie działaczy, te różne Kutiepowiady, praktykowano za życia językoznawcy z wąsem, na „innym etapie”, w okresie „berio wszczyzny”. Nie nadążacie za truchtem historii, emigramole: jest „odwilż”, trzystolecie Ślubów Jana Kazimierza, po Wielkim Plenum i Historycznym Zjeździe już świta, już grają skowronki, Stare niczym pogańską Marzannę pławimy w Wiśle z lodów rozkowanej, a Nowe już zbliża się k'nam” — tak smarkuła z nas, dorosłych, szydziła, bawiąc się na lotnisku skakanką. Bystra dziewczeczka. Mieliśmy kiedyś w poezji Orszulkę Kochanowską. Przebóg, obaczycie: będziemy kiedyś mieli w polityce Urszulkę Ziółkowską, lubo ów nadmiar zainteresowań aktualnością i zmysł polemiczno-satyryczny nasuwają mi niemiły domysł, że to nie moje dziecko, jeno tego zadyszanego żurnalisty — Ziółki.

„Samolot zarechotał, woskowa laleczka-stewardessa przykleiła do ust zawodowy uśmiech rzekomej troski o moją osobę, — pofrunąłem do Wiednia, żalony fracht powietrzny, owinięty w książeczkę czekową i tysiące wątpliwości. No, i, jak mi zlecono, jestem teraz tutaj, jako „recenzent teatralny”, by „skontaktować się”, dla dobra Zachodu i Wolności, z ludźmi z „Jutrzni”. Ten łaps, Ziółko, o! — znam go nie od dzisiaj, widzę jego potulną twarzyczkę o wejrzeniu obitego psa, gotów potem w trzech odbitkach (oryginał wprost do mecenasa Lacha) wystukać tajny raport z tych spotkań, obszerne sprawozdanie z dosłownymi cytatami, a ja... A ja, Ziółkowski, chociaż tak chętnie kpię ze wszystkiego, chociaż staram się zachować odpowiedni „dystans moralny” do zajęć tego pokroju, powiem wam szczerze: czuję się dość nieswojo. Bądź co bądź...

„E, dużo by o tym mówić i pisać, ale po co? A zresztą, i tak już jest za późno. Jedna podróz mniej, jednak podróz więcej. A w ogóle pies to wszystko...

Zegar na katedralnej wieży wydzwonił północ.

— I co się stało z tym psem? — dopytywał się kobiecego głosu za ścianą.

— Otruli go.

— Otruli go?

— Żydzi go musieli sprzątnąć zatrutą kiełbasą.

— Co za ludzie, Frau Hofrat! Nawet psu nie przepuścili. Zdradliwy „Gumpoldskirchner” gęstą mazią pchał się do oczu, uszu i skroni, zaklejał oddech, papier, smutek i cały świat. Henryk skulnął się z taboretu na tapczan i zasnął.

Ale sen miał niespokojny, wątrobiasty. Śniła mu się jego wymaginowana, z rozpędu pióra zrodzona, „nad wiek rozwinięta” Urszulka, płacząca nad stosem tajnych raportów w trzech odbitkach (oryginał wprost do mecenasa Lacha), i ten pies, co węchem Żydów od nie-Żydów odróżniał. Nie kiełbasą go otruli, nie, lecz austriackim winem. Po otruciu poszedł prosto do nieba i tam się dopiero rozwarczał na dobre.

— *Gottverdamnte Juden!* — szczeekał ludzkim głosem na widok proroków i ewangelistów — *Raus aus dem Himmelreich!*

I już wszędzie skrzeczy groteska: i w niebie i na ziemi i na jawie i we śnie. Nad ranem wstał, pół przytomny. „Gumpoldskirchner” dawał go w pęcherzu. Wracając z łazienki, dopisał w brulionie:

„Dość już tej bzdury. Nie myślcie jednak, że błaznuję. Jeśli zajrzycie pod moje słowa, na sam spód ich kokocięgo szczebiotu, zauważycie, że jestem nieszczęśliwym człowiekiem i niebardzo wiem po co żyję. Powinienem...”

Ale i to kłamstwo! — zatrzymał się w rozbiegu. — Prentensjonalny ekshibicjonizm, nasza słowiańska franca, *confesiones* literaturka, bzdęk! *Citoyens*, nie zdejmujcie gaci, nie świećcie gołą pupą szczerości. Karykaturzyści wcale nie są przyczajonymi moralistami. Wszystko poza, blaga i bzdet! Mecenas ma rację: żadne tam, panie, alkohole ani kokoszki z Piccadilly, jeno liryka, podła liryka życie nam skraca, bęc!

I wszystko przekreślił.

Nie. Tych kilka czy kilkanaście kapryśnych stroniczek pamiętnika, przekornie zapisanych przez Henryka nie tyle atramentem, co kiepskim, sfermentowanym „Gumpoldskirchnerem”, wińskim zamieniającym wszystko w niepotrzebną groteskę i karykaturę, jeszcze niczego nie wyjaśnia, to zaledwie snop światła, rzucony na jednego z bohaterów opowieści. Cóż tam widać w takim krzywym lusterku, spłaszczającym świat w naleśnik? Nic.

Trzeba się zatem cofnąć jeszcze dalej, do niedzieli. Do dnia, w którym przybysz z Londynu po raz pierwszy zetknął się z Marychną, a może przy tej okazji dowiemy się wreszcie czegoś bliższego o Paździorku i jego „Jutrzni”. Cóż warte jest opowiadanie, oparte na samych domysłach i niedopowiedzeniach? Nic.

Tutaj nawias dla purytanów i ludzi za dobrze wychowanych: jeśli w tej wiernej relacji zadźwięczy czasem to lub inne ulubione a sprośne powiedzonko delegata ministerstwa kultury i sztuki czy innego niedomytego kaprolalusia z ludowej służby dyplomatycznej, nie ma się czego dąsać i gorszyć. Paździorek i jego rówieśnicy są dziećmi wojny, wychowali się na pobojo-wisku

w latach nędzy, ucisku, pijaństwa, chuligaństwa i anarchii seksualnej.

Więc zacznijmy tak :

Nad dachami secesyjnych kamienic, fortec brzydoty, świeci słońce. Wiosna wisi w powietrzu. Tylko patrzeć jak zazieleni się między sztachetami, a od Prateru dobiegnie terkot karuzeli, rżenie harmonii i dziki kwikot podmacywanych dziwek.

Wczoraj na przedstawieniu były puchy : sześćdziesiąt cztery osoby. Z tego połowa na darmo. Reżyser Pawlik uskarżał się na brak reklamy w prasie austriackiej. Plakatów też nie było na mieście. Sam sprawdzał na Ringu : ani śladu. Delegat Paździorek całą winę zwał na urzędników poselstwa :

— Siedzicie, gówniarze, za granicą, jak u Pana Boga za piecem ! — kłął w słuchawkę — Byczycie się, *comprenez-vous* ?

— Repertuar do dupy ! — bronił się czupurny referent po drugiej stronie sznurka. — Nie epatujcie Zachodu swoją prowincjonalną europejskością ! Przyjeżdżajcie z Majakowskim, a najlepiej w papasze i w fufajce, a tutejsi kupcy i ich ufutrzane cnotodajki w ogonku będą stały po bilety ! Tak jest, w ogonku ! Albo przywieźcie im coś chamskiego, wiecie — takiego prosto w mordę ! — rrewolucyjnego jak jasna cholera, a spuszcza się na sam widok plakatu. Nie znacie Zachodu. To masochiści. Zrozumcie, ludzie : jesteście dla nich Wschodem, dzikim Wschodem, i takich chcą was widzieć : w rubaszkach, a nie w smokingach. Oni chcą jakiejś Samarkandy czy mordobijskiej Tułły, a wy im pieprzycie o „Paryżu Północy”. Paryż — to oni mają własny, tysiąc razy lepszy !

Długa, zła cisza.

— Skąd ja wam wezmę polskiego Majakowskiego ? — zirytował się Paździorek. — Z rozporka go sobie wyjmę czy co ? Kazali przyjechać z Fredrą, przyjechałem z Fredrą. Każą przyjechać z „Obroną Częstochowy”, przyjadę z „Obroną Częstochowy”. Robię co mi każą.

— Z Aleksandrem hrabią Fredrą, he ! — zabalgotało sztyderstwem w słuchawce.

— Gumno kułackie, aniele mój ! — odpowiedział Paździorek.

I zmartwił się. Zmarszczka ściągnęła mu brwi. Chłopięcy oczy zaszyły szczerym smutkiem. Mógłby, co prawda, powołać się na ekspertyzę niebylejakiego znawcy literatury, prof. W***, który we wstępie do „Ślubów panińskich” pisze jak byk, że „Fredro reprezentuje realizm o akcentach antykapitalistycznych” ale... czy to prawda ?

— To zablocone szczenie z poselstwa ma rację — powiedział do Pawlika. — Bo to jest tak : chłop i robotnik orze u nas jak wół, jego wyharowany, wypocony, krwawy grosz idzie na socjalistyczną kulturę, tak czy nie ?

— Tak.

— Cały świat chce wiedzieć co to za kultura, co w niej nowego i lepszego, tak czy nie ?

— Tak.

— A my, pieprzona nasza mać, jedziemy se do Wiednia, a jakże, zapraszamy jakieś wyelegantowane ścierwo w smokingach, frakach, balowych tiulach, tak czy nie ?

— Tak.

— Podnosimy kurtynę i — co pokazujemy ? Pokazujemy stare, hrabiowskie gówno, tak czy nie ?

— E, Fredro nienajgorszy jest... — bąkał Pawlik. — Ja bym go bronił. Ludzie pracy, bądź co bądź, śmieją się. W Nowej Hucie, na przykład, bardzo się podobał...

— Nie jesteście w Nowej Hucie — przerwał mu Paździorek, — Jesteśmy, Pawlik, na zachodzie. A Zachód, Pawlik, na naszego Fredrę...

— E... chyba nie... — reżyser zatkał sobie uszy. Był delikatny, nie lubił brzydkich słów.

— Czka, aniele mój ! — strzelił delegat bez litości. — Bo Fredrów, to oni mają własnych, a Majakowskich — nie. Ten smarkacz z poselstwa ma rację : żadnej starej kanapy, którą mole zjadły. Coś twardego, coś chamskiego. Nożem ich, Pawlik, butem ! Po sztucznych zębach i w nażarty brzuch ! Nasze chamsstwo, to nasz atut i wkład, *comprenez-vous* ? A nasza zguba — w snobizmie i w wiecznym plagiacie ! Mądrze mówię ?

— Mądrze — uśmiechnął się Pawlik, ale jego zmrużone oczy mówiły co innego.

W niedzielę w ogóle nie było przedstawienia. Delegat ministerstwa, dwudziestoczteroletni Waclaw Paździorek, kierownik wyprawy, pozwolił zespołowi zwiedzić miasto „na własną rękę”.

Nie obyło się przy tej okazji bez pouczeń jak powinien się zachować obywatel ludowej ojczyzny za granicami swego kraju :

— Oczywiście, możecie robić co chcecie. Chwalić Boga, nie jesteśmy już na etapie „pogwałcania praworządności” czy jak się tam mówi, ale mimo to bez grandy, poproszę, i bez różbki — ostrzegaj potencjalnych alkoholików i gwałtowników. — Żadnych handekłów, poproszę, żadnego też naciągania Austriaków i emigrantów na forszę, bo będzie wstyd i nie weźmie się was więcej na zachód, *comprenez-vous* ?

— A babeczki, poproszę — zwrócił się do aktorek — bez nocnych przygód z zardzewiałymi kranami, żadne mi tam ciepiecie. Nie jesteśmy u siebie na plantach.

Paździorek władał nieco inną polszczyzną niż Mickiewicz, Słowacki czy Żeromski. „Zardzewiałe krany”, to po paździorkowemu : starsi panowie.

— Czy wyrażam swoją myśl dość jasno, tak czy nie ?

— Ależ tak ! — roześmiał się ktoś, zakłopotany.

Tego szybkostrzelnego „tak czy nie” nabawił się Paździorek na kursie dla agitatorów, gdy jako niedorostek jeździł motocyklem na wieś popędzać chłopów. „Po takim pytaniu — uczono go na kursie — wasz rozmówca czy chce czy nie chce, musi się wyraźnie zadeklarować, czy jest z nami czy przeciw nam.

Powie wam „tak”, wszystko w porządku, przekonujecie go dalej. Powiem wam „nie”, wiecie już o co chodzi: dajecie znać sekretarzowi w powiecie lub towarzyszom z bezpieczeństwa”... Czasy się wprawdzie zmieniają, ale przyzwyczajenie przysycha do języka.

— A zgrzybiałe trupiszony, modlitewnik do rączki, i do łóżka ram-pam-pam!

Aż dziw bierze, dlaczego delegat, ładny juhas z lokiem spadającym na oczy, z krótkim, nieco z fornalska splaszczonym nosem, okaz jurnej krzepy, nie lubi ludzi starych, do których zalicza każdego po czterdziestce.

— Stare pierdoły! — w pogardzie aż odstania zdrowe zęby pod czarnym wąsikiem. — Niszczą świat, a nam, młodym, każą potem gnąć w ruinach i gruz wyjadać po sobie. A wysiąść, to żaden taki nie chce...

„Wysiąść”, to po październikowemu: umrzeć.

— Staruchy obsiadły co najlepsze, a ty, kituś, trzep se kapucyna i cierp po cichu, *comprenez-vous!*

Co prawda, szeptano po kątach, że staruchy obsiadły również Paździorka, i tylko tym można sobie tłumaczyć jego świetną posadę, rozjazdy, bezwstydnie wysokie pobory. Podobno pewien wpływowy literat, smakosz w tej dziedzinie, miłośnik fornalskiego potu i lepkiego ciepła obory...

Ale to plotki, wraża szeptanka. Im gorszy teatr, tym więcej intryg i zawiści, a „Jutrznia” na pewno nie była najlepszym teatrem w Europie. Ostatecznie, chłopaczyna wyjeżdżał już za granicę nie raz, i to z drużyną hockey'a, zanim go jeszcze nestor literatury pięknej ściągnął na studia do Warszawy. I wtedy to właśnie z ust doświadczonego koryfeusza padły słowa, ze znamienym uśmiechem i przymrucaniem oka powtarzane po stołecznych kawiarniach:

— Młodość jest zapłatą samą w sobie. Nie należy młodych przekupywać. Należy im pomóc w mądry, ojcowski sposób.

Henryk już pierwszego dnia zauważył, że ludzie z „Jutrznii” boją się delegata.

— Niech się pan wystrzega tego szczeniaka, Paździorka — szepnął mu Pawlik. — To kapuś, komsomolski synek. Z takimi to najlepiej o pogodzie. Nie wychylać się!

Reżyser Pawlik, którego specjalnością były komedie obyczajowe, przede wszystkim farsy bulwarowe, miał twarz smutną i zmiętą, czoło ponacinane zmartwieniami. „Dwanaście bruzd, dwanaście lat budowania socjalizmu”. Wystarczyło porozmawiać z nim przez kilka minut, by stwierdzić, że praca w teatrze od dawna nie sprawia mu najmniejszej radości. „Ta najgłębsza bruzda, to po sztuce o brygadzie pewnego szlifierza”.

— Jak byliśmy w Pradze czeskiej, to wie pan z kim się ten huncwot zaprzyjaźnił? Z Barankiem! W policzki się całowali!

— Z jakim Barankiem?

— Karel Baranek z Bratysławy, autor książki: „Pouczenie z procesu s vedenim protistatneho spionazneho a sprisa-

hackego centra na cele s Rudolfom Slanskym”. Lekcja z procesu Slanskiego. Pornografia polityczna, rynsztok. Dno dna. Nizej już upaść nie można. I on, panie, z takim stalinowskim kutasem brudzia wypił, sam widziałem!

Także i dekorator Orzeszkowski, Orzeszkiem zwany, uważał za stosowne ostrzec Henryka przed niebezpiecznym miokosem:

— Wi pan: entuzjasta, najgorsze co może być w narodzie. Takiemu, wi pan, wszystko jedno co robi, grunt że robi. Przez takich najwięcej nieszczęścia na świecie.

Orzeszek też był zgorzkniały: robił dekorację dla chleba, nie dla sztuki. Któż w tej „Jutrznii” nie był zgorzkniały i rozgorzyczony!

— Z czegoś muszę żyć, nie? Moja prawdziwa namiętność, to malarstwo abstrakcyjne. A tutaj — roześmiał się gorzko, pokazując zepsute zęby — jakbym klozet pędzlował na stacji kolejowej w Pułtusku. Dla ludu, kurza jego twarz, dla mas.

Mizerak Orzeszko stawał się w rozmowie bojowym pryncypialistą. Owszem, życie zmuszało go do kompromisów, ale w dyskusjach brał odwet za niejedną kapitulację. Gdy się zgadało o galeriach sztuki na zachodzie, mówił pogardliwie:

— Co tam, panie, jakieś Rafaele-duperele i inne Leonardy, nadworni dostawcy dewocjonalnej galanterii, błaga, nie malarstwo, anegdota, temat, literatura, co pan chcesz, ale nie malarstwo. A pewnie, to jest nawet „ładne”, a pewnie, mojej żonie to się podoba, ale ja, Orzeszkowski, zwykły Orzeszkowski, ja się, panie, tego wstydzę i już!

Po latach pobytu w Anglii, gdzie byle biedaczyna może sobie za psie grosze zafundować dentystę, Henryk odzwyczail się od widoku ludzi z zepsutymi, szczerbatymi, brakującymi zębami. A to go zawsze uderzało przy spotkaniu z rodakami stamtąd. Dziesiątki kwaśnych, wymizerowanych twarzy, a co drugi uśmiech zeszepecony. Dlaczego ta dziadowska ludowa ojczyzna, tak bardzo zatroskana o swoich obywateli, nie powstawia im zębów, powybijanych na najrozmaitszych przesłuchaniach? Pawlikowi brakowały aż dwa zęby z przodu, Orzeszko straszyl ludzi pocharatanymi, żółtymi pieńkami. Dwaj ludzie teatru, niebyle kto, reżyser i dekorator, a wyglądają jak zbóje, aż wstyd przed Austriakami.

Tak. Niedziela była wolna, i to ułatwiło Henrykowi wywiązanie się z przyrzeczenia, danego przyjacielom Palucha. Podjechał taksówką pod hotel w samą porę. Parę minut później, a całe bractwo rozbiegłoby się po Wiedniu. Razem z Paluchówną. Właśnie z tą „inkryminowaną” Marychną.

Paluchówna, to była... Właśnie, co to było? Grzeczność towarzyska, poufna misja, dobry uczynek, przysługa koleżeńska? Co kto woli, ale na pewno nie chęć nawiązania flirtu. Trudno by Palucha, jednego z nielicznych, którym się powiodło na emigracji, nazywać „kolegą”. Bogaci nie są naszymi „kolegami”. Jeszcze w Londynie proszono Henryka przez trzecią osobę, by

zajął się córką tego wysoko w pewnych kołach cenionego rodaka, o którym zresztą krążyły najrozmaitsze, najczęściej fałszywe pogłoski. Pomawiano go o wiele przywar i ułomności charakteru. Z bigamią włącznie.

Tom Paluch, ożeniony powtórnie z Angielką, wdową po jubilerze, nie mógł czy też nie chciał jechać na spotkanie niewidzianej od tylu lat córki z pierwszego małżeństwa. Podobno zatrzymywały go nad Tamizą ważne interesy. Przygotował jednak dla niej upominek.

— Trudno — wzdychali wyrozumialcy — nieubłagane są prawa życia: rozłąka wystudza uczucia rodzinne, czas robi swoje.

Im człowiek zamożniejszy, tym świat dla niego bardziej pożąłliwy. Nawet oziębłość serca poczytuje mu za zaletę.

Rozmowa Lacha z Henrykiem na temat Palucha miała przebieg następujący:

— Stary dziwak — powiedział mecenas.

— Łotrzyk — upierał się Henryk.

— Bo ja wiem? Zresztą Tomcio Paluch, jak grzesznik na kościół, przesyła nam co miesiąc dwadzieścia pięć funcików. Na fundusz CWW. Rodzaj okupu, rozumiecie, bo matkę ojczyznę to on rzeczywiście ma od dawna gdzieś. Ale skoro płaci, a takich co płacą jest dzisiaj niewiele, grzeczność za grzeczność. Żebym nie zapomniał: Paluch prosi nas o koleżeńską przystupkę. Sprawa jest właściwie dość zabawna, chociaż, formalnie biorąc, nie mieści się w ramach naszych statutowych zadań...

— Nie chcę — skrzywił się Henryk. — *Not my business.*

Lach spokojnie ciągnął dalej:

— A jakże, Paluch się cieszy, bardzo się cieszy, że jego córce udało się wreszcie wyjechać z teatrem na Zachód, przesyła jej paczuszkę z nylonami i sto „zielonych” w kopercie, ale widzicie, Paluch z jakichś tam czysto osobistych względów obawia się, żeby tej małej nie przyszło do głowy zostać na Zachodzie, rozumiecie?

— Nie!

— Brzydko, ja wiem, bardzo brzydko. „Wyrodny ojciec”, można powiedzieć. Nikt by z nas tak z własnym dzieckiem nie postąpił, ale widzicie, Paluch z jakiegoś sumienia, nie naszego.

— Na mnie nie liczcie!

— Paluch nas tylko prosi...

— Łotrzyk!

— „Nie sądzicie!” mówi Pismo. A w tych objawionych słowach, Henryczku, zawarta jest jedna z najgłębszych mądrości świata.

— Nie! — powiedział stanowczo. — Mogę się spotkać z ludźmi z „Jutrzní”, mogę tej pannie wręczyć nylony i pieniądze, ale nie będę prywatnym detektywem Mr & Mrs Paluch. Taka misja mnie upokarza.

— Życie na wygnaniu, moje dziecko, jest jednym wielkim upokorzeniem. Emigracja, to raj dla masochistów!

Przy tej sentencji mecenas roześmiał się dobrodusznie, a że był mistrzem w opowiadaniu anegdotek, z miejsca przypomniał sobie zabawną historyjkę o pewnym rodaku z Londynu, który co jakiś czas posyła znajomemu urzędnikowi MSZ'u puszkę kawy, żeby tylko jego żonie *nie* wydał paszportu na wyjazd do Anglii. Podobno ten spryciarz w Warszawie szantażuje ostatnio biednego emigranta telegramami: „Przysyłaj więcej kawy, bo ją wypuszczę!”

— Są więc i tacy, Henryczku, którym uniesienie żelaznej kurtyny na parę centymetrów w górę już teraz komplikuje sprawę rodzinne. O, nie tylko rodzinne, inne też! Wiesz, że brzydę się cynizmem, ale strach pomyśleć, co by się stało, gdyby któregoś dnia ta bariera rozpadła się w proch i w pył. „Dies irae” dla biednych bigamistów, klęska bezrobocia dla zawodowych antykomunistów, koniec poezji nostalgicznej, setki przykrości, br! Ten sam kataklizm, Henryczku, powstałby, jak się to mówi: „w obozie wroga”. Albowiem istnieje niepisana solidarność interesów pewnych... hm... grup zawodowych, taki bambusowy mostek nad przepaścią ideologii, *you see*. Niedawno rozmawiałem w Paryżu z pewnym sympatycznym młodzieńcem z Warszawy, który żyje z tego, że namawia emigrantów do powrotu. — „Którejś nocy — zwierzył mi się ów młodzieniec — miałem makabryczny sen, obudziłem się złany potem: śniło mi się, że wszyscy wrócili! A kysz!” „Sen mara, Bóg wiara, młody człowieku — pocieszałem chłopca jak mogłem — dla ciebie byłoby źle, gdyby tam przyjechali, a dla mnie byłoby źle, gdyby stąd wyjechali, i to nas, syneczku, łączy! Double whiskey!”

Mecenas mógł tak godzinami gawędzić. Urokiem osobistym zjednywał sobie ludzi po obu stronach barykady. Podobno nawet gestapowcy na śledztwie katowali go łagodniej, gdy opowiadał im kilka kawałów. I chociaż facecjoniści na ogół nie cieszą się w naszym społeczeństwie szacunkiem, wolimy kamiennych ponuraków, dziwna rzecz: mecenas cieszył się nie tylko sympatią, ale i respektem. Domyślano się zapewne, że te dowcipki to tylko kamizelka ochronna, strój roboczy. Podejrzewano go, że co innego mówi a co inne myśli. A takich zawsze otacza się zasłużonym szacunkiem...

Tak, ale te i inne pogaduszki z Lachem miały miejsce w Londynie, a my już od soboty rana jesteśmy nad modrym, pięknym Dunajem.

Zbliżała się pora obiadu. Już mieli się rozejść, żeby zbiegowiskiem nie tamować ruchu ulicznego przed „America House”; jedni chcieli obejrzyć katedrę św. Stefana, inni Burg, jeszcze inni jechać autobusem za rzekę do „wesolego miasteczka”; Henryk przyrzekł córce Palucha wypad na Kahlenberg, gdy, z trudem łapiąc powietrze, zjawił się Drapalik.

— Konsulat zamknięty — oznajmił złamanym głosem. — Co robić? Wczoraj zamknięty, dzisiaj zamknięty!

— *Week-end!* — mruknął Henryk.

— Panie redaktorze! — złapał go za rękę wysoki, prze-

rażliwie chudy młodzieniec w swetrze z którego puła się wełna. — Drapalik jestem. Adiunkt Drapalik z Tarnowa. Zróbcie coś, na Boga, żebym ja się dziś lub jutro dostał do Włoch! W czwartek wyjazd do Polski, a ja rozumie pan, muszę wrócić: żona, dwoje małych dzieci... A stąd już tak blisko: skok przez Alpy i... Ja właściwie tylko po to przyjechałem z teatrem do Wiednia. Paździorek taki łaskaw, my się znamy jeszcze ze szkoły... Pozwala mi się urwać na trzy dni, byłem się tylko przy odjeździe na Ostbahnhofie na czas zjawił. Dajcie mi, błagam, jakiś paperek, przecież wy wszystko możecie, na pewno macie chody, zadzwonić do konsula włoskiego do domu i paperek w pół godziny gotów...

— Drapalik jest chory na Włochy — rozległy się głosy.

— Florentyńczyk z Tarnowa!

— Ja się panu redaktorowi jakoś wywdzięczę — mówił dalej Drapalik. Oczy miał dobre i łagodne, zupełnie jak ten bernardin, co z baryłką koniaku pod szyją spogląda w Londynie z plakatów reklamowych. — Przywiozłem z kraju zakopiańską ciupagę i kilka płyt „Mazowsza”. Niech pan szepnie konsulowi, że mówię po włosku, siedzę właśnie nad przekładem z Dantego. O, mam nawet tutaj, przy sobie, spójrz pan, tłumaczenie „*Vita nuova*”, ten wiersz w którym poeta po utracie Beatrycze tak oto powiada... Zaraz go panu przeczytam...

— Dlaczego nie zgłosił się pan po wizę do Włochów w Warszawie? — przerwał mu Henryk.

Drapalik zatrząsał rękami:

— Ależ zgłosiłem się! — zawołał. — Nie raz i nie dwa! Ale pan chyba nie zna naszych przepisów. Trzeba mieć kogoś za granicą, kto opłaci podróż w obcej walucie, a ja nie mam rodziny na emigracji, ja w ogóle nic nie mam prócz koszuli na grzbiecie i dwojga małych dzieci. Niech pan szepnie temu Włochowi, że mnie wystarczy jeden dzień we Florencji, pół dnia, choćby trzy godziny. Nie wiem, czy pan zna to miasto? Nigdy tam osobiście nie byłem, ale znam każdą uliczkę i każdy zabytek... ja to wszystko widzę...

— Jasnowidz! — roześmiała się jedna z dziewcząt. — Wizjoner!

— A tak: wizjoner! — Drapalik rzeczywiście wpadł w zachwycenie. — A jednak chciałbym choć raz na jawie zobaczyć ten dom, wie pan, ten dom Portinarich, skąd słodka Beatrycze wychodziła na spacer... Szła wzdłuż złotego Arna, dochodziła do Ponte Vecchio, by popatrzeć na cuda, wyrabiane przez złotników... O, panie, to musi być wzruszające: przejść przez omieszony, kamienny most, ciężki od starożytnych kramów, a potem wrócić się w labirynt zaułków i pobiec pod katedrę. Czy widział pan wrota Battistero? Czy widział pan Bargello? Santa Maria Novella... Kaplica Hiszpańska... Kiedy u nas, w tym zakichanym Tarnowie, plucha za oknami, i życie mi dokucza, zamykam oczy i chodzę po tamtych uliczkach razem z poetą, słyszę jego tercyny o dzieweczce-anielicy, która z rajy wraca

do osieroconego tułacza. Ach, ludzie, tam jest radość i piękno, i słońce, i ta „miłość, co gwiazdy porusza i słońce”...

Za plecami Drapalika ktoś zrobił kółko na czole.

— U nich to dziedziczne — roześmiał się Orzeszko. — Chorzy ludzie. Znałem dobrze jego ojca, starego Drapalika. Też chorował na Włochy. Jeszcze w domu starców wyklejał ściany sztychami, wydartymi z „Historii Wenecji”. Zwykła histeria. Byłem przed wojną w tej Wenecji. Nic szczególnego: woda śmierdzi w Kanale.

— I to mówi malarz — roześmiał się gorzko Drapalik.

— Proszę naszemu Drapciowi pomóc, to niezły chłopys, jeśli nawet trochę narwany — wstawił się reżyser Pawlik. — Bo z wami, panowie, ludzie na Zachodzie się liczą, wy należycie już do ich świata. A my co? Obdartusy jesteśmy, wschodnie mrówki, zero.

— Wam jest dobrze, nam jest źle — westchnęła jakaś dziewczyna. — Cholernie źle.

— Wytłumacz pan konsulowi... — jęknął miłośnik Florencji — że Polska i Włochy...

— Głupsi! skarcił go Pawlik. — Pan redaktor sam wie, co ma powiedzieć konsulowi, ty go nie ucz!

Ziółkowski marszczył czoło i milczał. Bezradność spadła na niego ciężką belką, wgniatając go w ziemię. Nie miał odwagi powiedzieć Drapalikowi co naprawdę w tej chwili czuje i myśli. Zrobiło mu się żal młodego marzyciela. Nie miał serca powiedzieć mu prawdy. Musiałby wtedy ująć całą rzecz brutalnie:

„Drogi Drapaliku, ja, Henryk Ziółkowski, emigrant z tuzinem jedwabnych koszul na grzbiecie, sezonowo zatrudniony przez moźnych tego świata, jestem taką samą grudką końskiego nawozu, jak i ty, adiunkt Drapalik z Tarnowa. Konsul włoski, podobnie jak cały Zachód, ma nas obydwóch gdzieś. Twoje afekty dla Dantego i Florencji są twoją prywatną przyjemnością, która nikogo nie obchodzi. Na pewno nie brak i Chińczyków, którzy zajmują się na przykład, etruskologią. Kto z nas jest mniejszą mrówką — nie wiem. Mierzi nas obu obecny ustrój nad Wisłą, ale pociesz się, że ty masz przynajmniej za sobą państwo, tyle i tyle dywizji, tyle i tyle ton węgla, tyle i tyle pieczętek biurowych, a nadto swoje powietrze, swoje rzeki, swoją ziemię i miliony żywych ludzi, mówiących twoim językiem, a za mną, na dobrą sprawę, nie stoi nikt i nie stoi nic. To jest, przepraszam, stoi coś, co sobie sam postawiłem: zbudowałem sobie kilka ochronnych legend i asekuracyjnych mitów, ale ich fundamentem jest strach i tchórzostwo. Strach: żeby pewnych rzeczy nie domyśleć do ostatecznego końca. Tchórzostwo: żeby się nie rzucić do Tamizy lub Sekwany.

„A więc nie lamentuj, młody adiunkcie, może to będzie z ducha nieeuropejskie co ci powiem, ale wcale nie wiadomo, co jest dla Polaka większym nieszczęściem: nie móc przyjechać z Tarnowa na kilka dni do Florencji czy też... stale mieszkać

we Florencji? Bo to jest tak, mój Drapaliku, ryba pływa w rzece albo w akwarium, ptak lata po niebie albo po klatce, zwierzę może być w gęstwinie i może być w zoologu, ale tylko człowiek, jeden człowiek, może któregoś dnia nagle znaleźć się n i g d z i e. W takiej próżni, powiadają mądrale, niejedno się sublimuje: można zostać człowiekiem przyszłości, obywatelem całego świata. Każdy człowiek, pocieszają nas filozofowie, czy z własnym państwem czy bez państwa, czy ze swoim narodem czy bez narodu, i tak jest nieskończenie sam, zawsze sam. Tak, to wszystko prawda, ale kłopot jest z biologią: jeden organizm znosi próżnię lepiej, a drugi gorzej. Dam ci przykład: Wenecja, to piękne miasto, tysiąc razy piękniejsze od Tarnowa, a jednak znam kogoś, niezłe sytuowanego, kto chciał sobie gardło podcinać na San Marco z rozpaczą, że nie gnije w ojcowskim gnoju. A zatem nie wszystko złoto, co się w twoim drapaliskim sercu świeci!"

Takie mniej więcej myśli kłębiły się w głowie Ziółkowskiego, gdy spoglądał w przezroczyście, psio ufne oczy Drapalika.

Natomiast ten propagandowy nicpoń Ziółko, który z reguły popełnia tę samą nieuczciwość: poczuwa się do roli gospodarza w domu, który do niego nie należy, poczuwa się do współodpowiedzialności za coś na co nie ma najmniejszego wpływu, tak oto „zajął się” prośbą młodego tarnowianina:

— Co za pech! Mój dobry znajomy, konsul włoski we Wiedniu — błagował bez zająknięcia — wyjechał przed paru dniami na konferencję do Rzymu, i nie wiadomo kiedy wróci. To jedyny człowiek, który mógł nam sprawę załatwić od ręki. Hm, jeśli mam być szczerzy, taki wyjazd do Florencji łapu-capu, w nerwach i zadyszce nie ma większego sensu. Natomiast przychodzi mi do głowy co innego...

— Co takiego? — pomodlił się do niego oczami Drapalik.

— Stypendium! Włoskie rządowe stypendium dla polskiego miłośnika „Boskiej komedii”. Na pół roku. I tak zrobimy. Za jakieś dwa-trzy tygodnie jestem w Rzymie i porozmawiam z kim trzeba...

— Stypen...dium? — zadyszał się adiunkt z Tarnowa. — Na pół roku... i pan redaktor to załatwi?

— Załatwię.

Ziółko wyjął z kieszeni arkusik papieru, potrząsnął Parke-rem.

— Poproszę o pański adres, żebym wiedział gdzie napisać.

Ucichły szmery i szept. Ten zapis miał w sobie coś sakralnego. Ziółko, zaciągając się odświętnością tej chwili jak dobrym papierosem, powoli i dokładnie zapisywał adres na karteluszku. Drapalik poczerwieniał z radości. „Jutrznia” spoglądała na przybysza z Londynu z podziwem i uwielbieniem. A o to przecież chodziło.

Jeszcze niedziela. Przed wyjazdem na Kahlenberg obiad zjedli na Ballgasse, w „Bośni”, przy cygańskiej kapeli.

Ziółko, siłą rozpędu, popisywał się nawet przed jednoosobowym audytorium. Jakby w herbie nosił napis: „Dobre wrażenie za wszelką cenę!"

— Jak zjemy, królowo? — uśmiechnął się do wygłodzonej Marychny. — Po serbsku, po rumuńsku, po węgiersku, po bułgarsku czy po turecku? Do wyboru, do koloru. A może po francusku? Vis-à-vis jest „Klein Paris”.

— Najchętniej wszystko na raz — klasnęła w dłonie. — Niech pan nie zapomina, że pierwszy raz w życiu jestem za granicą. O rany, dwóch kelnerów! Nigdy mnie jeszcze nie obsługiwało dwóch kelnerów na raz! Fajno tutaj, co?

— „Fajno”!

— Nie ma pan pojęcia, ile ja wycierpiałam w życiu przez tego „londyńskiego” ojca! — zaczęła się skarżyć. — Na przykład: miałam grać przed trzema laty tytułową rolę w „Żabusi” Zapolskiej. W ostatniej chwili dzwonią z komitetu wojewódzkiego: „nie”. Zagrała, bez pojęcia, Pietrzakówna. To samo spotkało mnie w „Pannie Maliczewskiej”. Wie pan kto w końcu zagrał Maliczewską? To beztalencie Olczakówna! A gdy próbowałismy „Ożenek” Gogola...

Padły nazwiska koleżanek „bez pojęcia” i „bez krzty talentu”, padły tytuły sztuk, w których Marychnie nie dano pola do popisu; długa lista krzywd i niesprawiedliwości. Słuchał połową ucha; nie ma nic nudniejszego pod słońcem jak początkujący aktorzy: bez przerwy mówią o teatrze. O ile więcej taktu posiadają, na przykład, młodzi grabarze: po godzinach służbowych nie mówią o cmentarzu. Gdy skończyła, nawet połowa tego namiętnego aktu oskarżenia nie utkwiała mu w pamięci. Był moment, że Ziółko chciał coś kąśliwego powiedzieć o „niedopuszczalnej ingerencji partii w życie osobiste człowieka”, ale z braku przeciwnika i pola walki, zniechęcony, oddalił się; także i Ziółkowski popadł w długie milczenie.

Spojrzał ukradkiem na zegarek: w pół do trzeciej! I wnet skurczył się cały, tępo zapatrzył się w jeden punkt na obrusie. Nadchodził „Włocławek”. — Tutaj tak pięknie, tak dobrze... Prymas cyganów gra na skrzypcach, a pan siedzi z nachmurzoną twarzą — zaniepokoiła się Marychna. — Co się stało?

— Nic. Nie lubię niedzieli, to wszystko.

— Jak można nie lubić niedzieli?

— Widzisz, moje dziecko... — właściwie nie miał ochoty o tym mówić, ale o czymś wreszcie musi z nią porozmawiać, nie może przez cały czas siedzieć w milczeniu. — To jest tak: nie jeden pięknoduch, zwłaszcza pretensjonalny „artysta” spod znaku bohemy, nienawidzi niedzielnego popołudnia, a że to odświętnie ubrane „straszne mieszczaństwo” wyrusza z bachorami na spacer do parku lub na piknik do podmiejskiego lasku; a że to wrzaskliwy „fajrant” dla kucht, mających „wychodne” i dla żołdactwa, wypuszczonego za przepustką na miasto; a że to majufes nie do zniesienia, gdy ten wielotysięczny tabun wszelackiego tałatajstwa z rzeniem radości cwałuje do kina, do cyrku,

na stadion, na plażę, na karuzele, na tańce, byle tylko przyznać rację temu mądrym Anglikowi, który już przed wiekami westchnął z głębi piersi: „Życie ludzkie nie byłoby takie ponure, gdyby nie te rozrywki”...

— Fajne powiedzonko — zachichotała. — Muszę je powtórzyć chłopcom.

— Natomiast ja, zacna Marychno — ciągnął zmęczonym głosem — mam swoje własne, dość dziwaczne powody, dla których nie znoszę niedzieli, i najfatalniej czuję się po południu między drugą a trzecią... właśnie teraz. O tej porze, od czasu wojny, przeżywam swoją co tygodniową porcję lęku: pamiętkę po więzieniu śledczym we Włocławku; rok 1940... To było tak: co niedzielę po południu odwiedzały nas watahy żołdactwa, stacjonującego w mieście. Włocławek miał wtedy tylko jedno kino wojskowe, i to zaledwie na stu kilkudziesięciu widzów. Kto nie mógł się dostać do środka, kto w dzień deszczowy nie chciał włożyć się nad Wisłą, a spragniony był rozrywki, ten z nudów odwiedzał nasze więzienie. Strażnicy oprowadzali ziewających, źle wyhumorzonych gości po naszej zbiorowej celi. A cicerone, dyrektor mamra, tak wykrzykiwał: „Tutaj siedzą ci którzy. z wa gęła strzelali do niemieckich żołnierzy i dobijali rannych w szpitalach!” Tak tłumaczyli młodzieniaszkom, wręczając im po tuzinie pałek gumowych. Niemcy, niezli ludzie, ale mają jedną wielką wadę: wszystko można im wmówić. Toteż prali nas na oślep. Brali odwet za rozłękę od rodzin i swoich „fräulein”, za wojnę, za deszcz, za przerwane studia, za zmarnowaną młodość, za błoto we Włocławku. Nie ma im się co dziwić, pewnie sam bym młócił więźniów na ich miejscu. Nie takie historie ludzie wyprawiają z nudów. Ale jakoś nie mogę zapomnieć... Pamiętam nawet taki szczegół: tylko nieliczni zdejmowali do tego niedzielnego „sportu” marynarki i paradowali w szelkach, reszta wzbudzała w nas podziw swoimi nowiuśkimi mundurami wyjściowymi, nienagannie na kant zaprasowanymi spodniami z żółtym lampasem (bo to byli saperzy) i śnieżno białymi rękawiczkami. Bywały niedziele, że odwiedzały nas w ciągu jednego popołudnia trzy lub cztery takie „wycieczki”... Miło wspomnieć, co? — roześmiał się na zakończenie. — Od tego czasu, co niedzielę koło trzeciej po obiedzie, nachodzi mnie mój „Włocławek”, coś dla psychiatrów, przyływ strachu tak sprężonego, że muszę się pazurami wszcześcić w poręcz krzesła, by nie wyskoczyć przez okno na ulicę...

— Samobójstwo ze strachu przed śmiercią? — podniosła wyskubane brewki.

— Zdarza się i tak, moje dziecko.

Gdy wychodzili z „Bośni” na ulicę, Marychna spojrzała na niego oczami oszklonymi muzyką i winem:

— Bardzo smutne było to o tym Włocławku — westchnęła.

— Ale za to czardasz i wyżerka, że tak powiem: nie z tej ziemi!

Głuptasińska! — pomyślał. — Jest też przed kim wytrząsać bebechy...

Co prawda, był przygotowany na najgorsze: na Paluchównę spod jeszcze ciemniejszej gwiazdy. Lecąc do Wiednia, obawiał się, że córka tego wzbogaconego prostaka Palucha będzie uosobieniem sportowej tężyny: jakaś dyskobolka lub oszczepnica, zatrudniona w teatrze do przenoszenia dekoracji. Ogarniał go lęk na myśl o jej muskularnych ramionach i tydkach. Już widział przed sobą bluzkę pękającą od piersi. Stary Paluch miał bowiem czerwony, oskrobany kark gladiatora, potężne łapy kowala, a maniery jaskiniowca. Nawet go ta angielska żona nie potrafiła ucywilizować. Gdy w rocznicę „Cudu nad Wisłą” lub „Trzeciego Maja” zaglądał z łaski do polskiego klubu, z ust jego, już po dwóch dżinach, wydobywały się rubaszne dźwięki, a angielskie „my goodness” przeplatał rodzimym „kwamać”. Ta mała, na szczęście, w niczym nie przypomina swego ojca.

No, i jadą teraz we dwoje na podmiejską wycieczkę. On, „delegat tatusia z Londynu”, w nowiułtkim duffle-coacie z wielbłądziej sierści, we włoskich, zamiszowych ciżemkach o ostrych noskach, w szaliku ze stempelkiem „pura seta”, istny symbol wyższej stopy życiowej na Zachodzie, i ona, chuchro, lichorata, swojskie nieboże, jak z tego wiersza Lenartowicza, co to „wielki wicher, ulewa, a to idzie i śpiewa”, Marychna Paluchówna, paździorkowa Marychna...

Jadąc z „gościem z Polski” na Kahlenberg, na wzgórze z którego, jak pamiętamy ze szkoły, husaria runęła na Turczyzna, Henryk czuł się nieswojo. Wydawało mu się, że po niedzielnej wypindaczone Wiedenki spoglądają na dziewczynę z ironicznym politowaniem. Na jej paltko uszyte z kocyka w kratkę, na niciane rękawiczki, tendetne klipsy siggające do ramion, na tę mordkę zbyt zamaszycie pomączoną pudrem. Niemodna, za krótka spódnica z trudem zakrywa wystające kolana. Beret-muchomor w białe kropki, kwiatek we włosach, potraktowanych rurkami. Drobną, niedożywioną dziewczyną z dużymi oczami wzbudzała litość, nic tylko litość. Przywodziła na pamięć obraz Grottgera „W czas głodu” i fotografie sierot polskich, ewakuowanych podczas wojny z Rosji do Persji.

Mówiła zaś istic paździorkową polszczyzną: roilo się w niej od „równych gości”, „niewąskich facetów”, „byczych babek”, „morowych zajaw” i „dzikich zgryw”, a co drugie zdanie tryskał przymiotnik „fajny”.

Gdy uniósł ją dla żartu za szpiczaste łokcie, spostrzegł, że nie waży więcej niż jego pozostawiony w domu „Wichajster”. Lżejsza od psa! — pomyślał ze zdumieniem. — Jakoś nie utyla na Paździorka protekcji.

Marychna stąpała po zroszonej trawie ostrożnie i nieśmiało jak po drogocennym dywanie, nicianymi rękawiczkami gładziła parujące w słońcu krzewy.

— Jak tutaj fajnie, jak grzecznie na świecie!

Dunaj rzeczywiście błyszczał w dole jak zwój staniolu, jakiś biały domek przeświecał w oddali przez zieleń, rzekłbyś: namiot Wezyra, ale Henryka po tylu latach pobytu za granicą nie cie-

szły ani Dunaje ani Sekwany ani Tamizy. W szóstej wiośnie życia kąpał się w Zgłowiączce pod Włocławkiem, to bodaj jedyna rzeka, która wywarła na nim wrażenie.

W ogóle ci ludzie z „Jutrzni”, przedziwna trzódka! Niech ich bogowie socjalizmu mają w swej opiece! Każdy obcy Dunaj tak ich zachwyca, jakby własnej Wisły nie mieli u siebie w domu. Wystarczyło, na przykład, że zaraz po przyjeździe zajrzeli na moment do „Kalejdoskopu”, na jakąś dziesiątą wodę po Cocteau, na jakieś ni to „awangardowe eksperymenty” ni to „bajkowości” a „supermetafory”, a już stary koń Pawlik, co to pono zęby zjadł na teatrze, trąca łokciem Orzeszkowskiego i szepece z nabożeństwem:

— Spójrz, byku, to dopiero teatr! Patrz i ucz się!

— Chromołą — mówi Orzeszko, ale oczy wychodzą mu na wierzch z zachwytu.

A niezwykłość wcale nie była niezwykła: na różnych poziomach sceny odzywały się raz po raz głosy w megafonach, z ciemności wyłaniały się niby szczątki potrząskanych posągów to pół ręki, to pół nogi, to skorupa czaszki — zwykła sztuczka przy pomocy luster i reflektorów. Było się też czym zachwycać!

Albo dziś rano: ten wybuch entuzjazmu przed witrą „America House”:

— Płyty amerykańskie, muzyka jazzowa — pokazywali sobie palcami obrazek otyłego Murzyna z trąbką.

— Louis Armstrong! — poznali go od razu.

— A tam, patrzta chłopaki, Lionel Hampton! Na długo-graju!

— ...and his sixteen Black Bombers — wysylabizowała Marychna. — Fajne płyty, wielkie jak młyńskie koła, zaraz widać że amerykańskie...

Słowo „amerykańskie” także i ona wymówiła słodko-uśmiechniętym tonem. Jak prefekt, gdy dzieciom na nauce katechizmu mówi: „Pan Jezus”. Od takiego tchnienia omal białe lilie nie kwitną w powietrzu.

— 150 szylingów sztuka — jęknął jakiś młodzieniec z bliźną na policzku. — A nam ci zasańcy z dyrekcji dali po sto szylingów kieszonkowego na twarz.

— Na dzień? — oburzył się w Henryku Ziółko-propagandzista.

— Ale skąd? — oburzyli się chórem. — Na tydzień!

— Nie do wiary — przypieczętował Ziółko. — Po 15 szylingów dziennie, jak żebrakom! A na luksusowe wydawnictwa na kredowym papierze z fotografiami uśmiechniętych robotników, to pieniądze są!

— Panie „Londyńczyk”, jak babcię-drapcię — zwrócili się do Henryka. — Zafunduj braciom znad Wisły, sierotkom po matce-wolności, choć jedną płytę na pamiątkę, nie grobowcową ale gramofonową, na szczerot lepszego jutra!

— Nie szkoda pieniędzy na byle jazgot? — bronił się. — Za darmo bym nie wziął takiej muzyki, nawet za dopłatą!

Marychna z wyskubanymi brwiami spojrzała na niego z wyrzutem, wstrząsnęła główką aż szklane klipsy zadzwoniły jej przy uszach:

— Co? To pan t e ż tak uważa? Pan, emigrant, Polak z Londynu, od tylu lat na Zachodzie?

— Drugi Paździorek! Wróg jazzu! — roześmiał się ktoś szyderczo. — Nie ma co, możecie sobie z komsomolcem Paździorkiem rączki uściśnąć!

Milczał. Jak Podkomorzy w Panu Tadeuszu, „bo by krzyżowała młodź, że przeszkadza kulturze, że tamuje progresy, że zdradza! Taka była przesądów owoczesnych władza”...

Nie chciał ich sobie zrażać, chciał ich sobie pozyskać, więc uległ: kupił im tych Armstrongów i Hamptonów, żeby go nie mieli za stalinowca w masce emigranta, za barbarzyńcę gorszego od Paździorka. „Cóż ci zależy na szczeniakach, po jakiego diabła kokietujesz tę czeredę impertynentów, zostaw ich, niech sobie idą do Prateru na elektryczne autka czy na boogie-woogie do jakiegoś bajzelku poszaleć z „dziajsami”, szkoda dla nich twego cennego czasu!” — buntował się Ziółkowski, ale Ziółko wnet go zagłuszał propagandową perkusją: „Musisz na nich zrobić jak najlepsze wrażenie, to twój obowiązek. Na twoich barkach, emigracyjny Atlasie, spoczywa ciężar reprezentacji innego, lepszego świata. Jak cię widzą i słyszą, tak cię piszą i pamiętają: infekcja ideologiczna, Zachód — to ty, ty — to Zachód, poczuć się wreszcie współ!”

Nie wolno wreszcie przemilczeć obecności kilku ładnych dziewcząt w „cyrku Paździorka”. Przeważnie siedemnastolatki. Adeptki sztuki teatralnej.

— Paździorek — szydzi Orzeszko — jak Ghandi: stale z kożą...

Materiał ani chybi bezideowy, politycznie niewyrobyony, niechęć do budowy socjalizmu ma wypisaną kredką na ustach; tylko brzydactwa dążą do polepszenia świata. Już to w komsomole, już to w sodalicji.

Schował kwitek kasowy do portfela. Miejmy nadzieję, że mecenas Lach uzna celowość wydatku. Szło o niebyłe co: o „znalezienie wspólnego języka z młodym pokoleniem z Kraju”. Instrukcja CWW zezwalała na fundowanie słodyczy dla działawy i alkoholu dla dorosłych. Miał nawet prawo zapraszać wybitniejszych przybyszów na kolację, ba: na nocny oblot kabaretów, na taki *Paris* lub *London* lub *Rome* lub *Vienna by night*. Dlaczego nie mieliby zwrócić 600 szylingów za płyty?

— Dziękujemy za płyty! — zadzwoniła klipsami Marychna i wspinając się na palce cmoknęła go w policzek. Młodzieńcy zaś, obciążając na sobie swetry, z wdzięcznością ściskali mu dłoń krótkim, boksterskim uchwytem.

— Szkło mamy w hotelu — zapraszali. — Po przedstawieniu — cyk, cyk! machniem sobie małą przerwę w życiorysie!

A więc „szkło” — to w nowej, obrazowej polszczyźnie: butelka wódki, a „przerwa w życiorysie” : coś czego nawet w „Sło-

wniku pijackim" Tuwima nie uświadczysz, ochlaj „jakiego najstarsi górale nie pamiętają na Kaszubach”.

Przedziwnym mówili wiechem. Na przykład jeden z nich przechwalał się po knajacku:

— Obleciałem miasto na medal. Z samego rana zaiwaniam fiakrem do Burgu, by zobaczyć w skarbcu tę jejich kajzerską koronę Habsburgów z perełkami, a jakże regulaminowo w szklanej gablotce leżała; potem-cyk! — zasuвам do hiszpańskiej szkoły jazdy, do dworskiej ujeżdżalni, by na siwki sobie popatrzeć; stamtąd zapycham co tchu do parku pod tego faceta w źle zaprasowanych spodenkach, co na skrzypcach się zamierza, Johann Strauss w gipsie czy też w innym alabastrze; i przepisowo skaczem dalej do t-a-a-a-kiego (tu znamieny ruch kciukiem) zamku Schönbrunn, aby oko nacieszyć fontanną, sadzawką ze złotymi rybkami i innymi zabytkami z epoki feudalnego ucisku...

Przybysz z Londynu roześmiał się. Na widok tych swoich, buńczucznych gęb, odstających uszu, kościuszkowskich nosków i zepsutych zębów fala ciepła podpłynęła mu pod serce. „Twarze koloru ojczyzny” — mówi miękko liryk B*** w jednym ze swych wierszy. Tak, to twoja ojczyzna — ta zgraja fasoniarzy w wystrzępionych portkach, sine podkówki pod oczami, papierosik przyklejony do wargi, białka przekrwawione alkoholem. Dać im butelkę benzyny, a będą skakać na czołgi. Przez ułamek sekundy ujrzał znowu tamtych, sprzed lat: Kajman, Glizda, Kmicic, Słoń, Maciek, Dziryt... Stare dzieje. Ale szczer ten sam. Tragiczna dzieciarnia, umieralscy, śmiertelnie poważne niedorostki. Twarze młode, a oczy stare. Dzisiaj piją wódkę i klaszczą w dłonie pod chichot saksofonu, ale niech przyjdzie co do czego... Tak, na pewno ci sami, wiecznie ci sami, wyglądający swego szczurołapa. Niech im zagra na fujarce, wejdą do wody.

A ten ze szramą na policzku, rzekłbyś: młodszy brat Pochronia, przewrócił wesoło oczyma i pod kurtką rozwinął jakieś tajemnicze zawiniątko.

— Spójrz pan, co świsnąłem pepiczkom w pociągu! Podarek dla jednego żłoba z naszej partyjnej gazety. Jak wrócimy, to ja mu, panie, te tabliczki na drzwiach osobiście poprzykręcam. A wiesz pan dlaczego? Bo on furt nas ostrzega, żeby się niepotrzebnie „nie wychylać”, taki sukinwnuk zastrachany! A przecież, powiedz pan sam, im więcej się nas dziś „wychyli”, tym lepiej i tym bezpieczniej, nie? Bo nuż się jutro lub pojutrze wszystko zmieni na gorsze, to przecież wszystkich nas nie mogą wsadzić, nie?

Gromadka aż zatupała z radości. Co za zdobycz! Trofeum z czeskiej kolei! Spod brudnej szmaty błysnęły śnieżno białe tabliczki emalii z napisami: NE PAS SE PENCHER AU DEHORS — NICHT HINAUSLEHNEN — DO NOT LEAN OUT OF THE WINDOW — E PERICOLOSO SPORGERSI.

I już do głosu zgłasza się Ziółko. Ów notoryczny, zawodowy stawiacz kropek nad „i” odświętnym woła barytonem:

— Naród, który ma taką młodzież, nigdy nie zginie!
Ziółkowski zaś głaszcze ich po rękawach i wzdycha:
— Bidaki, nasze synki, daj im Boże.

Ale wróćmy na Kahlenberg, bo ciągle jeszcze jesteśmy przy niedzieli, przy tej pierwszej, jeszcze niewinnej, wycieczce we dwoje za miasto.

Usiedli więc z Marychną przy kawiarnianym stoliku, na tarasie z którego roztaczał się malowniczy widok na dolinę Dunaju — istny cinemascope! O tej godzinie zjeżdżają się volkwagenikami z całego miasta chmary kumoszek po pięćdziesiątce, przeważnie żony emerytowanych Regierungsratów, by zażyć ostatniej przyjemności w życiu kobiety: ... tortu z bitą śmietaną.

Marychna nie chciała słuchać ani o Sobieskim, ani o Leopoldzie, ani o Kara Mustafie. Nic ją nie obchodził obóz turecki, legat papieski, kaplica wdzięczności, cudowny obraz, dwadzieścia dwa tysiące wyborowego polskiego wojska.

— Nasze pancerne chorągwie skrzydlatej husarii... O, tutaj, z sąsiedniego wzgórza runęły w dół jak lawina...

Nawet nie spojrzała w tamtą stronę. Najpierw zjadła ciastko zwane omletem cytrynowym, potem wciągnęła potężny trójkąt tortu orzechowego, poprawiła go przekładanecem ananasowym, odpoczęła na chwilę dopiero po ptysiach z zapiekаныmi bananami.

— Niebo w gębie — roześmiała się, zawstydzona własnym takomstwem. — Aż wstyd się tak napychać, co? Ale wpuszczę jeszcze chyba kawalek.

Nachyliła czerwoną twarz nad filiżanką kawy, wciągnęła w nozdrza aromat espresso.

— To jest kawa — powiedziała. — To jest życie.

I nagle ogarnęła ją złość:

— A człowiek, proszę pana, żyje jak ten frajer, ciężki frajer: nie ma co włożyć na siebie, butów nie ma, kiecek nie ma, nic nie ma. Ja widziałam tutaj pantofelki na słupku. Obcas nie większy od grosika — tak ludzie żyją!

— Nie wszyscy, moje dziecko, nie wszyscy!

— Czy pan wie, czym dla kobiety, dla młodej kobiety, jest życie bez łazienki? Czy pan uwierzy, że w naszym teatrze umywalnia jest zepsuta od dwóch lat. Raz na tydzień jadę przedpotopowym autobusem na drugi koniec miasta do publicznej łaźni. Stoję w ogonku, czekam aż robotnice z garbarni zmyją swój brud pod natryskiem. Żeby pan widział te kafle, tę szatnię, te plugawe napisy i rysunki na ścianie! I ja z tym obrzydzeniem do ludzi mam grać Ofelię w Hamlecie, mam mówić pięknym wierszem, mam żyć teatrem i sztuką!

Oczy jej zaszyły łzami. Pogładził ją po ręce.

— Żeby pan widział nasze mieszkania! Od dwudziestu lat nieodnowione, ściany popękane, tynk sypie się na głowę, dach przecieka. Mieszkam z Kaźmierczakówną i chorą matką. Trzy osoby w jednej izbie, a w drugiej mieszka jeden dokwaterowany

oprych z żoną i dwojgiem małych dzieci. Co nocy bijatyka, co nocy pijackie krzyki i płacz przerażonych dzieci. Czy pan kiedy słyszał o piekle, które się nazywa „pokój przechodni”? Tutaj, w austriackim hoteliku, każdy z nas ma pokoik dla siebie, pokoik z łazienką. Chodzę po tym pokoiku, pięknym jak zaczerwowana szkatułka, i ciągle mi się chce płakać z radości. Pokój dla siebie. Dla samej siebie! Albo: idę tutaj, we Wiedniu, ulicą, ludzie się do mnie uśmiechają, obcy ludzie, szwaby, i czuję, że każdego lubię, bo każdy dla mnie grzeczny, a u nas, proszę pana, to ja ich nienawidzę!

— „Ich”? Kogo?

— Wszystkich! Wszystkich bez wyjątku! Nawet przechodniów na ulicy, chociaż ich nie znam, i te robotnice z garbarni, i koleżanki i kolegów z teatru, nie mówiąc już o tym zbójcu Paździorku — tego to już chyba najbardziej!

W tej samej chwili, jak spod ziemi, wyrósł za ich plecami nie kto inny a właśnie... Paździorzek!

— O zbójcu mowa, a zbój tuż! — przywitał ich salwą śmiechu.

Młodzieniec kłaniał się z przesadną grzecznością, Marychnie przesłał całusa ręką.

— Niespodzianka, co? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Szczęść Boże młodej parze!

Marychna aż pobladła z przerażenia.

Paździorzek ubrał się przy niedzieli nieco lepiej. Miał na sobie dwurzędową, granatową marynarkę, wciąęta do figury. Wyglądał jak wiejski elegant, który na motocyklu przyjechał w konkury. Pod szyją zawiązał sobie biały szalik, a kremową koszulę przyozdobił jaskrawym krawatem. Na żółte półbuty opadały szerokie, łącie marynarskie nogawki z szerokim mankietem; widocznie nowa moda męska: krótkie, luźne marynarki i nie za długie, wąskie spodnie jeszcze nie zawędrowała w rodzinne strony. Nieproszony, opadł na puste krzeselko, podrzucił czarny, cygański lok na czole, błysnął okiem i zaczął wyjaśniać obojgu, że odłączył się na moment od wycieczki austriackiego związku młodzieży komunistycznej i nie może teraz znaleźć swego towarzystwa.

— Nic nie szkodzi — machnął ręką. — Odsapnę tu sobie z wami i jak na „zbója” przystało (tu puścił oko do skamieniałej Marychny), wetnę sobie michę tortu z anansem, bo z tymi Austriakami i tak się dogadać nie mogę. Ten ich prezes, jakiś sławny gimnastyk, zdaje się że mistrz w skoku przez konia, wciąż mi pieprzy, że jest wpatrzony w nasz przykład, że my jesteśmy jakieś światło ze wschodu, słowem: stuknięty facet! Ale czy ja wam przypadkiem nie przeszkadzam? Tak czy nie?

Marychna milczała ze spuszczoną głową.

— Prosimy bardzo — roześmiał się Henryk i poczęstował Paździorka Chesterfieldem. — Witaj nam, witaj, miły hospodynie!

— Fiu! — gwizdnął Paździorzek. — Amerykański! To ja panu dam mojego, chińskiego. Jedni mówią, że tytoń jest ze stu kwiatów, ale według mnie to zwykła sieczka z siennika.

Umyślnie mówił do Henryka per „panie”, chociaż wczoraj, po pijanemu, w „Schwarze Katze”, pierwszy zaproponował mu brudzia. Wypili razem morze wódki, bawili się do trzeciej w nocy. Wywnętrzał się przed przybyszem z Londynu jak przed rodzonym bratem. No, trudno. Jeśli znowu zeszytniał, to jego sprawa. Wobec tego: będziemy dla szczeniaka chłodniejsi.

Nastała dłuższa, kłopotliwa cisza. Marychna nie podnosiła głowy znad filiżanki.

— Czy wolno wiedzieć, kim pan jest z zawodu? — zapytał Henryk, by tylko o coś zapytać.

— Bo ja wiem? — wzruszył chłopak ramionami. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Chodziłem kiedyś do technikum, wylali mnie. Potem do liceum pedagogicznego, też nie skończyłem, w ogóle nic nie skończyłem, chociaż donosów na moich wychowawców napisałem więcej niż listów miłosnych do dziewczynek. Był czas, że chciałem zostać nauczycielem. Moja matka, zacna, pocziwa chłopka, chciała, żebym został księdzem, oficerem albo co najmniej nauczycielem. Komunista księdzem — śmiech na sali. Krótkowidz oficerem — nie dało rady. No, to został ten nauczyciel...

— Piękny zawód — powiedział Henryk obłudnie. — Całkowicie niedoceniany...

— Czy piękny, nie wiem — roześmiał się Paździorzek. — Właściwie ma tylko jedną zaletę: gdybym umarł, dyrektor zakładu zmusi całą szkołę do pójścia na mój pogrzeb. Ale i w tym wypadku wielu uczniów wymówi się chorobą... Chciałem iść do teatru, nie mam dykcji. Chciałem pisać do gazet, robię błędy. Mam teraz niezłą posadę w ministerstwie, to wszystko.

Gdy na pół zamroczona Marychna, nie wiedząc co ze sobą zrobić, poszła do toalety, Paździorzek przestał dowcipkować. Wstał sprężyć się od stołu, nachylił się nad Henrykiem i roziskrzonym wzrokiem zajrzał mu w twarz:

— Te, lepszy gość z Londynu, emigracyjny hrabia! Dość tej ciuciubabki! Porozmawiajmy poważnie!

— Nie jestem hrabią! — parsknął Henryk. — Jestem zwykłym sobie Ziółkowskim.

— Hrabia, nie hrabia, wszystko jedno! Nie o to chodzi! — młodzieńcowi napęczniała twarz ze złości. — Ale ja ci dobrze radzę: zostaw dziewczynę, rozumiesz!... Moja jest, rozumiesz! Z Paździorkiem jeszcze nikt wojny nie wygrał!

— Zwariował pan? Cóż to za melodramat?

— Zwariował, nie zwariował — warknął Paździorzek. — Wara ci od niej, mówię! Nie rusz! Ja jej nie stracę, choćbym miał ją... Nie rusz, mówię, bo...

Nadszedł kelner. Paździorzek opanował się. Przeczesał czuprynę rozdygotaną ręką i, przeciskając się między stolikami, wyszedł z ogrodowej kawiarni na szosę.

— Poczekaj, głuptasie! — krzyknął za nim Henryk, ale już było za późno. W gorącej wodzie kąpany młodzieniec ulotnił się jak kamfora.

Nie bój się, syneczku! — chciał mu powiedzieć jak młodszemu bratu. — Jesteś w błędzie, a co gorsza: posądzasz mnie o zły gust. Na pewno cię nie „oszwagrzę”! Weź sobie tę niedomytą, rodzimą Otelię i bawcie się, moje dzieci, wesoło; róbcie teatr dla milicjantów z Końskowoli, opalajcie się w słońcu kapitalizmu czy tego waszego socjalizmu, róbcie co chcecie, ale mnie, proszę, dajcie święty spokój, amen!

Nie wiedział, czy się śmiać z tej październikowej napaści czy się nią smucić? Tak czy owak incydent zostawił po sobie nieprzyjemny osad. Najlepiej go splukać koniczkiem. Zamówił dwa Martelle. Jeden dla siebie, drugi dla tej nieszczęsnej Paluchówny.

Jako żywo nie był mściwy ani małostkowy, przed mściwością chroniło go lenistwo i brak odwagi cywilnej a przed małostkowością poczucie humoru i tak zwana „dusza artystyczna”, i w gruncie rzeczy nawet lubił tego zadzierzystego delegata, zjawisko bardziej kolorowe i sympatyczne od takiego, na przykład, mecenasa Lacha, ale...

Ale tak się wszystko jakoś „samo” ułożyło, że nazajutrz znowu się zobaczył z Marychną, wręczył jej wreszcie te nylony i dolary od starego Palucha, a w dwa dni później — „chcieliście wojny, no to ją macie” — znalazł się z dziewczyną o północy na łonie natury, ale o tym już było, i to dość dokładnie, na samym początku opowiadania.

Swoją drogą, skąd się biorą takie przygody mimo woli? Może z nudów? Może z nerwów? Może z pierwszych podmuchów wiosny?

A może z tej wiecznej pokusy, jaką stanowi samo odkrycie, bardzo smutne odkrycie, że nikt z nas nie wie dzisiaj, co zrobi jutro?

To ostatnie zdanie, oczywiście, wyraża myśl nie Ziółka, ale samego Ziółkowskiego, pisarza, *mamma mia*, „refleksyjnego”... I właściwie wcale nie grzeszy zbyt dużą oryginalnością, gdyż właśnie wczoraj, przechodząc koło Burgtheater, Henryk spostrzegł na afiszu tragedii Grillparzer’a „*Die Jüdin von Toledo*” takie oto motto: „największą winą człowieka jest, że w każdym momencie swego życia może uczynić zupełnie co innego niż właśnie czyni, a jednak tego nie czyni (Rabin Bunam)”.

Już w niedzielę poznaliśmy Wacka Paździorka dość dobrze, ale jeśli chcemy go poznać jeszcze lepiej, musimy się cofnąć do soboty, do pierwszego występu „Jutrznii” w stolicy Austrii, a więc, licząc od dzisiejszego czwartku, dokładnie o pięć dni wstecz...

Henryk wpadł do teatru jak burza, w biegu zrzucił palto w garderobie, zasapał się na marmurowych schodach. Pięć po ósmej! Już po trzecim dzwonku. Drzwi na widownię były za-

mknięte, korytarze ziały pustką, pustka odbijała się w dziesiątkach luster, i tylko fagas z twarzą marabuta szamerowaną pierśią bronił wejścia. Chcąc się dostać do środka, musiał dać bileterowi dwadzieścia szylingów w łapę. Dwa szylingi na pewno by nie wystarczyły: cerber był w liberii, miał siwe bakenbardy i białe rękawiczki, musiał pamiętać czasy Franciszka Józefa. Takich dostojnych starców właściwie nie wypada przekupywać, to nie po wiedeńsku. A jeśli się już nie da uniknąć tego przykrego zabiegu, pieniądze należy im wręczać z taktem. Poprosił więc o program, zapłacił dwudziestką i nie wziął reszty. Ach, wetknąłby marabutowi i pięćdziesiątkę w kieszeń, byle tylko wejść do środka i zobaczyć wreszcie ten teatr z Polski. Po to tutaj przyleciał.

Przeciskając się w ciemności między krzeselkami, od razu poczuł, że jest między swoimi.

— Co się tak pcha? — posłyszał karcące głosy. — Nie można było przyjść wcześniej?

Ledwie kurtyna poszła w górę, odsłaniając na scenie dworek, malwy i szlagona w surducie, na widowni rozległy się szepty podziwu:

— Boże, jakie cudne! Mietek, ty tylko popatrz: polski dworek!

A gdy wąsaty szlachciura gruchnął na całą salę siarczystą, zawiadającą polszczyzną od ucha do ucha, Henryka owiały nowe szepty zachwytu:

— Ty tylko posłuchaj, Mieciu, jak on mówi! Zaraz poznać, że to Fredro!

— Pani Kseniu, pamięta pani? Bo ja pamiętam: w 37-ym, w Narodowym. Dawali „Pana Beneta”. Stanisławski grał główną rolę...

— Co tam „Pan Benet”! Ja mogę panu całą obsadę „Dożywocia” powiedzieć z pamięci: Solski, Zelwer, Leszczyński, Fritsche... Solski grał Łatkę! Boże, jak on grał!...

Zbyt często rozlegało się to afektowane „Boże”, żeby nie spostrzec, że na sali przeważają polscy Żydzi, ci co po wojnie i kacetach osiedli we Wiedniu na stałe.

Rzeczywiście, w czasie przerwy, gdy zmieszał się z publicznością w palarni, przez chwilę miał wrażenie, że jest w przedwojennej Warszawie. Antrakt w Narodowym, Nowym, w Kameralnym, w Polskim, u Malickiej, czy w Ateneum! Cała epoka, jakby wskrzeszona spod potopu ognia i popiołu, objawiała się na tym wiedeńskim spektaklu. Ze wszystkich stron dochodziła go przesadnie staranna polszczyzna. Z uśmiechem sympatii, ba — niemal rozrzewnienia, przysłuchiwał się dwom brunetkom w futrzanych narzutkach, gdy rozmawiały ze sobą zdaniem tak okrągłymi, że można by je od razu drukować w gazecie:

— Muza Fredry jest na wskroś polska. Rzadko się zdarza w literaturze świata, by twórca mógł swoją sztuką w tak doskonały sposób wyrazić całą ojczyznę...

— Ów polski Molier ma przedziwny a rzadki dar podchwytywania śmieszności ludzkich. Dla mnie „Zemsta” jest prawdziwą uctwą duchową...

— Szkoda, że „Jutrznia” cierpi na brak lekkości i finezji. „Ślubów panieńskich” nie wolno przerysowywać, a tutaj lekko-myślny Gustaw i mazgaj Albin omal nie staczają się w przepaść groteski.

— Być może, ale co Fredro, to Fredro...

Ile to takich wygadanych, odczytanych brunetek zachwycało się u nas, na północ od Bielańskiej, każdą premierą, każdą nową powieścią, każdą wystawą i koncertem! Między złotymi bransoletami spozostreżal na niektórych ramionach numerok oświęcimski. Jak to dobrze — pomyślał — że jednak nie wszystkie zginęły w gruzach, drutach i piecach, że choć niektóre przetrwały śmierć i piekło, że żyją, wróciły do ludzkiej postaci, znowu chodzą do teatru i okrągłymi zdaniami mądrzą się o Fredrze. Cieszył go widok tych kosztownych futer, sukien i naszyjników, kunsztownych fryzur, uśmiechniętych twarzy, nowobogackiego zatrząskiwania drzwiczek we własnych Mercedesach. A niech sobie mają, na zdrowie! Widział je przecież przed laty sine od gazu, z ogolonymi do skóry głowami. Zwożono ich szkielety taczkami na stos wyższy od baraku. Były tak wygłodzone, że kości miednicy przebijały im skórę na biodrach. Życie płynie dalej, czas goi rany, na ludzkim popiole budują nowe domy, i tylko czasem, z okazji przyjazdu polskiego teatru do Wiednia, elegancki model paryski na przedwcześnie posiwiatają brunetce, suknia w podłużne paski, przypomni ci mundur wczorajszej śmierci: śmierzający kacetowy pasiak...

Jak tam też daje sobie radę córka „naszego” Palucha? Nie najgorzej, nie najgorzej. Rusza się, co prawda, niezbyt zgrabnie, ale głos ma przyjemny i rozumie swoją rolę. Gra Aniele. Właśnie woła na cały teatr:

*„Znam dobrze mężczyzn, ten ród krokodyli,
co się tak czai, tak układa snadnie,
by zyskać ufność i — zdradzić po chwili!”*

Oczywiście, Klara podoba się publiczności bardziej, co nie jest już winą Paluchówny, jeno samego Fredry: Klara ma więcej krwi i kości, Aniela jest mdła, aż dziw że Gustaw zagustował w gęsi, a nie w rezolutnym diabliku, ale widać taka już konwencja naszej narodowej sztuki, że na ołtarzu musi być gęś. W rówieśniku „Ślubów” „Panu Tadeuszu” także mamy smarkatą gęś, i „Nad Niemnem” gęś, a już u Sienkiewicza takiej infantylniej gęsiny na pudy... Ale do rzeczy: starsza generacja, Radost i Pani Dobrójska, dwoje rutyniarzy, grają jak u siebie w domu. Tak więc te nasze „Mädchenschwüre” (niemiecki tytuł komedii), jeśli już nic lepszego nie mamy do pokazania Austriakom, jakoś tam w tłoku uliżą.

W rzeczy samej, biło z tej sceny przez pięć aktów ojczyzną jak żarem z rozpalonego pieca, i Henryk czuł, że powinien się wzruszyć, jeśli nie artystycznie i estetycznie, to przynajmniej patriotycznie. A jednak ta ulewa rodzimego słowa nie robiła na nim większego wrażenia.

Musiałem się wynarodowić? — pomyślał. — Już mnie się Fredro nie ima.

Chociaż... kto tam wie? Rozmaicie z tą moją „Polszczyzną napowietrzną” bywa i dziwnym nieraz korytem sączy się moja strużka nostalgii. To wysycha, to wzbiera, to w podziemnym ukrywa się łożysku, by w najmniej oczekiwanym momencie... Na przykład przed dwoma tygodniami... aż wstyd mówić... Gdy zatrzymał się przejazdem w Monachium, usłyszał w radio bawarskim pogadankę dla dzieci. Dziadzio-ornitolog tak bajdurzył w ebonitowej skrzynce: „*Liebe Kinder*, powitajcie przelotnych gości w naszym mieście! Mewy które od kilku godzin krążą nad Izarą, to nie nasze, monachijskie mewy, ale obce. Nie szczędźmy im pokarmu w dniach mrozu, to polskie mewy, wracające właśnie z południa na północ, do swojego domu”... I on, dorosły bałwan, prześmiewacz wszystkich i wszystkiego — co za dziecinada! — pobiegł nad rzekę, by razem z dzieciarnią rzucać kawałeczki bułki „polskim” mewom... Jakby mewy miały swoją przynależność narodową, koń by się uśmieł! — Co prawda, — usprawiedliwiał się później przed sobą — było to w niedzielę po południu: zbliżał się mój przeklęty „Włocławek”... Woląłem pobiec dokąd oczy poniosą, niż siedzieć samotnie w hotelu...

Po przedstawieniu związek przyjaźni polsko-austriackiej zaprosił „Jutrznę” do gospody „Pod Aniołem” na skromne przyjęcie.

Henryk poczuł się nieswojo. Właściwie nie powinien był tam pójść: nie dostał zaproszenia. Ziółkowski, człowiek z natury delikatny, oblewał się rumieńcem na myśl, że organizatorzy przyjęcia gotowi go wyprosić za drzwi, ale życiowo zaradny Ziółko nie zrażał się drobiazgami: z racji swoich dość dziwnych zainteresowań potrafił się wszędzie „wślizgnąć”, zwłaszcza tam gdzie go niemile widziano. Nie znając uczucia fałszywego wstydu, wyrzucony przez okno, z uporem reportera brukowej gazety, wracał kuchennymi drzwiami.

Gdy wszystko zawodziło, Ziółko wydobywał z tylnej kieszeni spodni broń niezawodną: legitymację międzynarodówki uciśnionych dziennikarzy. Wymyślono ją niegdyś w CWW w Londynie za dawnych, dobrych lat wojny koreańskiej. Cudowny wynalazek zaopatrzony był w dwa duże napisy: „*Carte International de Journaliste*” i „*International Press Card*”, fotografię, kilka nieczytelnych podpisów, i co, bardzo ważne, w safianową okładkę; słowem: wystarczył kciukiem zasłonić ciąg zdania: „... of Central and Eastern Europe and Baltic and Balkan Countries”, a dokument z miejsca traci swój dipisowsko-emigracyjny charakter, staje się czymś wszechświatowym, transkonty-

mentalnym, niemal międzyplanetarnym. Trudno nawet mówić o nadużyciu: jeżeli się przez tyle lat w polemikach i dyskusjach cytuje tylko to, co nam w danym momencie wygodne, dlaczego by nie zasłonić kciukiem tego lub innego słowa?

Niewłaściwość? Nie przesadzajmy. Przypomnij sobie choćby jedną z niemiejszych „niewłaściwości”: póki Howard Fast był gorliwym komunistą, pisałeś o nim: „pospolity grafoman”, ledwie zerwał z komunizmem, nazwałeś go „wybitnym pisarzem amerykańskim”, a przecież sam wiesz, że w ciągu jednej nocy nie napisał nic takiego, co by mogło usprawiedliwić radykalną zmianę poglądu na jego walory literackie. Oczywiście, mały kompromis, życia składa się z takich drobnych ustępstw i koncesyjek. I tylko czasami, gdy przepłuczesz serce alkoholem lub nawiedzi cię twój historyczny „Włocławek”, przerzucasz się w drugą krańcowość: odkrywasz w sobie skrupulatne sumienie. I wtedy rozpaczasz, że od takich właśnie drobnych „niewłaściwości” zaczynają się wielkie nieprawości. I zapisujesz w pamiętniku, Ziółce ku przestrodze: dzień w którym sobie powiadamy: „wolno ci napisać wszystko” jest początkiem naszej śmierci.

Wszedł do środka bez trudu. Safian ze złotymi literkami zrobił swoje. A gdy go w imieniu komitetu przywitało na progu kilku starszych panów w binoklach (wyglądali na slawistów z wiedeńskiego uniwersytetu), stwierdził nie bez melancholii, że magia słowa „Press” działa nie tylko na analfabetów.

Zauważył, że gdy byle pętaczyna, jakiś drugi, czy trzeci asystentek reżysera Burgtheater witał się z naszymi aktorkami, podrywały się z krzeselek z takim respektem, że omal im sztuczne kwiatki nie wylatywały z fryzur. Mizdrzą się w rozmowie jak kuchty. Znowu ten przeklęty kompleks. W niczym nie gorsi od innych linoskoczków, wciąż czują się nieślubną dziatwą na świecie.

— Tylko ostrożnie! Proszę się wystrzegać Paździorka! — szepnął mu w przejściu dekorator Orzeszkowski. — To ubek. Wszystko widzi i słyszy, a potem, po powrocie do Polski...

Zwariowali? Istna psychoza z tym Paździorkiem!

Na wstępie jeden z tych siwiutkach, zacnych przyjaciół Polski wygłosił dłuższe przemówienie, w którym między innymi powiedział, że... Zaraz, co on właściwie powiedział? Aha, że Wschód i Zachód powinny współpracować ze sobą; kto jak kto ale właśnie Polacy i Austriacy potrzebują dzisiaj pokoju, dwa narody, które wycierpiały ponad miarę; dalej: że teatr łączy narody, sztuka obala granice; przedmiotem naszej wspólnej troski jest Człowiek; świat czy chce czy nie chce, staje się jednością; polski wkład do dziejów kultury światowej jest niezwykle cenny, gdyż narodowi naszemu historia szczególne wyznacza zadania...

— Co on mówi? — dopytywał się Paździorzek. — Przetłumaczcie mi, bo ja po szwabsku ni chu-chu!

— ...że powinniśmy coś tam... razem... — wymamrotała „Wygrzyziona”, aktoreczka którą nazywano tak dla jej artys-

tycznego uczesania z poszarpanymi włosami — ...ramię przy ramieniu, i takie tam różne duperele.

— Austriackie gadanie — syknął delegat. — Nie lubię Austriaków. Najpierw, panie, te rozbiory Polski, a potem... Co tu wiele gadać: Hitler też był Austriakiem. Jak przyjechał do Wiednia, na wiosnę 38-go, sto tysięcy ludzi płakało na Ringu ze szczęścia, śpiewało, wiwatowało. Żadna bujda, historyczny fakt.

— Ciiicho, nie tak głośno — jęknął reżyser. — Oni rozumieją po polsku, na pewno są wśród nich krakauery.

Staruszek skończył, zdjął binokle, podziękował za oklaski parokrotnym przyłożeniem siwej bródki do kamizelki. Nastąpiła długa, kłopotliwa cisza.

— Paździorzek, trzeba mu coś odpowiedzieć — rozległy się gorączkowe szeptu wśród polskiej ekipy. — Teraz na nas kolej...

— Pawlik, mów! W imieniu teatru... Lu go!

— Po jakim? Mój francuski, wicie, nienadzwyczajny — wymawiał się reżyser. — Ale Orzeszek mówi po niemiecku!

— Ja po niemiecku? Nigdy w życiu. Owszem, czytam, ale nie mówię. Od czego jest Paździorzek, delegat ministerstwa?

— Przecież nie będę przemawiał po polsku ani po kacapsku — zezłościł się młodzieniec. — Niech mówi ktoś w imieniu aktorów! „Wygrzyziona”, saganistka jesteście, w portkach chodzisz po ulicy: zaparuj no coś po francusku! Dwa, trzy zdania: że Polska i Austria... dla dobra pokoju... i tak dalej klitusz-bajduś!

Dziewczyna z przerażenia zachichotała i po chłopsku ukryła twarz w dłonie. Ładna mi „saganistka”!

Cisza wydłużała się w nieskończoność. Nie wolno jej było przeciągać ani sekundy dłużej. Trzeba natychmiast ratować sytuację. Henryk nie wytrzymał. Podszczyty przez Ziółkę, uderzył łyżeczką w kieliszek i w ostatnim ułamku sekundy przyszedł rodatkom z odsieczą.

On, emigrant, „obce ciało” w zespole, a w tym wypadku stuprocentowy samozwaniec, przekazał przyjaciółom znad Dunaju pozdrowienia z Kraju, podziękował za gościnność. A potem zaczął mówić o „osi kulturalnej” Kraków-Wiedeń, o wystawieniu „Nie-Boskiej” przed wojną w Burgtheater, o Rittnerze, równie dobrze znanym w Polsce jak i w Austrii...

— Dopiero dzisiaj, w epoce barier, podziałów i szowinizmów, potrafimy wymierzyć sprawiedliwość przeszłości — podmaślił starym profesorkom — potrafimy ocenić, ile mądrości i europeizmu tkwiło w tolerancyjnej polityce narodowościowej przedwojennej Austrii.

— Co on, chłopaki, mówi? — słyszał za plecami niespokojny szept Paździorka. — Czy nie wygaduje na władzę ludową?

— Nie — uspokoiła go „Wygrzyziona”. — Wszystko w porządku. Sam byś lepiej nie powiedział.

Gdy skończył mówić, zadowoleni staruszkowie uściśli mu ręce, wypito na pomyślność obu narodów, a Paździorzek powiedział:

— Ten numer jakoś przeszedł, wybawił nas pan z kłopotu.

Ale kto wie czy po powrocie do Polski nie będę miał z tego powodu grandy w Warszawie...

... a ja w Londynie — pomyślał Henryk. — Nie wiem, co na to powiedzą „towarzysze broni” z CWW?

— W każdym razie — powiedział Paździorek — masz pan u mnie dwie wódki!

Wypili je w „Schwarze Katze”, w nocnym lokalu, dokąd wybrali się całą paczką. Wiedeń skrzył się o tej godzinie pawim ogonem reklam, świateł i neonów. Młodzież z „Jutrznii” jadła światło zachwyconymi oczami, i tylko jeden Paździorek nie dawał się nabrać na uroki kapitalistycznego świata:

— Neony, a jakże: ładna zabaweczka, zgadza się, igraszka dla oka — tłumaczył swoim podopiecznym w taksówce. — Ale czy pomyślał ktoś z was, ile też biedny, austriacki robociarz na przedmieściu musi się naharować jak bydlę, żeby się one światełka paliły w centrum miasta?

Henryk nie po raz pierwszy stykał się z podobnym odruchem samoobrony. Niedawno, w Paryżu, spostrzegł, że grupka młodych komunistów pierwsze swoje kroki po przyjeździe z Warszawy skierowała na przedmieście, na poszukiwanie dzielnicy nędzy. Także i w Londynie rzuciła się na plan miasta, by jak najszybciej przypatrzyć się na własne oczy osławionym „slum-som”. Czy to nie zabieg z dziedziny terapii? Dla podniesienia samopoczucia? Nasuwa się niemiłe podejrzenie, że oni, przyjaciele świata pracy, chcą widzieć nędzę robotnika na Zachodzie. Istnienie nędzy utrzymuje ich w lepszej formie. Przywraca im zaufanie do własnych przemówień.

Niestety, night-club „Schwarze Katze”, chociaż położony w stolicy walca, okazał się mordownią dla ucha, straszliwym tartakiem „hot-jazz”owych dźwięków. Henryk z Paździorkiem chcieli się czym prędzej cofnąć, ale reszta towarzystwa, zwłaszcza dziewczątka w sweterkach przekłutych piersiami, z wraskiem radości obsiadła stoliki. „Wygryziona”, jeszcze przed godziną w skórze Klary, już wierciła kuperkiem w takt zwariowanej kakofonii. Marychna, już nie mdła Anielcia ze „Ślubów pańskich”, także klaskała w dłonie. Chłopcy zaś nie zdejmowali oczu z Murzynki w złotej sukni, i wcale ich nie raziło, że czarna gorylica charczała do mikrofonu męskim barytonem. Młodzi otrząsali się tutaj z Fredry jak psi po wyjściu z wody. Chcieli po tym galicyjskim Molierze tupać, gwizdać, klaskać, krzyżeć i pić, pochuliżanić na całego. Nie codzień się przyjeżdża do Wiednia. Bawmy się, bo za pięć dni wracamy na ojczyzny łono!

Paździorek, o dziwo, nie miał mocnej głowy. A może był po prostu zmęczony nadmiarem wrażeń i odpowiedzialności, bo już po dwóch śliwovicach stał się niezdolny.

— Ubranko jak z żurnala, angielska welenka... — przycepił się do Henryka. — Koszulka jedwabna i krawacik jedwabny, a spincezki ze złota. Ma się te kochane pieniążki, co? Kto wam też płaci?

— Żyję z pióra, robaczku — odparł Ziółkowski. — Od Czang-kai-szeka nie wziętem ani grosza.

— Ciekawe, kto wam też płaci? — delegat robił się coraz agresywniejszy. — Może Eisenhower? Może Adenauer? A może jakieś inne Nato? Ale jedno wam powiem: ja jestem marksistą i żaden Mister ani Herr Ziółkowski mnie nie przekona. Wasz świat się skończył. Definitywnie, *comprenez-vous*?

— Nasz świat? Który? Emigracja? — podrzucił Ziółko, myśląc sobie w duchu: „Nieźle. Zbierzemy trochę materiału do „pracy zleconej” na temat: „Opinia młodego komunisty o naszej emigracji politycznej”...

— Emigracja — roześmiał się Paździorek. — Czemu nie: może być pożyteczna. Jak ten diabeł w religii: żeby nią straszyc dzieci. Wielka Nieobecna. „Nie będziecie grzeczni, przyjdą emigranci i zabiorą wam ziemię”. Tak czy nie, szanowny wrogu?

— „Tylko wróg namawia do mycia nóg” — parsknął Pawlik, żeby rozładować atmosferę, a dziewczęta oświadczyły:

— Nie mówcie o polityce, my chcemy tańczyć!

Delegat zapalił papierosa. Trzymał go w palcach niezgrabnie jak parobek wieczne pióro. Nie łapze go w dwa palce — chciał mu powiedzieć. — To nie wykałaczką. Palenie papierosów to coś więcej niż samo zaciąganie się dymem, to balet palców.

— Tak jest: jego świat jest zgniły — delegat pokazywał papierosem na Henryka. — Jego świat nie jest zdolny do ofiar i poświęceń. Ani do twórczego wysiłku. W Pradze rozmawiałem z pewnym młodym Rosjaninem, który po kilku latach studiów w Paryżu znajdował się w drodze powrotnej do Moskwy. Wiecie co mi powiedział? Mogłem zostać we Francji na stałe — powiedział mi — ale tamtejsza wolność mi nie wystarcza. Nasza, sowiecka, jest pełniejsza. Francuska wolność — tak mi powiedział — nie ma skrzydeł, jej przyziemność nie zmienia życia ludzkiego i nie przekształca świata, ona po prostu jest, nie więcej. A u nas, w Rosji — tak mi powiedział — człowiek mimo wszystkich niepowodzeń i utrapień czuje się budowniczym czegoś nowego, życie nie schodzi mu tylko na walce o byt, na picciu wina i jedzeniu kurcząt w niedzielę. Cóż warta jest wolność — powiedział mi ten rozgoryczony student — jeśli nie zdobywa z ludzi twórczej energii? Nasze życie w Rosji ma głębszy sens i cel: my myślimy o jutrze i my żyjemy dla innych. Nasza sowiecka wolność tworzy, walczy, nie godzi się na stare zło... i tak dalej... I co pan na to?

— Co ja na to? — westchnął Ziółko. — Nic. Drętwa mowa. Stara, ograna na wszystkie boki płyta gramofonowa. Do tego właśnie zmierzają wysiłki wychowawcze tamtego systemu: by człowiek nawet niewolę odczuwał subiektywnie jako wolność...

...a tutaj, kochaneczku — pomyślał wieczny adwersarz Ziółko, Ziółkowski — możesz nieraz wolność odczuć subiektywnie jako niewolę... Wszystko jest względne.

— Wasz świat jest zgnity — upierał się Paździorek. — Czy wy chcecie rozpałcić młode umysły i serca? Dokąd wy idziecie? Wy się nawet bronić nie umiecie. Wy czekacie co będzie dalej. Od czterdziestu lat czekacie, aż tamto na wschodzie samo się rozpadnie. Co wy im, to jest... nam, macie do przeciwstawienia? Cnotliwe pogadanki radiowe o Abrahamie Lincolnie i Tomaszu Jeffersonie? Nowy model samochodu? Złoto? Więcej broni wodorowej? Trochę mała, Mr. Ziółkowski!

— Wacek, zejdź z pana Ziółkowskiego — Marychna odsunęła mu kieliszek. — Znowu zaczynasz?

— Wy sobie myślicie: Paździorek, chłopski synek, szczeniak bez dyplomu, języków obcych nie zna, co taki może wiedzieć, a ja więcej wiem i umiem niż wam się wszystkim zdaje...

— Niewątpliwie — poklepał go Henryk. — Pijmy dalej!

Pili dalej. Pili, ogłuszeni muzyką i nieludzkim wrzaskiem tańczących. „Wygryziona” już wywijiała z dwumetrowym Murzynem w amerykańskim mundurze, chłopcy przyuważali sobie jakieś rozchichotane wiedenecki. Trąbki rzeziły bez litości. Polyskująca białkami gorylica, charczała na estradzie coraz głośniej. Okleiła swoje wypłiaste wdzięki przedziwną suknią: z przodu trójkąt pod samą szyję, a z tyłu dekolt odsłaniał ją niemal po biodra. Między płatami złotej materii połyskiwały lśniące porcje czarnej połędwicy, jakby wypolerowanej pastą do butów. Dzikie „tam-tam” zamieniło „Schwarze Katze” w afrykańską puszczę.

— Tyleśmy się razy wszyscy sparzyli na wielkich ideach, drogi Waciu — wtrącił Orzeszek — że może raz, dla odmiany, spróbujmy pożyć przez jakiś czas bez świętego ognia i bez łopotu skrzydeł? Ot, jak mróweczki, po maleńku, po cichutku, milimetr po milimetrze, kieliszek po kieliszczku... Niech się już dziatki naszych grabarzy martwią o ten zakopcony globus!

Paździorek w odpowiedzi wydał wargi. Gardził dekoratorem.

— Ty już, pędzelek, nic nie mów: całe życie siedzisz na dwóch stołkach — wyręczył go Pawlik.

— Znam gorszą rzecz niż siedzieć na dwóch stołkach: stać! — odszczeknął się Orzeszek. — Inni siedzą, a ty, bracie, co za makabra: stoisz, i to w tylnym rzędzie...

— Przypomina mi się mój przyjaciel, pewien młody konserwatysta z Oxfordu — dorzucił Henryk dla odprężenia. — On też chce budować coś Nowego. Jemu też głód Idei nie daje spokoju. Boli go życie w próżni i bezczynności. Zwołuje więc ludzi na meetingi i tak im powiada: „Oni, tam, na Wschodzie, budują coś Nowego w zakresie społecznym i gospodarczym. Przyjmijmy tę nowalijkę bez trwogi, bo nawet jeśli ten barbarzyński, sowiecki system zapanuje w Wielkiej Brytanii, *ladies and gentlemen*, nic nam nie zagraża: my go uszlachcimy. Przejęty do naszego herbu, nobilitowany przez Koronę, może się stać piękną i pożyteczną bronią w walce politycznej z naszym wspólnym wrogiem: z tą ohydą *British Labour Party*...

— Toć mówię przez cały czas — roześmiał się triumfująco Paździorek — że wasz świat jest zgnity!

Pawlik nachylił się Henrykowi do ucha, chuchnął alkoholowym jadem:

— Paździorek, chociaż ma kapuśniaczek w mózgu, ma sporo racji: wasz świat jest spróchniały. Weźmy taki przykład: przed przeszło stu laty, gdy na jednym końcu Europy zabrzmiał krzyk: „Za waszą wolność i naszą”, na drugim końcu kulbaczo konie. Ochotnicy brali broń do ręki i szli przelewać krew za wspólną sprawę. Dzisiaj wystarczy gest zastępczy: jedzie się autobusem do szpitala, by ofiarować sto gramów krwi do ampulki. Oto droga, jaką ludzkość przebyła od „Wiosny Ludów” do powstania na Węgrzech. Panie, ja ten Budapeszt odchorowałem...

— Ja też.

— Był pan tam może?

— Byłem — szepnął Ziółko. — Jako korespondent „United Press”.

I znowu blagujesz — pomyślał Ziółkowski. — Po to tylko, by w oczach tego pocziwca na sekundę zapaliło się światełko nabożnego podziwu? Znowu to swoje błazeńskie motto: „Dobre wrażeń za wszelką cenę”!

Marychna chciała się dowiedzieć, jak wygląda jej „londyński” ojciec.

— Uroczy, starszy pan. Dystyngowany w ruchach — mówił Henryk. — Ma w sobie coś z lorda, delikatny w obejściu...

Przecież nie może jej powiedzieć: „największy cham, jakiego widziałem w życiu”.

— A dlaczego nie przyjechał do Wiednia, jeśli... taki „delikatny”?

— Nie wiem. Musiało mu wypaść coś ważnego...

— Wielki buc, mały wódz, ten twój tatko ukochany — chlapanął Paździorek bez najmniejszych ceremonii.

Marychna milczała, obłana rumieńcem.

— Chłopaki, rock and roll! — dobiegł ich z tłumu krzyk zdławiony „Wygryzionej”.

Z kolei Paździorek nachylił się przybyszowi z Londynu do ucha:

— Bo to ja pana potępiam czy co? Taki już nasz zakichany los, los małych narodów: jedni muszą coś nie coś zrobić dla Amerykanów, inni znów dla Ruskich. Tak czy nie, szanowny wrogu?

— O, wcale nie wszystko jedno, czy się człowiek opowiada za wolnością czy niewolą — zaprotestował Ziółko. — Lepiej zamiatać ulice w wolnym świecie, niż się rozjeżdżać limuzynami w niewoli.

— Propaganda — ziewnął młodzieniec i nagle spostrzegł, że Orzeszkowski położył kędzierzawą głowę na stole i zabiera się do spania.

— Orzeszek, nie pij tyle! — zawołał zadziornie. — Wstyd

nam przynosisz spaniem na stole. Nie jesteś u siebie, w oborze. Jesteś w cywilizowanym świecie.

— Dobranoc — wykrzywił się dekorator. — Dzieci, spać!

— Niedoceniony geniuszu z Woli Radziszowskiej, felczerze filozofii, pacykarzu-abstrakcjonisto, którego kleksy na obrazach dały klasie robotniczej nowy wzór na krawaty, opamiętaj się, mówię! Więcej godności ludzkiej!

— Wacek, zejdź z towarzysza Orzeszkowskiego. — Marychna odsunęła mu kieliszek. — Znowu zaczynasz?

Ale Orzeszek już przełamał swoją „barierę lęku”. Po piątym kieliszku nikogo się nie bał. Choćby tu diabeł sam... Podniósł przedwcześnie postarzałą twarz, odsłonił zepsute zęby w kwaśnym, pijackim uśmiešku:

— Co mi tam kawaler będzie pieprzył o jakiejś „godności ludzkiej”? Co to jest? Nie znam takiego pojęcia. „Człowiek, to brzmi dumnie”, he-he! Jako marksista nie gorszy od was, kawalerze, powiadam: ostrożnie z takim idealistycznym żargonem! Nie raziłby mnie brak precyzji intelektualnej u wioskowego wikarego, ale u delegata ministerstwa kultury? Chyba uczyli was, kawalerze, w szkółce partyjnej, że już nie raz wyrzucano na śmietnik historii to wasze równie nieuchwytnie jak zarozumiałe pojęcie „godności” człowieka, pępka uniwersum, że rozwój nauki już nie raz przydepnął „homo sapiens” nagniotek miłości własnej. Raz sprawiła nam tę przykrość kosmologia: znany kawalerowi ze słyszenia Kopernik; nikt tak nie umniejszył człowieka jak właśnie ten nasz „volksdeutsch” Kopernik. Drugi raz — biologia: niemiłe, można powiedzieć, wręcz nietaktowne rewelacje Darwina. A ostatnio — psychologia: żenujące wprost grzebanie się w podświadomości, niesmaczne żarty niejakiego Freuda. I co mnie kawaler będzie zawracał głowę „godnością ludzką”? Mnie, wokół którego słońce się już nie obraca. Mnie — potomkowi czworonogów. Mnie — z węzowiskiem w bebeczach. Pozwólcie więc Orzeszkowi uchlać się, zasnąć na stole, i być świnia. *Quot erat demonstrandum. Dobranoc!*

To mówiąc, zwałił się ciężko łbem na blat stołu i zasnął.

— Kopernik nie był „volksdeutschem” — zaprotestowała poczciwa Marychna.

— Mówił do was sam towarzysz Orzeszkowski, najmętniejszy łeb w Woli Radziszowskiej! — Paździorkowi z oburzenia spadł lok na czoło, odgarnął go szyjką butelki. — Sam się, bęcwalisko tchórzem podszyte, ześwinić nie potrafi. Kopernika, Darwina i Freuda wzywa do pomocy. Widzicie, Mr. Ziółkowski — zwrócił się do Henryka — z takimi Orzeszkami budujemy socjalizm. Orzeszek — to brzmi dumnie, ha-ha! „Gdy wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom rosną skrzydła, natomiast trzęsą się portki ptakom”.

— Jego świat jest zgnity — zrewanżował się Henryk.

— Na szczęście Orzeszków mamy niewielu.

— Paździorków za to na kopy — roześmiał się Pawlik. — Zdrowie Wacka!

Pili dalej. W jakąś godzinę później, gdy delegat, przeprosiwszy towarzystwo, zdjął marynarkę i pokazał przy tej sposobności nowe, już w Wiedniu kupione szelki, z ust jego padła nieoczekiwana propozycja.

— Jeśli mogłem wypić brudzia z tym hyclem Barankiem w Pradze, co to, wiecie... To tym bardziej z królem szpionów amerykańskich, Ziółkowskim. Ale klasy pracującej i, jak się to mówi, jej zdobyczy nie zdradzę, socjalizmu się nie zaprę, choćbyście mi worek złota położyli na stole. Chcesz, bracie, rozkład jazdy kolejki grójeckiej, spis ulic w Sochaczewie, adresy burdelików w Warszawie, proszę bardzo, już się robi, ale od ludu, od świata pracy, jak się to mówi, wara! Wy jesteście lepsi goście, skarpetki i koszule dwa razy na dzień zmieniacie, a ja co? Wacek jestem, biedny, nieszczęśliwy Wacek Paździorek, syn Walentego i Marii z domu Wilga, drobny pajaczek jestem, z awansu społecznego. Mój tatko... Ale co was obchodzi mój biedny tatko? Nie jesteście warci, żeby mojego tatkę...

— Wacek, brudzia! — przerwał mu Henryk. — Żeby nam się!

Wypili jednym haustem, wycalowali się.

Chłopak był gotów. Mówił z wysiłkiem, ale za to z jakimś innym, odmrożonym wyrazem oczu. Widać było, że go coś gryzie.

— Orzeszek łże, i on sam dobrze wie, że łże — nie mógł zapomnieć oracji dekoratora. — Człowiek nie jest byle lajmem...

— Nie jest!

— I godność swoją też ma!

— ...też ma!

— Ino że tak cholernie trudno jest być człowiekiem. Wiem coś o tym...

— I ja wiem...

— Ja tylko tak szczenięco wyglądam. Jeden staruch w Warszawie mówi na mnie: „brzdąc”, ale, wierz mi, to ja mógłbym być jego dziadkiem. Nie śmiej się, mnie to boli... Rano, przy goleniu, patrzę w lustro i mówię sobie: „kto ty jesteś, Wacek? K...! Stara, męska k... jesteś, rupieć moralny, ścierwo i śmieć!” Nie myśl, że się chcę rozrzewniać nad sobą, pies mnie drapał, ale pomyśl, bracie, pomyśl tylko: dziesięć lat młodości, jakby nie było, skopanej i zgnojonej przez kłamusiów, kapusiów i w mordę-bijców, i przez samego siebie, a to boli najwięcej. Już jako pachole, jak ten Pawełek Morozow, co to własnego tatkę na powrozie na milicję popędził... Moje donosy na zetempowskich blankietach wykańczały starych belfrów; jeden się, sukinsyn, nawet powiesił. Moje nocne zajazdy „hejże na kułaka!”... Długo by o tym mówić, ale po co? Uczyli nas na kursach, że ilość przechodzi w jakość. Ile też drobnych świństewek musi zrobić człowiek, by przestać być człowiekiem? Sto? Ty się? A może wystarczy jedno? Ty nawet nie wiesz, Heniusz, z kim ty teraz przy jednym stole siedzisz. Spójrz na ten wstrętny, śmierdzący paluch, to moje przekleństwo!

W szparę między kieliszkami wsunął krótki, sękaty paluch. Oczy podplynęły mu śliwownicą. Zapatrzył się tępo w nierównie obcięty, czarnym zaciekiem zeszepony paznokieć.

— Straszna rzecz, taki palec... mamrotał. — Palec wskazuje na innych. Z palca wysysa się kłamstwa. Palec pociąga za cyngiel. Śmieszne, co? — wlał w siebie nowy kieliszek z pasją.

Czym są moje moralne zgagi w porównaniu z psem skowyczącym w piersiach tego chłopca? — pomyślał Henryk. — Białdam nad sobą, jak baba, że najpierw wojna, a później emigracja musiały nadgryźć mnie wewnątrz, skoro rządzi mną byle Ziółko. Lamentuję, że zbutwiało od środka, skoro ze strachu przed utratą „umysłowej” pracy, przed pójściem do pracy fizycznej w fabryce, przed straszakiem „deklasacji” nie mam odwagi być sobą. Mecenas Lach i jego „krzyżowcy” robią ze mną co chcą, nakręcają mnie jak zegarek, a ja przy całej tęsknocie do duchowej niezależności, nie mam odwagi trzasnąć drzwiami. Mój ojciec był herosem: krzyknął kiedyś wojewodzie na państwowej uroczystości: „Pan się myli, nasz zajazd na Zaolzie nie jest bohaterstwem!”, mojego ojca usuwano z posad za obronę godności osobistej, za interwencję w obronie zaszczytów kolegów, ale... to dawne czasy, odwaga nie jest dziedziczna. I ja, patrząc w lustro przy goleniu, powtarzam październikowe przekleństwo, nie wiedząc nieraz, co w życiu gorsze: nadstawiać się jak sprzedajna dziwka tutaj, pod kwarcową lampą wolności, czy tam, w jakże innym świecie?

Gdy wyczytałem niedawno w prasie, że milicja w Warszawie podczas nocnej oblawy na córę Koryntu najwięcej kłopotu miała z posiwiąłą histeryczką, która broniąc się wyjętym z torebki wycinkiem z przedwojennej gazety, twierdziła, że jest „Miss Poznań” z lat trzydziestych, chciałem tej biedaczce zakrzyknąć przez granicę: „Towarzyszko niedoli, siostrzo w nieszczęściu, jest nas dwoje w podobnej sytuacji: i ja się dobrze zapowiadałem w latach trzydziestych, i ja noszę wycinki z przedwojennych gazet w portfelu. Albo to mnie się lepiej powiodło od ciebie?”

A jednak — westchnął — dramat, waćpan, układasz, to dwie różne sprawy. Nie można ich porównywać ze sobą. Paździorkowi jest źle, bo tam jest źle. Mnie jest źle, chociaż tutaj jest lepiej. W pewnym sensie my wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za pokolenie Paździorków. Jeśli dzisiaj cierpią, to także dlatego, że myśmy zawiedli... To moja wina, Waciu...

Pili coraz zajadlej, jakby od jutra miało zabraknąć wódki w całym mieście.

— Mój koleś Drapalik, ten chory na Włochy... — zamyślił się Paździorek — pisze wiersze. Dawniej, na Pierwszego Maja, to on stale pieprzył, że stoi z żoną w tłumie, przygląda się pochodom i na cześć socjalizmu trzyma małego synka jak sztandar — takie patriotyczne kiziu-miziu, dobre dla ćwózków ze wsi. Ale niedawno napisał coś dobrego. Zaraz... zaraz... jak to było?

*Gdy niebo i prawda
krwią z ciebie wyciecze,
żyć dłużej nie warto,
czas umrzeć, człowiecze!*

Henryk wzruszył ramionami:

— Takie sobie, dość grafomańskie. Znam coś podobnego po angielsku:

*When Truth and Love and God are dead
It is time — full time — to die...*

— O jerum! — zaśmiał się delegat. — Ja myślałem, że to nasze, rodzime różnice w kiszkach, a to plagiat! Ten Drapalik, wiecie...

Ale nagle urwał. Zrobiło mu się niedobrze. Zsiniał cały, pot wystąpił mu na czoło, chwycił się za żołądek.

— Nie chcę być wulgarny, ale muszę zdrcić — powiedział z chłopską. — Heniusz, poprowadź! Zalałem się!

Chwiejnym krokiem ruszył ku wyjściu, kłaniając się na lewo i prawo.

— Paździorek jestem — podawał kelnerom rękę — *aus Warschau...* Mówcie, szwabry, gdzie się tu choruje?

— *Genosse Paździorek* — przedstawił go Ziółko babince w ubikacji.

Chłopak uściśnął srajbabce rękę.

— *Warschau... Warschau...* — powtarzał z dumą.

Oparł się wreszcie czołem o chłodną, kafłową ścianę i zaczął jęczeć:

— Heniusz, ja tu umrę! Zatrąłeś mnie!

Nagle oko jego, załzawione, czerwone od dymu i wódki, spoczęło na rolce papieru.

— To łotry — jęknął z bólu — to psiejuchy! Gnębią tego biednego robotnika, męczą go i uciskają, ale papier to oni mają! Jak jedwab...

Pogładził rolkę ręką.

— Delikatny, aksamitny, z połyskiem, jak kobieca skóra...

Heniusz, gdybym ja tuzin takich rolek przywiózł do domu, masz ty pojęcie?...

Odkleił czoło od kafli, napił się wody i zaraz poczuł się lepiej.

— A teraz, Heniusz, gdy jesteśmy sami, coś ci powiem — objął Ziółkowskiego za szyję. — Posłuchaj: wystrzegaj się Orzeszka jak zarazy. Wiem co mówię: to stary szpicel, cwany ubek, rozumiesz? Jak on mi z tym Darwinem zalał, co? Wiesz co to było? Prowokacja! Heniusz, ja ci coś powiem, jak przyciel przycielowi... Widzisz te szelki, nowiuśkie szelki za trzydzieści szylingów sztuka? — pstryknął kilka razy gumą na przeponę koszuli. — Ty je sobie tylko dobrze zobacz! Otóż, Heniusz, jakby u nas ten w d... taki i owaki socjalizm miał dłu-

żej pociągnąć, to ja się na tych szelkach w klozecie powieszę. Na Rynku Mariackim w Krakowie, w publicznym klozecie się powieszę! Tak mi dopomóż Bóg!

I odrzucił zamasyście lok cygański z czoła, łyż z pijackich ślepiów wytrząsł i rwącym się na strzepy dyszkantem na cały klozet zapiał:

— „Czerwone maki na Mo-on-te Caaassino!...”

Henryk wrócił z tej morderczej popijawy dopiero nad ranem. Padł na łóżko pół żywy. Spać! spać! Ledwie zasnął, zobaczył siebie we śnie jak w zakopconym lustrze. Oto leży, spity, na tapczanie, w pensjonacie „Hubertus”, przywalony głazem najgorszych przecuć. Od kilkunastu godzin nie przyjmuje telefonów, nie zagląda do gazet, nie podchodzi do okna. Od wyjazdu „Jutrzni” wie z całą pewnością, że lada moment przyjdą do niego ze złą nowiną. Na stole leżą depesze z Londynu. W jednej z nich Lach zapytuje dlaczego nie poleciał do Kopenhagi na kongres dentystów z za żelaznej kurtyny, a w drugiej domaga się podania dokładnej daty i godziny wyjazdu „Jutrzni” z Ostbahnhof.

— „W celu przeprowadzenia dochodzeń przez właściwe czynniki” — woła ostatnia depesza. — „A ja chromołą!” — słysząc głos rozłoszczonego Orzeszka. Przez zakopcone lustro, jak przez ekran, przebiega Aleksander hrabia Fredro. Adiunkt Drapalik pozuje do fotografii na tle Ponte Vecchio. A biedna Marychna gładzi wodę w Dunaju. A teraz w ogóle nie wie widać i lęk się robi coraz ciemniejszy. Kalendarz pokazuje niedzielę. Jak ten czas we śnie szybko płynie! W zakopconym lustrze kłaniają się dwaj tajniacy w butach z cholewami. Wychodzą ze szkła na sam środek pokoju. Pokazują kopertę zaadresowaną: „Do W Pana Henryka Ziółkowskiego, przyjaciela mego ojca...”

— „Nic więcej przy dziewczynie nie znaleziono”. — Bez zaglądania do środka wie co jest w kopercie. Urzędnik, zaparty w deszcz za oknem, dodaje, że nie miała przy sobie papierów ani biletu.

Nic dziwnego, totr Paździorek zabrał jej paszport, żeby nie uciekła!

— Ciało dziewczyny znaleziono w pobliżu toru — wyjaśnia ktoś szeptem. — Samobójstwo, wypadek albo... albo...

Szeptów przybywa z każdą sekundą, wypełniają całą izbę, rosną i gęstnieją w gęstą maź dźwiękową, jak przy radiowym słuchowisku.

— Dziwne, że nikt nie zatrzymał pociągu?... ciągu... ciągu...

— Pewnie się bali Paździorka... dziorka... dziorka...

— Musimy pana zawieźć na miejsce wypadku. Zwykła formalność: rozpoznanie zwłok... zwłok... zwłok...

— Pojedziemy służbowym wozem w stronę czeskiej granicy...

— Punkt druga minut trzydzieści...

Henryk czuje przez sen, że nie może zebrać myśli, wymy-

kają mu się z głowy, wyslizgują się jak robaki wędkarzowi z pudełeczka, wiją się niezdarnie, podobne do glizd, dżdżownic, oślizgłych pędraków...

Nadciąga „Włocławek”! Strach łapie go za gardło. Siada do biurka i pisze na wyścigi z sekundnikiem zegarka! List do do Lacha!

„Tę małą zabililiśmy na spółkę: Paździorek, nasza CWW i ja, który wygłosiłem przez radio dwieście pogadanek o wiecznych undulacjach w wolnym świecie, żeby ci z Woli Radziszowskiej nauczyli się nam z a z d r o ś c i ć, no i nauczyli się! Ale ja już nie chcę, ja nie mogę, wolę iść do fabryki, żyć z kradzieży niż...”

Szybciej, szybciej, wyrzuć ze siebie wszystko, zanim ci w mundurach wpadną do pokoju! Już słysząc ich kroki na schodach... Wyjął „miętusa” z kieszeni. Za chwilę ściany nawirują, pokój przewróci się jak gondola huśtawki, zaprasowane na kant spodnie z lampasami migną w górnej futrynie drzwi, i już tylko szrapnel ciemności, straszliwy wybuch ciszy: śmierć! Otwiera usta, by zgrzyć pastylkę...

Grzech! — słyszy swój własny głos, wibrujący echem w bezdennej studni — grzech... grzech... Wyrzuca „miętusa” za okno. „Włocławek” odpływa! Życie przedłużone. Nieźle, tchórzaczku, pana Jezuskaś przywołał sobie na pomoc. Żyj teraz, Ziółko, dalej... Czas podrzeć buntowniczy list do Lacha, a napisać poufny raporcik, nowy meldunek na czworakach:

„Kochany panie mecenasie, zgodnie z tajną instrukcją „Rose”, nawiązałem kontakt z ludźmi „Jutrzni”. Uwagę moją zwrócił na siebie niejaki Wacław Paździorek, lat 24, były funkcjonariusz Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Byłem z nim wczoraj na wódcę...”

Ból głowy przebijają opony snu i strachu. Przy słowie „wódka” Henryk wynurza się ze snu. Woda wyrzuca topielca. Jest mu niedobrze. Siada na łóżku, jeszcze po pas w sennych widziadłach. Pół przytomny z niewyspania i przepicia się, wie tylko jedno: na pewno stanie się coś złego...

Tak, dopiero teraz, gdy znamy dość dokładny przebieg pierwszych czterech dni wizyty „Jutrzni” w stolicy Austrii, i wiemy tyle różnych, ciekawych rzeczy o Ziółkowskim i jego Ziółku, o delegacie Paździorku, i zabiedzonej Marychnie, o dekoratorze Orzeszku, reżyserze Pawliku, „chorym na Włochy” Drapaliku i innych, możemy pójść dalej...

Czas najwyższy przejść do środy i czwartku, dwóch ostatnich dni pobytu, pełnych napięcia i uginających się pod ciężarem nieprzewidzianych wydarzeń.

Już w przeddzień wyjazdu „Jutrzni” wiele spraw zaczęło się wikłać. Henryk czuł, że nawarzył piwa: coś za dobre wrzenie zrobił na tych szczeniakach. Po jakiego licha przyleciał do Wiednia na ten nieszczęsny teatr! Nie jest przecież, kurczę blade, handlarzem żywego towaru, nie namawia nikogo do zоста-

nia za granicą, nie stręczy do emigracji, nie werbuje do Legii Cudzoziemskiej, nie dybie na niczyje dziewictwo polityczne, nie agituje ani za wolnością ani za demokracją, nie wodzi duszy-czek na pokuszenie. Zbiera „materiały prasowe” dla mecenasa Lacha, to wszystko.

Po owej „romantycznej” nocy księżycowej z wtorku na środę spał jeszcze w najlepsze, mogła być najwyżej dziewiąta rano, gdy w pensjonacie „Hubertus” — jakim cudem ta smarkateria wywahała jego adres? — zaczęła go odwiedzać kolejka niezwykłych interesantów.

Otworzył ją ów szczupły młodzieniec w swetrze z którego pruć się wełna, Drapalik.

— Panie redaktorze — z trudem łapał powietrze — od niedzieli nie mogę zmrzyć oka. Odkąd mi pan łaskawie przyrzekł wystarać się o półroczne stypendium we Włoszech, chodzę półprytomny. A dzisiaj w nocy uświadomiłem sobie, że jeśli jutro, w czwartek, wyjadę z „Jutrnią” do Polski, diabli wezmą wszystko, kłamka zapadnie, żegnaj się, Drapciu, z Włochami na zawsze. I dlatego, po głębokim namyśle, postanowiłem jednak zostać tutaj, we Wiedniu, i choćby w przytułku dla bezdomnych czekać cierpliwie na załatwienie wszystkich formalności. Bo na zdrowy rozum biorąc, łatwiej jest chyba wydostać się do Florencji z Wiednia niż z Tarnowa. Zaraz żonie w liście wyjaśnię, żeby się nie martwiła, ale druga taka okazja może się już w życiu nie nadarzyć...

— Nonsens! — przeraził się Henryk.

— „Nonsens”? — zdziwił się Drapalik. — Dlaczego „nonsens”?

— Zaraz panu wyjaśnię — zaczął rozpaczliwie szukać argumentów. — Po pierwsze: pobyt w Austrii macie tylko do czwartku. Po drugie: Włosi nie dają stypendiów uchodźcom. Po trzecie: cała sprawa zależy od ambasady włoskiej w Warszawie. Musi pan jutro wrócić do Kraju!

— „Muszę”? To dziwne... A może ja nie chcę?

Miłośnik Dantego wyszedł nieprzekonany, kręcąc głową.

Zaraz po nim przyszła, jak zawsze w różowych spodniach i żółtym swetrze, „Wygryziona”, by poprosić o... prawo azylu.

— Ależ, dziewczyno, ja nie udzielam prawa azylu!

Zrobiona na Brigitte Bardot rodaczka przymrużyła oko, jak łobuziak. Rzęsy miała starannie wyczernione, bodaj nawet sztuczne, oczka zaś małe i śmieszne jak pluszowy miś. Typowe niedorzędnostki. Chociaż kto ją tam wie?

— Okay! Ale pan może mi służyć protekcją: pójść ze mną na policję i pogadać z kim trzeba...

— Nikogo tutaj nie znam.

— Kawę na ławę — roześmiała się cieniutkim, dziecięcym głosem. — Jestem, jak pan widzi, młoda, ładna, i zgrabna. Mogę się panu wywdzięczyc. Ja tylko tak niewinnie wyglądam. Proszę się nie bać: swoją szkołę w życiu dostałam, z księżycy nie spadłam, a kto mnie zna, ten wie, że przesądów nie mam...

Udał, że nie rozumie o co chodzi. Miał jednak wielką ochotę przełożyć „saganistkę” przez kolano i wlepić jej porcję batów.

— Widzę, że z babkami... to pan nie jest taki... jedno-kierunkowy?

— Nie znam waszych chuligańskich wyrazansów.

Roześmiała się serdecznie.

— Takie proste: kierunek łózko — marsz, marsz!

— Po co pani prawo azylu?

— Po co? Chcę jechać w świat! Do Ameryki! Chcę zrobić karierę teatralną i filmową jak Wanda Doris, Polka z Londynu. W prowincjonalnej „Jutrni” wyżej już nie pójdę. Fredro mnie nie urząda. Czy pan wie, że ja także śpiewam i tańczę? I już nawet trochę mówię po angielsku.

— Wanda Doris nie zrobiła kariery, moje dziecko. Takich Wand Doris jest tam, na miejscu, kilkaset tysięcy. Po przyjeździe do Ameryki, nie chcąc umrzeć z głodu, zapisała się na kurs fryzjerski, i teraz na przedmieściu Nowego Jorku, na jakiejś zaśmieconej ulicy mydli Portorykańczykom podbródki.

— To kłamstwo! — wykrzyknęła z takim oburzeniem, jakby od ścisłości tej informacji zależało jej całe życie. — Mówili w radio, że wyjechała do Hollywood!

— Tak mówili?... — zawahał się.

Spojrzał w jej małe, roziskrzone oczka i nagle zrobiło mu się „Wygryzionej” żal. Biedne, opętane dziecko. Jeszcze jedna ofiara ilustrowanych magazynów. Ma jakąś swoją życiową legendę. Obnosi się ze swoją niedorzeczną próbówką nadziei. Daj jej, Boże. Nie wolno okradać biedaków. Nie wolno ludzi pozabawiać złudzeń. To gorsze od kradzieży.

— Musiałem coś pomylić — poklepał ją po ramieniu. — Tak jest, przypominam sobie: Wanda Doris zrobiła wielką karierę w Londynie i Ameryce. Druga Helena Modrzejewska.

— No, widzi pan! — ucieszyła się. — A ja zrobię jeszcze większą! Jako Karin Vistula. Mnie się na pewno uda, bo mam talent, chłopski upór, żelazne nerwy i końskie zdrowie. A teraz, błagam pana, chodźmy na prezydium policji, szkoda każdej minuty: jutro wyjeżdżamy!

Kiedy przez dłuższy czas wymawiał się na wszystkie możliwe sposoby, zniecierpliwiona powiedziała:

— Trudno, siłą pana nie zmuszę. Jak nie, to nie. Ale dam sobie radę i bez pana. Do Polski nie wrócę. Prawo azylu dostanę. A do Ameryki wyjadę, choćbym miała wyjść za pierwszego spotkanego na ulicy żołnierza amerykańskiego, choćby za tego Murzyna, z którym tańczyłam w „Schwarze Katze”. Ja nie zginię!

O, ten rezolutny kozaczek w obcisłych porteczkach na pewno nie zginie, ostrymi cycuszkami przebije każdą płytę pancerną na swej drodze, będzie siedł pod obcym niebem po trupach do zwycięstwa, przed takimi stoi cały świat otworem. Słabi i z „przesądami” giną w dżungli. Good luck, Miss Polonia!

Tylko nie wyląduj, córuś, w lupanarze. Jak ta moja duchowa krewniczka, „Miss Poznań z lat trzydziestych”...

Rzeczywiście, w przeddzień powrotu do Polski ludzie z „Jutrznii” byli w wyjątkowo złych humorach. Spotkał się z nimi na kawie u słynnego Sachera, wśród połączonych luster, kandelabrow i pluszowych mebelków. Być może, że plusze i wyfraczona obsługa dodatkowo podziały im na nerwy.

Nie, z tymi ludźmi niesposób rozsądnie rozmawiać. Biorąc odwet za długie lata milczenia i kłamstwa, wszystko potępiają w czambuł, aż hadko słuchać.

— Bądźcie sprawiedliwi i obiektywni — powiedział im w końcu, wyprowadzony z równowagi nieustannymi jeremiadami. — Nie potępiajcie wszystkiego bez wyjątku. Na Boga, nie żyjecie na Syberii. Pamiętajcie, że gdzie indziej też się ciężko pracuje. Przecież u nas, w ojczyźnie, na pewno dzieje się wiele rzeczy dobrych i pożytecznych...

— Na przykład? — spojrzała na niego zimno Marychna.

— Odbudowa Warszawy...

Nic nie odpowiedziała, śledząc go spode łba.

— Likwidacja analfabetyzmu... awans społeczny...

Machnęła pogardliwie ręką.

— Nowa Huta! Gigantyczne osiągnięcie!...

Tu nastąpił o nieprzeczuwanej sile wybuch. Takie potulne chuchro, trusia, bidusia, zdawałoby się, że do trzech nie potrafi zliczyć, a niech się tylko rozpyskuje, nie daj Boże!

— Obiektywny obserwator się znalazł! — wykrzyknęła. — Łatwo się wam z emigracyjnej łoży zachwycać Nową Hutą. Ale gdybyś tak jeden z drugim musiał wstać skoro świt, pójść do roboty, przeharować do fajrantu, i tak dzień w dzień, dzień w dzień, za byle grosz, nie mając nieraz na kupno nowych portek, nowej pary butów, to, za przeproszeniem, krwią byście się wyrzygali na to „gigantyczne osiągnięcie”. Z daleka wszystko ładnie wygląda!

Aż jej te ururkowane włosy spadły ze złości na czoło, beret przekrzywił się na ucho. Nie poznawał dziewczyny. Co za diabeł w nią wstąpił? Czy to ta sama Marychna z Kahlenbergu i księżycowej eskapady?

Z kolei przyczepił się do niego „filozof z Woli Radziszowskiej” jak go nazywa Paździorek, dekorator Orzeszek:

— A gdzie to szanowny pan spędza urlop w tym roku? — spytał z jadowitą grzecznością, tak jadowitą, że język zrobił mu się podobny do małej żmijki.

— Nie wiem jeszcze... Pewnie pojedę do Francji albo do Włoch.

— A dokąd to Bóg poprowadzi na ziemi włoskiej?

— Nie wiem jeszcze... Może Wenecja, a może na Capri?

— A ja już wiem, proszę łaskawego pana, dokąd pojedę na wczasy. Znowu do jakiegoś parszywego Ciechocinka czy innego Inowrocławia, do obskurnego pensjonatu, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem. Będziemy się razem gnieździć i śmierdzić

we wspólnej sypialni; jak jeden będzie się załatwiał w wygódce, drugi będzie czekał pod drzwiami i przynaglał go kurwamaciami do pośpiechu, będziemy złopali tę samą lurę w stołówce, będziemy się barłoczyć na siennikach i chlać wodę... A pan, biedny emigrant, pojedzie sobie na urlopik na Capri! Nawet pan nie przeczuwa, jak ja pana za to... nienawidzę! I za to jeszcze, że jest pan mniej więcej w moim wieku, a proszę tylko porównać, jak pan wygląda, a jak ja? Ja jestem stary, bezzębny, zdruzgotany dziad, nędzny, zapity wrak, żywy trup, na śmietnik, na szmelc... Ludzie w moim wieku są na Zachodzie w pełni sił fizycznych i umysłowych, drapią się, cholera, na sam wierzchołek swego życia, a ja... a ja...

Machnął ręką, głos mu się załamał. Głęboko wzburzony wybiegł na ulicę.

Jak Boga kocham, powariowali! Zbiorowa histeria.

— Powiedzieć panu prawdę, jak ja się tutaj naprawdę czuję w tym waszym wspaniałym, fantastycznym Wiedniu? — wykrzyknął chłopiec ze szramą, ten co tabliczki gwizdnął na czechosłowackiej kolei. — Gdy się tak włóczę, bez grosza w kieszeni, pośród bogatych wystaw sklepowych, cudownych samochodów, dobrze ubranego, szczęśliwego tłumu, mam chwilami ochotę zawyc z bólu i nienawiści na całe gardło, tak jest: z bólu i nienawiści; chwycić za cegłę i powybijać wszystkie szyby, powyrzucać te futra i jedwabie na jezdnię, podrzeć je na strzępy, spalić miasto na popiół. Jak ja nie mam, psia krew, niech inni też nie mają!

— Stara historia — westchnął najbardziej z nich wszystkich zrównoważony Pawlik. — Kobiety, których nie możemy zdobyć, nazywamy ladacznicami...

Ale najbardziej zaszedł Henrykowi za skórę ten zbuntowany potulniaczek, Marychna, z którą bądź co bądź... Nie byłby sobą, gdyby po tym, co między nimi zaszło, nie oczekiwał choć krztyny wdzięczności...

Wrócił do sprawy, gdy po wyjściu z kawiarni poszli we dwoje na krótki spacer dookoła Opery.

— Mój szczygielku, nie jestem biskupem. Dziwi mnie, że po tym cośmy razem przeżyli wtedy... za miastem, skaczesz mi do gardła niczym przegryzająca biskupom gardła Passionaria. Była taka rozjuszona kocica w Hiszpanii...

Odparła niezbyt grzecznie:

— Gdybym miała zakochiwać się we wszystkich mężczyznach, z którymi...

— Tylko nie tym tonem, córeczko! Jedna „Wygryziona” na „Jutrznii” wystarczy w zupełności.

— O jej, do kogo ta mowa? Wolnego! Że w czasie tego... tam... padły różne ładne słowa, jeszcze o niczym nie świadczy,

— zawsze się tak mówi, ale nie zawsze się liczy. Nastrój, księżyc, spacer za miasto...

— „...fajne” wino, wiosna w powietrzu, „facet z Londy-

nu", coś nowego — wszedł jej jadowicie w słowo. — Masz rację, doświadczona Marychno, to się zawsze tak mówi.

Powinien pokwitować ten nieoczekiwany odwrót westchnieniem ulgi. Tymczasem — cóż za bzdura! — irytował się jak skrzywdzony sztabak. Czyżby obudził się w niej ów niezawodny instykt kobiecy, który w każdym mężczyźnie z miejsca rozpoznaje kukłę wypchaną trocinami próżności? Taka mizerota, takie zabiedzone chuchro, a rozmawia z nim jak „Miss Univer-sum”...

— Tak, tak, to się zawsze tak mówi — odgryzała niewidoczną nitkę przy rękawiczkach. — Miłość, to takie samo kłamstwo jak wszystko inne, a pan myślał że co? Nastrój, księżyc, spacer za miasto, a nieraz, jak w tym wypadku — skurczyła się jakby ją przeszedł ziąb — wystarczy, że zmokłą kure z krakowskiego kojca pocałuje ktoś elegancko w rękę, że przepuści ją zgrabnie pierwszą w drzwiach, poda jej palto, ustąpi miejsca i inne drobiazgi, jakie się często widzi w obcych filmach... Wiele nam nie potrzeba.

Złościł go ten ton. Postanowił jej dokuczyć.

— A co się dzieje z Paździereczkiem? — zapytał. — Nie widziałem narzeczonego od niedzieli, od spotkania na Kahlenbergu. Czyżby nasz Wacuś „wybrał wolność”?

— A cóż mnie obchodzi jakiś Paździerek? — wzruszyła ramionami. — Pewnie zaszył się w swojej norze i pije. Co jakiś czas nachodzą na niego „złe dni” i wtedy zapija się szczeniakiem do nieprzytomności. O, nie! Paździerek tu nie zostanie, nie ma obawy. Gdzie mu będzie tak dobrze, jak t a m? Tam jest raj dla Paździorków.

— Co sobie kupisz, Marychno, za ojcowskie dolary we Wiedniu? Czy też wolisz je zabrać ze sobą do Polski? — zapytał nieostrożnie.

— Do Polski? — spojrzała na niego z oburzeniem. — To pan nie wie, że ja zostaję? Choćbym tutaj miała zostać służącą, choćbym miała zamiatać ulice, ja już do jednego pokoju, do chorej matki, do Kaźmierczakówny, do awanturującego się pijaka za ścianą — nie wrócę! Od tego mojego „ojca” nic nie chcę, sama sobie dam radę. Sprowadzi mnie do Londynu, klawo. Nie sprowadzi, jeszcze klawiej. I tak się dostanę do polskiego teatru w Londynie! Kocham teatr i choćbym miała być zwykłą statystką...

— Nie ma żadnego teatru polskiego w Londynie!

— Jest! Jest! A jeśli nie ma, to dla mnie się znajdzie. Myślałam, że mi pan zechce pomóc... — zadrgała jej dolna warga. — Ale pan jak ten mój „delikatny” ojciec. Chcecie mnie się pozbyć.

Jeszcze chwila, a się rozplacze na środku ulicy. Pogładził ją po ururkowanej grzywce. Biedne żyjątko, też sobie coś uroiło. Jedyne ratunek, żeby ten potwór Paluch sprowadził ją do Anglii i dobrze wydał za mąż, a wnet wywietrzeją jej z głowy marzenia o emigracyjnym teatrze.

Widzisz, niecne Ziółko, coś nabroił swoją propagandą? — miał ochotę porachować się ze swoim „alter ego”. — Zawróciłeś biedakom w głowie. Powinienesz teraz od tych wszystkich Drapalików, „Wygryzionych” i paździorkowych Marysienek dostać w skórę.

— Nie nasza wina — wypiera się szczwany lis, Ziółko. — To działanie systemu „na opak”. Odkąd nas życie nauczyło, że nie ma lepszej propagandy od mówienia ludziom całej prawdy, unikamy kłamstwa jak ognia. Natomiast tamci, z drugiej strony barykady, nafaszerowali ludzi przesadnymi wyobrażeniami o naszych możliwościach: przez dwanaście lat wmawiali wszystkim, że tam, w domu, jest wszystko, a tutaj nie ma n i c, a ponieważ, delikatnie mówiąc, mijali się z prawdą, skutek jest teraz taki, iż ludzie wierzą, że u nich, w domu, nie ma nic, a za to tutaj jest w s z y s t k o ...

— Gdyby mi pan naprawdę dobrze życzył... — złapała go za rękę.

— Właśnie dlatego, że ci dobrze życzę, głuptasku, nie chcę, żebyś gniał w kwiecie wieku w jakiejś „Valce” pod Norymbergą czy w innym dantejskim przytułku dla uchodźców. W Polsce, nawet w tej twojej Polsce bez łazienki i z awanturującym się pijakiem za ścianą, możesz być Ofelią w „Hamlecie” lub Anielą w „Ślubach”, a tutaj...

— ...tutaj będę wolna i szczęśliwa! — ugodziła go zażwionymi oczami. — I dlatego nie wracam!

Zostało jeszcze kilka godzin do pożegnalnego występu „Jutrzni”. Litość fatalnym bywa doradcą: chcąc jakoś udobroczyć rozdygotaną dziewczynę, zaprowadził ją do pierwszego z brzegu kina na pierwszy lepszy film. Gorzej nie mogli wpaść: właśnie wyświetlano ponurą, kiczowatą historię o „Hrabiance Fanny von Ickstaatt”, nieszczęśliwej Bawarce z „lepszych sfer”, która pod koniec siedemnastego stulecia zakochała się w ubogim żołnierzu, Vincentim, z garnizonu w Ingolstadt. „Trędotwata” mroźkowny jest areydzieniem z porównaniu z tą krew w żyłach mrozącą tragedią młodej szlachcianki. Nieludzcy rodzice nie chcąc dopuścić do mezaliansu, zagrozili jedynacze klasztor. Zdesperowana Fanny von Ickstaatt, nie wiele się namyślając, wdrapała się na wysoką wieżę kościoła Mariackiego w Monachium i po długim, źle zagranym, źle sfotografowanym zalewaniu się łzami, skoczyła w otchłań. Reżyser, pedantyczny miłośnik prawdy historycznej, kazał jej jeszcze spadającym ciałem przebić dach katedry. Pokazano strzępy sukienki między dachówkami, wstążkę od włosów rozdartą na wietrze, poplamioną krwią posadzkę kościoła, rękę martwo odrzuconą w stronę ołtarza... Jeszcze tylko brakowało rozsypanych koralików na kokosowym dywanie, symbolu łez dziewczęcych... Makabra!

— Chodźmy stąd! Po ostatniej wojnie, jatce nad jatkami, nikt już nam nie zaimponuje siedemnastowiecznym trupkiem w technikolorze!

Marychna rozmazywała łzy po policzku jak mała dziew-

czynka. Naturalnie, film ją zachwycił i przejął do głębi. Gust, zaiste, na miarę „Jutrznii”!

— Strasznawie smutne — wzdychała ciężko — ale jakie za to piękne...

Pokreśli się jeszcze nieco po Kärtner Strasse, wypili po filiżance espresso w kawowym barze, a kiedy czas już było iść do teatru, Marychna oznajmiła Henrykowi, że przeniosła już swoje rzeczy do innego hoteliku, do „Felicitas” na Fleischschmarkt. Do Polski nie wraca, choćby miała na Zachodzie sypiać pod mostem i umrzeć z głodu.

— Bardzo mi przykro... — spojrzała zaczerwienionymi oczkami, podobna do przerażonej kury. — Proszę się nie gniewać na moje humory. Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Od dnia przyjazdu coś mi serce ścisnęło i w głowie ćmi, jakbym pijana jechała na karuzeli...

Przyjrzał się jej uważnie, podmyty falą litości. Dopiero teraz spostrzegł, jakie to brzydactwo. Ma chudą, wklęsnętą szyję i wyjątkowo pospolite rysy. Nie, to już nie są oczka kury, ale czerwone ślepia królika.

— Nie powinnam była mówić, że tamto... wtedy... za miastem „nie liczy się”. To nieprawda. Ja już sama nic nie wiem... Ja... ja...

Z wykrzywioną od płaczu twarzą, z grymasem chłopskiej brzydoty pobiegła w stronę teatru.

Po powrocie do pensjonatu znowu ogarnął go niepokój. Nie wiedział co ze sobą począć. Chodził po pokoju jak zwierz po klatce. Nerwowo przekartkował dwujęzyczny program teatralny „Jutrznii”. Przyglądał się nieudolnym odbitkom. Fotografie aktorów i aktorek jakby z albumu przestępców wyjęte. Tekst niemiecki, oczywiście, roił się od błędów. Brakoróbstwo. Przejrzał recenzje w prasie austriackiej: grzecznościowe cukierki dla dzieci. Zaczął pisać sprawozdanie dla Lacha, ale nie umiał skleić dwóch zdań. Nie, to chyba nie „Włocławek”, który zjawia się tylko w niedziele. Ani inny zapad. Zwykła depresja, zmiana pogody, nadmiar wrażeń. Jednak takie spotkania wytrącają człowieka z równowagi!

Wcisnął się w fotel i zapatrzył się w brudne, zakopcone lustro, jedyną ozdobę pokoju. Psia krew, to jednak „Włocławek”! O cztery dni wcześniej, o innej godzinie! Zaparł się nogami w podłogę, z całej siły uchwycił się stołu... Znowu to samo:

...Po tylu latach nieobecności wraca do rodzinnego miasta, wysiada głęboko wzruszony na odrapanej stacyjce kolejowej i od razu czuje na plecach cienie skradających się żołnierzy. Boi się odwrócić, żeby w świetle gazowej latarni nie dostrzec ich wyściowych mundurów, czapek z mosiężnym okuciem daszków, spodni z żółtym lampasem. Biegnie co tchu w stronę katedry dzieciństwa, by dopaść ostatniej linii obrony: mostu na Wiśle. Żołnierze ze śmiechem biegną za nim, ich kroki potężnieją jak *crescendo* w orkiestrze... Już się zbliżają na odległość ciosu.

Zaraz podniosą pałkę w górę... W ostatniej chwili spogląda na wybielony księżycem dach katedry i krzyczy z rozpaczą: po środku czerni się dziura wybita ludzkim ciałem, między dachówkami łopocze wystrzępiona wstążka... Już go dopadli! Ciosy wrzynają się w plecy, kark, w głowę! Już pali, już boli...

Wyrwał się z fotela z sercem w gardle. Dosyć już tego Wiednia! „Włocławek” oznacza nieszczęście. Tak jest od lat. Tak będzie i teraz. Lepiej nie czekać na odjazd „Jutrznii”, lecz jak najszybciej wracać do Anglii.

Otarł pot z czoła. Zapalił papierosa. Cóż ta wojna powyprawiała z nami, biedny panie Ziółkowski! Ile w niej mściwości i jaka zazdrość o swe ofiary. Nie dość, że nas zdruzgotała na burzliwym morzu, jeszcze w tyle lat po burzy ściga nas, rozbitków, na brzegu falą rozjuszoną, przyplływem wspomnień.

Tak, dzisiaj mamy azwarteł. Wiosny ani śladu. Na ulicach od samego rana jest ciemno, zimno i smutno, od południa pada deszcz. Mokra kikuty rusztowań neonowych na dachach wprost kaleczą oczy swą brzydota. Nad Św. Stefanem wisi brudna chmura. Od Lasku Wiedeńskiego nadciąga nowy nalot wron na śródmieście. Za oknem zapalono latarnie jak podczas zaćmienia słońca... A może to wszystko tylko imaginacja? Scena ze złego teatru? Musiał się przeziębnić na przedwczesnej, szczególnie zdradliwej o tej porze roku wycieczce za miasto. Z bólem głowy i gardła leżał w pensjonacie do obiadu. O w pół do szóstej wieczorem zespół „Jutrznii” wyjeżdża z Ostbahnhof do Polski. Jeszcze kilka godzin i po kłopotcie. Bóg z nimi. Krzyżyk na drogę. „Misja” skończona. Jaka misja? Z trudem starczy materiału na trzy, cztery kartki sprawozdania. Mecenas nie uznaje raportów poniżej dziesięciu stron maszynowego pisma. CWW gwizdże na „nastroje”, „rodzajowe obrazki” wodolejskie charakterystyki, poezję opisową. Oni chcą mieć „mięso”: fakty, nazwiska, daty, cyfry. Żadnej bujdogii.

Mogła być czwarta, gdy zjawił się Paździorek. Przybiegł w największym deszczu w marynarce z nastawionym kołnierzem. Czyżby się wybrał za granicę bez pałta? Dziwne: delegat ministerstwa — i bez pałta? Twarz miał obrzękłą od wódki i niewyspania. Musiał mieć swoje „złe dni”. Ja mam swój przeklęty „Włocławek”, on ma swoje „złe dni”. Wyciągnął rękę, mówił gorączkowo już od samego progu:

— Znalazłem pana, chwała Bogu! Za półtorej godziny odjeżdżamy. Czy przyjdzie pan na dworzec?

— Nie. Złe się czuję.

— Przepraszam pana za tamto... — patrzył w ziemię, rozściarał brudnymi butami kwiatek wysyty na dywaniku. — Zachowałem się wówczas jak skończony chamus...

— Głupstwo. Nie ma o czym mówić.

Zaczął skubać frędzle przy serwecie, nie podnosił oczu z podłogi.

— Panie redaktorze... — wziął głęboki oddech, jak przed skokiem do wody. — To jest.. Heniu, wypiliśmy przecież razem... Zanim się pożegnamy...

— Wacek — pogłaskał go po przemoczonym rękawie. — Jedź z Bogiem...

— Heniu, słuchaj, ja cię proszę — chuchnął alkoholem — ja się upokarzam jak przed nikim w życiu... Ja cię proszę: nie zabieraj mi dziewczyny!

— Ależ ja jej nie zabieram, człowieku! — próbował go uspokoić, ale młodzieniec rozlamentował się na dobre:

— Heniu, kochany, braciszku, posłuchaj! To jest w ogóle tak: ona jest honorna, drzazga nie dziewczucha, i ja jestem honorny, żremy się nieraz aż pióra lecą. Ale tyle czasu byliśmy razem i było nam nienajgorzej. Dopiero ostatnio się coś zepsuło, nie z mojej winy. Rozumiesz, ja ją pcham w teatrze w górę, ona pójdzie u nas coraz wyżej i wyżej, a tutaj, — ja ją znam — tutaj się dziewczyna zmarnuje. Heniuś, ty jeden wiesz, gdzie ona się schowała, wyście się przecież razem namówili, ale powiedz sam, z ręką na sercu: po co ci to? Ty jej nie kochasz, ona cię nie kocha, ona kocha świat do którego ty należysz, czy głupio mówię?

— Jest dorosła, wie co robi... Ojca ma w Londynie — próbował mu przerwać, ale młodzieniec postawił wszystkie wewnętrzności wygadać ze siebie.

— Nie! Nie! Nie wie co robi! To tylko chwilowy babski bunt, rozumiesz? Upiła się Zachodem jak my wszyscy. Leci biedna do ognia jak ćma, choćby miała sobie skrzydła osmalić. A ten jej ojciec, sam wiesz co za jeden: tylko prac i patrzeć czy równo puchnie. Ożenił się drugi raz w Londynie, świadectwo śmierci pierwszej żony kazał sobie za grube pieniądze przystać z Polski, a u nas, Heniuś, jak masz forszę, wszystko ci zaświadcza, ale ta stara żyje, wcale nie umarła. Czy ty myślisz, że Marychna o tym nie wie?

— Jeśli ją kochasz, dlaczego nie zostaniesz z nią za granicą?

— Heniuś, czy ty myślisz, że ja bym tu nie został? Ale ja nie mogę, rozumiesz, nie mogę! I nie chcę, chociaż chcę, ale ty tego nie skapujesz, bo wy w ogóle nas nie rozumiecie, wy jesteście z innego księżycy. Nie śmieję się, ale ja biegam w tym zespole za kapitaną na tonącym okręcie, powierzono mi tych ludzi, nie mogę zrobić świństwa, ja jeszcze nigdy nie nawaliłem na służbie. Już ta pindzia w portkach, „Wygryziona”, urwała się i ten wariat Drapalik urwał się i Marychna się gdzieś schowała. Nie myśl, bracie, że mnie nie wezmą za frak, oj wezmą! Heniuś, po co ja mam tutaj zostać? Ja jestem taka ryba, która może tylko w brudnej wodzie pływać, przenies mnie z bajora do czystej wody, zdechnę ci w try miga, a tu, Heniuś, żadna rzeka dla mnie, zwykle akwarium. Matkę mam, rozumiesz, prostą babinkę ze wsi, co w trzy chusteczki głowę owija. Dumna jest, że jej synek aż do ministerstwa się dopchał. Ja jej

tego nie mogę zrobić... Jaki jestem, taki jestem, ale coś nie coś dobrego robię dla ludu, więcej od tych Orzeszków, Pawlików i innych kombinatorów! A ty mnie, Heniuś, chcesz zniszczyć!...

— Nie pleć — cofnął się przed nową falą alkoholu. — Nikt cię nie chce zniszczyć!

— Słowo, że mi jej nie zabrałeś?

— Słowo.

— Honoru?

— Honoru.

Podniósł wreszcie głowę i wlepił w Henryka przekrwawione białka:

— Więc oddaj mi dziewczynę. Powiedz, gdzie ona jest?

Zaczął mrugać rzęsami coraz szybciej, wykrzywił gębę w podkowę i rozplakał się baranim bekim.

— Przestań beczeć, ośle! — wybuchnął. — Hotel „Felicitas” na Fleischmarkt! I tak z tobą nie pojedzie...

Znudziła go ta paplanina. Nie miał już w sobie krzty współczucia ani dla tego młodego pijaka ani dla jego rozhisteryzowanej narzeczonej. W ładne towarzystwo się zaplątał — nie ma co. Jakaś kuchta Paluchówna! Jakiś parobek Paździorek! Diabli nadali tę „Jutrznie”! Nieszczęsna godzina, w której przyleciał do Wiednia. Łeb mu pękał z bólu. W gardle czuł rozpalony żużel.

Paździorek wyprostował się. Już nie beczał. Błysnął ślepia mi po dawnemu. Cygański lok podbił na czole.

— Nie pojedzie? — pokazał zęby. — Już ja znajdę na nią sposób. Byle ją zaciągnąć do pociągu, a stamtąd już nie wyskoczy. A za tydzień, w Krakowie, po rękach mnie będzie całować na dzień dobry. Poczłówkę ci przysyłamy z pozdrowieniami.

Kanalia, ubek! — przeszło mu przez głowę. Rychło się uspokoił. Nie róbmy demona z byle Paździorka. Nieszkodliwy, niezły chłopak, jakich tysiące w naszych stronach. Zakochany wariat, szczenię w gorącej wodzie kąpane, sam taki kiedyś byłeś. „Kot kotkę pokalicył, kot kotkę będzie licył...” Pobiorą się, napłodzą małych Paździorków jak królików, nie na darmo bijemy rekordy rozrodczości w Europie, w niedzielę będą wyjeżdżali całą hałastrą za miasto na piknik, a dni spędzone w Wiedniu wspominać będą kiedyś jak jeden kolorowy, upajający pęd karuzela na Praterze.

Zadzwieczał telefon. W słuchawce rozległ się przyjemny głos Lacha, człowieka, który zawsze był w dobrym humorze:

— Any news, Henryczku?

— Nic. Deszcz. Nuda.

— Tutaj, w Londynie, jeszcze gorzej. Jak się bawisz?

— Fatalnie.

— Czy przyjechał z nimi jakiś szczipak?

— Nie. Same płotki i sardynki.

— Tylko nie zatruj mi się jakąś małą szprotką, he-he!

Teatr dobry?

— Nothing to write home about.

— Warto było w ogóle tam lecieć?
 — Nie. Szkoda czasu i atlasu.
 — A inne sprawy?
 — Bryndza.
 — No, to leć, ptaszku, dalej! Jutro do Berlina. Kilku architektów z Polski. Międzynarodowy kongres czy coś w tym guście. Na pewno się coś znajdzie. Aha, żebym nie zapomniał: w Paluchu odezwało się nagle ojcowskie serce. Wyobraź sobie: leci do Wiednia! Powiedz tej małej...

— Za późno — skłamał. — Odjechali dziś rano.
 — Nie chciała zostać?
 — Nie!
 — Pech — westchnął Lach. — To się stary zmartwi. Trudno, sam sobie winien: za długo się namyślał. Trzymaj się, Henryczku! *Good luck!*

Dlaczego skłamałem? — chwycił się za czoło. — Żeby nie wracać do raz zamkniętej sprawy? Z lenistwa? Z nieczystego sumienia? Ze strachu przed Paździorkiem? Z nienawiści do staro Palucha? Z niechęci do Boga ducha winnej Marychny? Z lojalności wobec Paździorka? Z szacunku dla własnego słowa honoru? To chyba najzabawniejsze ze wszystkiego, chociaż podobno właśnie ten, kto w ogóle w nic nie wierzy, jest szczególnie wrażliwy na punkcie dotrzymywania błahych obietnic, iście freudowska potrzeba kompensaty... Na nic wszystkie wybiegi; tyś ją, człowieku, wydał! Paluch przyleci do Wiednia, kłamstwo się wyda. Chyba... że Paździorkowi uda się ją na czas wywieźć na dworzec!

Dlaczego nie dzwonię do „Felicitas”, by uprzedzić dziewczynę o zbliżającym się niebezpieczeństwie? Paździorek już jest w drodze! Dlaczego nie wsiadam do taksówki, nie pędzę do Paluchówny z radosną nowiną o przylocie ojca? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?... — położył się na tapczanie i zapatrzył się w cytrynowy zaciek na suficie. — Dlatego, że mnie to wszystko nic nie obchodzi. Nie mam ochoty ani sił do niczego więcej. Jestem drzewem spróchniałym od środka, runę przy pierwszym silniejszym dotyku wiatru. Nie umiem się zdobyć na powrót do ludzkiej postaci. Stoczyłem się w ściek najczarniejszej, trującej pogardy dla samego siebie. Nie chcę widywać ludzi z tego nieszczęsnego kraju, zarażają mnie swoim nieszczęściem. Nie chcę nikogo karmić anielskim chlebem nadziei ani poić zatrutym winem niewiary. Nie chcę „kontaktów”, „wymian poglądów”, raportów, sprawozdań. Chcę uciec. Od nich, Od was. Od siebie.

Spojrzał na zegarek: za pięć piąta! Już na pewno podjechał pod jej hotelik. Skrada się po schodach jak kot. Otwiera drzwi. A może jej nie zastał? Już musiał jej powiedzieć, że dostał adres od Ziółkowskiego, od zdrajcy i Judasza Ziółkowskiego. Znęca się nad nią tą wiadomością. Jakich argumentów używa, żeby namówić ją do powrotu? Czy ją zaklina? Czy jej grozi? Czy płacze tym swoim obrzydliwym baranym bekiem? A może rzuca się na nią po chamsku jak parobek? Z tej nerwowej,

histerycznej zadyszki, z płaczu, krzyku, rozpacz i dygotu pewnie kłębią się już na wyrku, rozbydlęci, biją się pięściami, rozdrapują sobie twarze... Paździorek jest krępy i mocny, ona jest mała i słaba. Paździorek musi się śpieszyć! Za pół godziny odchodzi pociąg! Pewnie przeciął sznur telefoniczny. Dziewczyna nie wzywa pomocy...

Już pięć po piątej. Już sprowadza ją po schodach do taksówki, wciąga siłą do środka, zatrzaskuje drzwiczki. Przegub dziewczyny uwięził w żelaznym uścisku, żeby mu się nie wyrwała, nie wyskoczyła w biegu. Nonsens! Nie ma żadnego porwania Sabinki. Nie jesteśmy w Azji, ale we Wiedniu, w samym sercu cywilizacji europejskiej.

Nie wytrzymał rosnącego napięcia nerwów. Poderwał się z tapczana, narzucił na siebie palto. Przeskakując po kilka stopni, zbiegł po schodach na ulicę. Wpadł do taksówki i zaczął się wieźć na Ostbahnhof. Zwariowałem! — przeszło mu przez głowę — po co ja tam jadę?

— *Schneller!* — popędał taksówkarza. — *Schneller!*

Zdążył na ostatnią minutę. Nie miał odwagi pokazać się chłopcom i dziewczętom. Przebiegł podziemnym korytarzem na ostatni peron. Ukrył się za filarem. Zaraz powinni nadejść. Pociąg odchodzi za pół minuty. Jeszcze ich nie ma. Z okien wagonów wychylają się młodzi ludzie, nerwowo gestykują, dają sobie jakies znaki. Przyjdzie czy nie przyjdzie?

I wreszcie zobaczył tę nieludzką scenę. A jednak Paździorek wojnę z dziewczyną wygrał! Poskromił ją sobie tylko znany sposób. Drobnym kroczkiem, z pokornie spuszczoną na piersi głową, z chusteczką przy oczach, szła Marychna. Bez palta, bez pakunków, w kusej spódnicy w kratkę, z rozsypanymi w nieladzie włosami. Dostrzegł jej chude nogi i spiczaste kolana. Z prawej pilnował jej Orzeszkowski, z lewej trzymał ją za łokieć Paździorek.

W ostatniej chwili, gdy wstępowała na stopień wagonu, wydawało mu się, że próbuje rzucić się ciałem do tyłu, ale Orzeszkowski i Paździorek energicznie wepchnęli ją do środka. Zdążyła się jeszcze obejrzeć, poszukać oczami odsieczy i szeroko otworzyć usta. Może nawet krzyczała, wzywała ratunku, ale nie już nie było słyhać: ze wszystkich stron rozległo się pianie lokomotyw i parskanie pary.

Nie panując nad sobą, wyskoczył zza filaru w stronę pociągu. Przebiegł przez tory w zakazanym miejscu, dopadł wagonu w ostatniej sekundzie... Już zawiadowca stacji podnosi czerwona tarczę na wysokość czapki... Już drgnęły koła...

— Marychna! — krzyknął. — Zaraz zaalarmuję policję! Oswobodzą cię na następnej stacji!

Wziął oddech w piersi, by przekrzyczeć rehot pary i w tej samej chwili... stanął jak wryty. Co to ma znaczyć? Dziewczyna zarzuca Paździorkowi ramiona na szyję, całuje go w usta,

raz... drugi... a teraz odgarnia mu czuprynę z czoła i całuje go po oczach...

— Nie potrzeba, panie Londyńczyk! — woła z okna. — Jestem szczęśliwa! Odzyskałam mego Wacka!

— A ja moją Marychnę! — mruga na niego okiem Paździorek. — Nie mówiłem, że mnie kocha?

— Marychna! — Henryk pobiegł za ruszającym pociągiem. — Zostań! Twój ojciec przylatuje z Londynu!

— Ukłony dla ojca! I proszę mu to oddać ode mnie!

Szybkim ruchem wydobyła małe zawiniątko zza biustu i wyrzuciła je z okna na peron. Złapał grubą kopertę w powietrzu. Dolary starego Palucha.

— Serwus! — piszczała, wychylona z okna do pasa. — Dziękuję za opiekę, za fajne ciacha z kremem, za kino, za płyty z Armstrongiem, za wszystko!...

— I ja też — przyłączył się Paździorek. — Bóg zapłać, Heniuś!

— Wszystkiego najlepszego! — pokiwała ręką. — Zdrowia i wiele szczęścia!

— Heniuś, trzym się! — zapał delegat. — Jeszcze „Jutrznia” nie zginęła!

Cała banda podniosła pożegnalny, łobuzerski wrzask w oknach.

— Hip-hip-hurra! — wołali jeden przez drugiego. — Byle do wiosny! Nie deście się, chłopaki, bo my się nie damy! Nie zapominajcie o nas! Przyślij Heniutek, puszkę kawy! I coś fajnego do jeścia! Bo u nas, panie, „jedźcie dorse, g... gor-sze!” Nigdy do zguby nie przyjdą Kaszuby! Ukłony dla Andersa! I Poli Negri! Ucałuj Zosiunię Loren! I Ginę Lollobrigidę! Niech żyje polskie wojsko! Nie będzie kacap pluł nam w twarz! Heniu, pyska!

Jedna z dziewcząt rzuciła mu kwiatek.

Wszystko rozegrało się tak błyskawicznie, że nie mógł się połapać w sytuacji: gdzie jest, co robi, co słyszy, co woła, dokąd biegnie? Biegł jednak klusem za pociągiem póki starczyło peronu, i machał im do samego końca, aż chusteczki, szaliki i ręce zniknęły w czeluści dworcowego tunelu.

Usiadł na ławce i przez dłuższy czas bił się podarowanym kwiatkiem w czoło. Co się stało? Dlaczego oni...

Ale mnie wykołowali! — roześmiał się wreszcie do siebie. — Nie ma co! Niedocenilem ich młodości! Kochana kupa wariatów, a ja największy! Mój Ziółko pewnie na nich śmiertelnie obrażony, literat Ziółkowski kręci pogardliwie nosem: „Nie-wymyślna historia, wodewil z happy-endem”, ale — „nie to, nie to”, jak mawiał mały rycerz... Szczęść Boże, przyjaciele z „Jutrznia”! Szczęść wam, Boże, z całego serca! Jutro będziecie w Polsce, już jutro będzie chodzić po tamtej ziemi...

...a ja w niej nie będę leżał nawet po śmierci.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Archiwum polityczne

Dla kogo zbroimy Niemców?

Korespondent „Manchester Guardian” opisując jedno z ostatnich burzliwych posiedzeń zachodnio-niemieckiego parlamentu — podkreślił, że w chwili gdy zaczął przemawiać kanclerz Adenauer sala obrad przemieniła się w... przedszkole. Postawie ze skupionymi minami słuchali słów kanclerza-nauczyciela.

„Führer-prinzip” jest głęboko zakorzeniony w psychice niemieckiej. Wadą (zaletą?) tej patriarchalnej instytucji jest fakt, że żaden patriarcha nie jest wieczny. Bez względu na to jak byśmy oceniali politykę Dr Adenauera — to trzeba stwierdzić, że po pierwsze jest to polityka w znacznej mierze osobistego autorytetu — a po drugie, że inspirator i chorąży tej polityki liczy osiemdziesiąt trzy lata. Z powyższych punktów należy wysnuć logiczny wniosek, że polityka adenauerowska każdej chwili może dobiec kresu. Jest oczywiste, że przywódca polityczny, który liczy 40 lat — daje większe gwarancje ciągłości danej polityki niż przywódca, który przekroczył osiemdziesiątkę.

Pertraktując z rządem kanclerza Adenauera — pertraktujemy de facto z jego nieznanym następcą i z owego nieznanego następcy nieznanym rządem.

Dając dziś Niemcom broń atomową wyposażamy w potencjał nuklearny Niemcy adenauerowskie. Ale kto tymi broniąmi będzie dysponował za kilka lat?

Kanclerz Adenauer pragnie odbudować potęgę Niemiec i uczynić z nich decydujący czynnik w polityce kontynentalnej Europy. Nowa armia niemiecka ma być jakościowo instrumentem o najwyższej precyzji. Innymi słowy, Niemcy zachodnie mają stanowić filar i trzon NATO — wierne frydrycjańskiej zasadzie, że negocjacje bez siły są orkiestrą bez instrumentów.

W chwili gdy piszę te słowa (druga dekada kwietnia) w Niemczech organizowane są dość liczne ale mdłe protesty przeciwko bombie wodorowej. Można z góry przewidzieć, że protes-

ty te nie będą miały decydującego znaczenia. Nie intelektualści lecz robotnicy mogliby realnie sprzeciwić się koncepcji uzbrajania Niemiec w broń nuklearną. Związki zawodowe Federalnej Republiki liczą ponad sześć milionów członków i gdyby władze związkowe powzięły decyzję strajków protestacyjnych — rząd w Bonn musiałby poddać rewizji swą dotychczasową politykę.

Jakie argumenty przemawiają za atomowym uzbrojeniem Niemiec?

Argument jest właściwie tylko jeden. Dowództwo NATO nie dysponując koniecznym minimum wojsk lądowych, samolotów i broni konwencjonalnych — w coraz większej mierze opierać musi strategiczne planowanie na broniach nuklearnych. Jeżeli armia niemiecka ma spełnić wyznaczoną jej rolę w ramach NATO musi być wyposażona w najnowocześniejsze broni w broniach nuklearnymi włącznie. To jest ów standardowy argument, który powtarzają zwolennicy atomowych Niemiec.

Każdy medal ma jednak dwie strony i medal zachodnio-niemiecki nie stanowi od tej reguły wyjątku. Jeżeli na przestrzeni najbliższych pięciu czy sześciu lat Niemcy przedzierzgnęłyby się w atomowe mocarstwo dysponujące najnowocześniejszymi bronią nuklearnymi — oznaczałoby to coś znacznie więcej niż wzmocnienie NATO. Atomowe Niemcy zrewolucjonizowałyby status quo i zachwiały obecnym europejskim „balance of power”. Byłoby naiwnością przypuszczać, że Rosja przyjąłaby to do wiadomości rezygnując z jakiegokolwiek kontr-akcji.

Zwolennicy atomowych Niemiec sądzą, że Rosja ograniczy się do budowy baz i wyrzutni raketowych w krajach satelickich i do wzmocnienia swych jednostek wojskowych w Europie wschodniej.

Nie mamy żadnej gwarancji, że Rosja zadowolą się taktyką naszkicowaną powyżej.

W jednym z poprzednich artykułów wysunąłem pogląd, że Rosja Sowiecka nie pogodzi się biernie z atomowo-militarną odbudową Niemiec i będzie usiłowała narzucić swoje rozwiązanie „kwestii niemieckiej”. Już po ukazaniu się w druku cytowanego artykułu otrzymałem drogą pośrednią ciekawe informacje, które potwierdzają te obawy. R.H.S. Crossman po powrocie ze Związku Sowieckiego w zamkniętym gronie ujawnił interesujące szczegóły swojej rozmowy z Chruszczowem. Na zapytanie jaka będzie reakcja Związku Sowieckiego na ewentualne atomowe uzbrojenie Niemiec Chruszczow odpowiedział: „z atomowymi Niemcami Rosja będzie musiała szukać porozumienia nawet kosztem wielkich ofiar”.

Kto by poniósł te wielkie ofiary Polakowi niestety łatwo się domyśleć.

Wybór taktyki jaką w danej chwili zastosują Sowiety — zależeć będzie od sytuacji a przede wszystkim od składu rządu w Bonn. Budowa militarno-nuklearnego potencjału Niemiec — jeżeli zostanie ostatecznie zdecydowana — potrwa około sześciu

lat. Choć sędziwemu kanclerzowi Adenauerowi życzymy wszelkiej osobistej pomyślności — to jednak wydaje się mało prawdopodobne by w roku 1964 sprawował swój wysoki urząd. Jest niepomierne bardziej prawdopodobne, że świat niemieckiej potęgi atomowej zastanie go nie na fotelu kanclerskim lecz na emeryturze.

Ważnym elementem będzie również sytuacja w Stanach Zjednoczonych. Gdyby kryzys gospodarczy w Ameryce miał się pogłębić i rozszerzyć — zachodnio-niemieccy zwolennicy porozumienia z Rosją zyskaliby potężny argument.

Dyskusja na temat Niemiec w sprawie zachodnio-europejskiej nie bierze w ogóle pod uwagę stanowiska Rosji. Sowiety wysuwają stale i niezmiennie bezkompromisowe propozycje i wskutek tego utrwaliło się przekonanie, że po pierwsze Rosja nie życzy sobie zjednoczenia niemieckich republik, a po drugie mniema iż los Niemiec zachodnich to jest „business” NATO i Ameryki, a los Niemiec wschodnich to jest „business” Związku Sowieckiego i Paktu Warszawskiego. Wychodząc z założenia, że nie ma nic trwalszego jak prowizorium — politycy zachodnio europejscy sądzą, że „integracja” Federalnej Republiki w organizację NATO jest równie trwała i gwarantowana jak analogiczna „integracja” Niemiec wschodnich w system Paktu Warszawskiego.

Osobiście trudno mi się dopatrzeć cech trwałości w powyższym układzie. Albowiem fundamentem tego układu jest przede wszystkim nieprzejednane stanowisko Rosji w sprawie zjednoczenia Niemiec. Jak długo Niemcy zachodnie będą militarnie słabe — Rosja prawdopodobnie nie zmieni swego stanowiska, a tym samym obecny układ będzie miał szansę trwania. W tej chwili nie ma żadnego „przetargu” o Niemcy — bo Rosja do tego przetargu nie staje. Ale ta sytuacja w przyszłości może ulec radykalnej zmianie.

Polityk zachodnio-niemiecki mógłby w tej chwili włączyć się do naszej dyskusji i oświadczyć, że wychodząc z podobnych przesłanek jest zwolennikiem atomowego uzbrojenia Niemiec. Jest bowiem prawdopodobne, że nuklearne zbrojenia Niemiec zmuszą Rosję do zmiany stanowiska i w konsekwencji skłonią ją do negocjacji. Polityk niemiecki może by również dodać, że Niemcy mogą w przyszłości wyrzec się broni atomowych za konkretne korzyści. Ale na to by bombę atomową politycznie sprzedać trzeba ją w pierw posiadać.

Stanowisko polityków niemieckich domagających się uzbrojenia armii federalnej w broń nuklearną — z punktu widzenia nacjonalistycznego nie jest pozbawione logiki. Popołniają jednak błąd ci zachodnio-europejscy politycy, którzy identyfikują zbrojeniowe interesy NATO ze zbrojeniowymi interesami zachodnich Niemiec. Żyjemy w epoce paradoksów i nie wszystko co brzmi logicznie jest de facto logiczne. Twierdzenie, że wzmocniając potencjał militarny Niemiec zachodnich automatycznie

wzmacniamy NATO — brzmi logicznie, ale czy istotnie jest logiczne — śmiem wątpić.

Wydaje mi się, że można uznać za pewne, iż rozbudowę zachodnich Niemiec w atomowe mocarstwo — Rosja uzna za odejście od obecnego prowizorium. Innymi słowy podejmując decyzję tego typu spowodujemy Rosję do kontr-akcji. By móc odpowiedzieć na pytanie czy skórka opłaci się za wyprawę tzn. czy uzbrojenie atomowe Republiki Federalnej istotnie wzmocni NATO — musielibyśmy znać rodzaj, wymiar i zasięg ewentualnej rosyjskiej kontr-akcji.

W pierwszym okresie Rosja może ograniczyć się tylko do rozbudowy baz i wyrzutni raketowych w państwach satelickich. Ale jeżeli w Bonn pojawi się nowy rząd, skłonny do bezpośrednich rozmów z Moskwą — to winniśmy pamiętać o tym, że pozycja przetargowa Rosji w stosunku do Niemiec jest niewspółmiernie lepsza od analogicznej pozycji Zachodu. Rosji nie przecytujemy — to jest całkowicie pewne.

Sowiety mogą wysunąć propozycję, których żaden niemiecki rząd nie będzie w stanie odrzucić. Mogą zaoferować pokojową „korekturę” granicy na Odrze i Nisie, mogą otworzyć przed przemysłem zachodnio niemieckim perspektywy nieograniczonych rynków zbytu w krajach wschodniej Europy, w Związku Sowieckim i w Chinach, mogą przekonać wpływowe koła opinii niemieckiej, że droga do odbudowy światowej pozycji Niemiec wiedzie nie przez sojusz atlantycki lecz przez nowe Rapallo. W Niemczech — zwłaszcza wśród wyższych wojskowych b. Reichswehry — tradycja ścisłej współpracy niemiecko rosyjskiej jest bardzo żywa. Jeżeli kryzys amerykański okaże się trudniejszy do opanowania niż obecnie mniemamy — jeżeli konferencja „na szczycie” nie posunie naprzód kwestii niemieckiej — zniechęcenie do polityki Zachodu — już widoczne w pewnych kołach niemieckiego społeczeństwa — uczyni dalsze postępy.

Taktyka sowiecka w stosunku do Niemiec jest zastanawiająca. Rosjanie dysponując najmocniejszymi atutami w grze o Niemcy nie chcą rzucić na stół nawet jednej blotki. Chcą zachować nienaruszony komplet atutów by w decydującym momencie wygrać nie robra lecz partię.

Walka o Europę jest walką o Niemcy i w tym sensie zachodnio europejscy politycy, którzy są zwolennikami atomowych Niemiec — wnioskuje pozornie logicznie. Wysuwają argument, że słabe nie-atomowe Niemcy wcześniej czy później sprowokują Rosję. Twierdzą również, że w sercu Europy nie może być atomowej próżni bo polityka imperialistyczna próżni nie znosi.

Powyzsze rozumowanie byłoby bez skazy gdyby nie jedno „ale”. Trzeba by jeszcze Niemcom powiedzieć, że w chwili gdy armia niemiecka będzie odbudowana i wyposażona w broń nuklearną — państwa sojuszu atlantyckiego poprą solidarnie niemiecką politykę zmierzającą do zjednoczenia i odzyskania ziem utraconych w wyniku drugiej wojny światowej. Byłoby na-

iwnością przypuszczać, że uzbrojone Niemcy zrezygnują z celu narodowej niemieckiej polityki. Jeszcze większą naiwnością byłoby mniemać, że armia niemiecka wyposażona w broń nuklearną zadowolili się rolą europejskiego „Korpusu Ochrony Pogranicza” w ramach organizacji NATO. Niemcy zbroją się nie dlatego by zrobić przyjemność dowództwu atlantyckiemu lecz w nadziei, że zbrojenia ułatwią im realizację ich politycznych postulatów. Jeżeli w przyszłości udział w NATO stanąłby na przeszkodzie w realizowaniu tych postulatów — Niemcy nie zawahają się opuścić tego sojuszu. Jak długo uprawiamy w Europie politykę narodowych interesów powyższej kalkulacji nie można niczego zarzucić.

By lepiej wnikać w intencje polityki rosyjskiej w stosunku do Niemiec trzeba sowiecki program europejski rozpatrzyć w szerszej perspektywie.

Cokolwiek myślelibyśmy o szansach rewolucji światowej, to trzeba stwierdzić, że komunizm jest nadal głównym instrumentem sowieckiego imperializmu. Klasyki marksizmu wyobrażali sobie, że rewolucja wybuchnie samoczynnie — gdy sytuacja po temu dojrzeje — w pierwszym rzędzie w uprzemysłowionych krajach Zachodu. Stalin reprezentował tezę, że jedynym realnym nosicielem „płomienia rewolucji” jest armia czerwona.

Epoka zarówno klasyków jak i Stalina należy do przeszłości. Chruszczow nie ma złudzeń by rewolucja komunistyczna wybuchła gdziekolwiek samoczynnie. Od roku 1945 wahadło polityczne w krajach Zachodu przesunęło się wydatnie na prawo. Partie komunistyczne w wolnym świecie do tej pory nie wydołyły się z szoku spowodowanego znanym referatem Chruszczowa na XX Kongresie Sowieckiej Partii Komunistycznej. Podczas gdy w wydawnictwach sowieckich rehabilitacja Stalina czyni błyskotliwe postępy — oficjalny organ brytyjskiej partii komunistycznej „Daily Worker” odmówił zamieszczenia płatnej klepsydry w rocznicę śmierci „słońca narodów”.

Doktryna rewolucji na bagnietach czerwonej armii, choć może zapisać na swój kredyt wybitne sukcesy — straciła od czasów Stalina na zastosowalności. Wyprowadzenie armii czerwonej poza granice stref wpływów w Europie grozi dzisiaj wybuchem światowej wojny atomowej.

Więc jeżeli nie samoczynna rewolucja — jeżeli nie bagno czerwonej armii — to co? To jest dylemat na który Chruszczow znalazł odpowiedź. Odpowiedź brzmi: polityka. Rewolucji nie można dziś dokonać ideologią — nie można jej podwieźć na czołgach — można natomiast umiejętną, cierpliwą polityką pokusić się o stworzenie korzystnego układu dla satelizacji kontynentu europejskiego. Przez satelizację należy rozumieć stworzenie takiego układu, w którym państwa kontynentalnej Europy uznałyby, że tylko przyjazna neutralność w stosunku do Rosji stanowić może gwarancję ich egzystencji. Satelizacja z całą pewnością rozczarowałaby kontynentalne partie komunistyczne, gdyż Chruszczow nie mógłby w żadnym z tych państw do-

puścić do rozruchów na większą skalę. Wojna domowa w którymkolwiek z państw kontynentalnych musiałaby się skończyć interwencją armii czerwonej co w konsekwencji groziłoby światowym kryzysem, a może powszechną wojną atomową.

Ideąłem Chruszczowa na obecnym etapie nie jest bynajmniej by panowie z „Daily Worker'a” znaleźli się na 10, Downing Street i w przeciagu miesiąca doprowadzili Anglię do ruiny. Ideąłem byłoby, żeby legalny i normalny rząd brytyjski wystąpił z NATO, wywakuował Amerykanów i zajął postawę przyjaznej neutralności w stosunku do Rosji. Na „brytyjską drogę do socjalizmu” byłby czas późniejszy.

Celem Rosji jest doprowadzenie do izolacji Stanów Zjednoczonych. Krokiem wstępnym na tej drodze jest wyparcie Amerykanów z Europy. Pozycją kluczową w walce o Europę są Niemcy.

W moim przekonaniu główne ryzyko uzbrajania Niemiec w broni nuklearne sprowadza się do faktu, że potencjalne interesy Niemiec nie pokrywają się z celami NATO. Jeżeli atlantycy sojusznicy Niemiec nie są zdecydowani poprzeć w przyszłości czynnie i dynamicznie terytorialnych roszczeń niemieckich — nie należy Niemców wyposażać w broni atomowe. Głównymi kardynalnym potencjalnym kontrahentem Niemiec jest nie Ameryka lecz Rosja. Tego faktu, wpływającego z realnego stanu rzeczy, nie zmienia na jotę obecna sytuacja i obecne polityczne powiązania Federalnej Republiki. Rosja bowiem a nie Ameryka dysponuje ogółem ziem, które Niemcy stracili w rezultacie drugiej wojny światowej. I dlatego klucz losu Niemiec leży nie w Waszyngtonie lecz w Moskwie. Ów klucz można albo wynegocjować albo odebrać. Ameryka nie ma żadnej szansy wynegocjowania od Rosji tego klucza na drodze pokojowej. Sowiety na ten temat nie będą prowadziły z Waszyngtonem żadnych dyskusji.

Jeżeli Zachód odrzuca politykę nacisku i wojny to trzeba w konsekwencji spokojnie stwierdzić, że nie leży w możliwościach sojuszu atlantyckiego urzeczywistnienie niemieckich postulatów narodowych. Nie leży również w mocy Waszyngtonu przekonać Niemców, że winni pogodzić się raz na zawsze z przepowianiem swej ojczyzny.

Im Federalna Republika będzie potężniejsza w sensie militarnym i atomowym — tym cena „wykupu” Niemiec zachodnich z NATO będzie wyższa. Rosja w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych — posiada różnorakie możliwości zaspokojenia niemieckich postulatów na drodze pokojowej. Jeszcze raz warto podkreślić, że Rosja może wysunąć propozycję, których żaden niemiecki rząd nie będzie w stanie odrzucić.

Jeżeli mamy przed sobą atlantykę: konwencjonalnie uzbrojone Niemcy w ramach NATO, lub nuklearne Niemcy kandydat do Rapallo — należy wybrać konwencjonalnie uzbrojone Niemcy. Rosji nie opłaci się ponosić owych „wielkich ofiar” dla kupienia konwencjonalnie a więc nie groźnie uzbrojonych Nie-

miec. Odbudowując militarną potęgę Federalnej Republiki i przekształcając ją w nuklearny szaniec Zachodu — podbijamy cenę wykupu przy licytacji, którą musimy przegrać.

Przeciwnicy pasa neutralnego i wszelkich form „disengagement” wysuwają stale postulat: żadnych ograniczeń zbrojeń bez ustępstw i koncesji politycznych. Rozgrywka Zachodu z Rosją o Niemcy sprowadza się do jednego problemu a mianowicie uniemożliwienia Rosji dokonywania koncesji politycznych wyłącznie na rzecz Niemiec a nie na rzecz Zachodu. Innymi słowy z punktu widzenia interesów Zachodu, a w szczególności z punktu widzenia interesów kontynentalnej Europy — ważniejsze jest zaasekurować się dziś przed ewentualną nową wersją Rapallo — niż wyposażać Niemcy w broni atomowe celem rzekomego wzmocnienia NATO.

Argument który głosi, że Niemcy ponieważ nie posiadają broni atomowych otrzymać je mogą tylko od Ameryki, która zatrzyma prawo dyspozycji — jest naiwny. Jeżeli Niemcy otrzymaliby bomby atomowe to Amerykanie do czasu mogliby sobie zagwarantować prawo dyspozycji i decyzji. Ale trudno sobie wyobrazić by Amerykanie mogli w praktyce dysponować niemiecką artylerią atomową, czy wszelkimi typami pocisków o głowicach atomowych. Jeżeli odnośnie jednostki armii niemieckiej miałyby posiadać odpowiednią wartość bojową — musiałyby być przeskolone i usamodzielnione. Nie jest rzeczą możliwą na dłuższą metę organizowanie armii wyposażonej w najnowocześniejszy i różnolity sprzęt nuklearny i równocześnie trzymanie pod kluczem wszystkich głowic atomowych. Jak raz wstąpimy na drogę budowy niemieckiej armii nuklearnej — to trzeba sobie jasno powiedzieć, że proces ten skończyć się musi pełną atomową suwerennością Republiki Federalnej. Wówczas dla Moskwy polityczna atrakcyjność Niemiec wzrośnie tysiąckrotnie a równocześnie ich „układność” w stosunku do Zachodu proporcjonalnie zmaleje. To są perspektywy raczej ponure.

Na Zachodzie popełniamy w stosunku do Niemiec podstawowy błąd psychologiczny. Tak jak Hitler przysłał nam naród niemiecki w sensie negatywnym, tak kanclerz Adenauer przysłał nam Niemców w sensie pozytywnym. Niemcy się zmienili niewątpliwie, ale nie w tym stopniu i nie w tym kierunku jak skłonni jesteśmy mniemać. Naród niemiecki jest obecnie w sytuacji nietypowej, i dlatego w ocenie jego reakcji trzeba być bardzo ostrożnym.

Skłonni jesteśmy przypuszczać, że adenauerowscy Niemcy są bardziej europejszymi niż Niemcami i bardziej leży im na sercu interes antykomunistycznej wspólnoty atlantyckiej niż postulaty niemieckiej polityki narodowej. Do tego stopnia Niemcy się nie zmienili. I trudno im to mieć za złe.

Ideologiczne polityki uprawiają tylko emigracje. Realne polityki państwowe determinowane są nadal siłą i interesem. Różnice ideologiczne nie przeszkadzają zachodnim Niemcom w na-

wiązaniu bezpośrednich negocjacji z Moskwą, gdy krok taki zgodny będzie z niemieckimi interesami.

Nuklearne, uzbrojone Niemcy wytworzyłyby nową sytuację, która dla Rosji nie byłaby bynajmniej łatwą do rozegrania. Niemniej Sowiety miałyby większą szansę zdyskontowania tej sytuacji na swoją korzyść niż Zachód. Rosja, która w takim wypadku byłaby — według słów Chruszczowa — gotowa do wielkich ofiar — jest dziś gotowa — należy sądzić — do mniejszych ofiar w zamian za porzucenie planu rozbudowy Niemiec w bazę nuklearną. Plan Rapackiego jest tego dowodem i ilustracją. Ponieważ plan ten jest koncepcją wyłącznie rosyjską pokrywa wyłącznie interesy rosyjskie. Gdyby jednak w dyplomatycznych kancelariach Zachodu z dziesiątków propozycji pasa neutralnego wypracowano konkretny projekt — być może powiodłoby się znaleźć formułę kompromisu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NIEMCY SIĘGAJĄ PO RADIO „WOLNEJ EUROPY”

Zacznijmy od stanu faktycznego.

Wysiedleńcy niemieccy z Polski i z Czechosłowacji prowadzą od roku 1951 systematyczną kampanię przeciwko RWE. Klęska wyborcza poniesiona przez te szowinistyczne ugrupowania sprawiła, iż machinacje prowadzone na terenie Federalnej Republiki przeciw RWE nie przyniosły rezultatów.

Obecnie te same czynniki ze zdwojoną energią podjęły kampanię w Stanach Zjednoczonych. Powiodło im się pozyskać dla swoich celów komentatora radiowego Fultona Lewisa a jr., który w początkach grudnia ub. roku rozpoczął systematyczną walkę przeciw RWE, domagając się jego likwidacji. Od trzech miesięcy Lewis wygłasza codziennie przez mikrofony dwóch stacji radiowych pokrywających swą siecią całą Amerykę — pogadanki wymierzone przeciwko RWE. Poza tym, Lewis wystąpił z serią artykułów na łamach pism amerykańskich. Artykuły utrzymane są w tym samym tonie co jego wystąpienia radiowe. Główny zarzut tych wypowiedzi streszcza się w tezie, że RWE propaguje titoizm i „gomulkiizm”.

Po kilkumiesięcznych przygotowaniach szowiniści niemieccy uznali, że należy wysłać do Stanów Zjednoczonych Dr. Waltera Bechera, b. członka partii hitlerowskiej, posła do parlamentu bawarskiego i generalnego sekretarza Rady Naczelnej Związku Niemców Sudeckich. Becher po wylądowaniu w Ameryce podjął natychmiast działalność polityczną zakrojoną na szeroką

skale. Między innymi rozesłał do członków Senatu i Kongresu oraz do licznych instytucji i redakcji pism memoriał proponujący rozwiązanie Komitetu Wolnej Europy i utworzenie w jego miejsce prywatnej niemiecko-amerykańskiej organizacji pod nazwą „Society for Abolishment of War and Communism (Peace and Freedom Committee)”. (Angielszczyzna Dr. Bechera za którą Londyńczyk nie odpowiada).

Dr. Becher jest niezmiernie aktywny i zdołał dotrzeć do otoczenia Maca Arthura, kongressmen'ów Burdick'a i Flood'a oraz senatorów Malone Knowlanda.

Kampania w Stanach Zjednoczonych jest pilnie śledzona przez pewne czynniki w Bonn, które zastanawiają się czy nie nadszedł już czas do zlikwidowania RWE i przejścia całej aparatury propagandowej obliczonej na Polskę, Czechosłowację i inne kraje Europy Wschodniej. Bezpośrednim rezultatem tej operacji byłoby zdobycie monopolistycznego instrumentu oddziaływania na ludność autochtoniczną na Ziemiach Odzyskanych i mobilizowanie mniejszości niemieckich w Polsce.

Gdyby plany Dra W. Bechera zostały uwierzczone sukcesem — oznaczałoby to katastrofę o nieprzewidzianych wprost konsekwencjach. W praktyce byłoby to równoznaczne z oddaniem Niemcom propagandy na kraje Wschodniej Europy. Nie ulega wątpliwości, że zdobywszy taki atut Niemcy rzuciliby go na szalę w rozgrywce z Moskwą. Być może dążyliby do wywołania w krajach za „żelazną kurtyną” rozruchów i zamieszek by następnie „spacyfikować” ten obszar w porozumieniu z Rosją.

Realizacja koncepcji Dr. Bechera zdyskredytowałaby kompletnie w kraju politykę amerykańską, dając równocześnie nieodparte argumenty komunistom. Fala nastrojów antyzachodnich, a w szczególności antyamerykańskich objęłaby całą Polskę. Mówiono by, że Ameryka nas „sprzedała” tym razem Niemcom.

Niemcy dążą do odbudowy swej pozycji na Wschodzie nie mając dośkonnie żadnej wschodniej polityki. Wszystkie polskie inicjatywy (między innymi i nasze) zmierzające do normalizacji stosunków polsko-niemieckich — nie tylko nie dały konkretnych rezultatów ale nigdy nawet nie były przedmiotem rzeczowej dyskusji. Cała niemiecka polityka wschodnia sprowadza się do szowinistycznego rewizjonizmu i nadziei, że cele niemieckie powie dzie się w przyszłości urzeczywistnić ponad głowami zainteresowanych narodów na drodze przetargów z Moskwą.

Jeżeli już jesteśmy przy tym temacie dla pełni obrazu należy powiedzieć kilka słów o Sekcji Polskiej RWE.

Dla każdego nieuprzedzonego obserwatora jest oczywiste, że zarówno kierownik Polskiej Sekcji jak i wszyscy jego współpracownicy są lojalni, patriotyczni i owiani jak najlepszymi chęciami. Ale w tej niezmiernie trudnej sytuacji w jakiej ów zespół się znalazł — owe wysokie i nieczęste kwalifikacje nie zastąpią programu. Niestety Polska Sekcja programu nie ma i nigdy go nie miała. W okresie tzw. „zimnej wojny” nie było to takie widoczne. Całość akcji sprowadzała się wówczas do atakowania reżymu i informowania Kraju o wydarzeniach na Zachodzie.

Po Październiku Sekcja Polska poparła słusznie Gomulkę i zainicjowane przez niego przemiany. Na jej konto należy również zapisać walkę o pomoc gospodarczą Zachodu dla Polski. Ale generalne popieranie Gomulki nie jest również programem. Programem może być ewolucjonizm, któ-

ry należałoby propagować domagając się konkretnych rozwiązań w konkretnych sytuacjach. Przy tych możliwościach jakimi dysponuje F. E. — można by niemal dublować Radę Ekonomiczną. Ale trzeba mieć koncepcję ewolucyjnej przebudowy obecnego społeczno-gospodarczego modelu Polski. Czy to będzie problem rewizjonistów, czy rad robotniczych, czy Ziemi Odzyskanych — trzeba wiedzieć czego się chce i do czego się dąży. Jeżeli mowa o Ziemiach Odzyskanych nie wystarczy głosić tezy o nięnaruszalności tej granicy, lecz należałoby uderzyć na alarm i słuchaczowi w Kraju przedstawić bez obsłonek straszliwy obraz spustoszenia — jeżeli nie zaprzeczania tych ziem. Argument, że tak postępując wtykalibyśmy broń do ręki Niemcom jest bez sensu, gdyż Niemcy bez naszej pomocy znakomicie wiedzą co się na tych ziemiach w rzeczywistości dzieje. Tylko poruszenie opinii krajowej i uświadomienie szerokim masom wymiaru tego skandalu — być może zmusiłoby partię do podjęcia energicznej akcji.

W działalności kulturalnej Polskiej Sekcji FE również trudno dopatrzyć się jakiegos programu. Biorąc pod uwagę, że audycje nie są już dziś zagłuszane — RWE miałyby możliwość zaprezentowania Krajowi wszystkich czołowych emigracyjnych pisarzy, poetów i muzyków. Jak to jednak wygląda w rzeczywistości? Pisarze emigracyjni o największym rezonansie w Kraju jak Gombrowicz, Stempowski, Miłosz czy Parnicki — de facto nie istnieją dla Polskiej Sekcji RWE. Działalność kulturalna Sekcji jest zrutyżowana i zrzędniczała. Wiecznie ci sami „przyjaciele domu” — te same nazwiska — te same kawalki. Polska Sekcja nie umiała zorganizować współpracy „Free Lancerów”, wolać oprzeć się na stałych uprzywilejowanych dostawcach. Nie ma „młodych”, nie ma przedstawicieli coraz ciekawszych ośrodków kulturalnych narastających za oceanem (Kanada, Australia, Argentyna np.).

W FE dzieją się rzeczy wręcz niepojęte. Miesięcznik FE pt. „East Europe” przedrukowuje często utwory pisarzy krajowych i odmawia zapłaty honorariów — motywując odmowę faktem, że Stany Zjednoczone nie należą do konwencji Berneńskiej. Formalnie słusznie, ale cóż to za świetna propaganda w stosunku do autorów krajowych, prawda?

Polska Sekcja RWE winna wciągnąć intelektualistów emigracyjnych do współpracy nie koniecznie przy mikrofonie. Byłaby to forma pomocy niepomniejszającej bardziej moralna i skuteczna niż stypendia, których cofnięcie budzi tyle gorczy.

W sumie należy stwierdzić co następuje. W pewnych sytuacjach nie ma ucieczki przed decyzją. Decyzja to jest polityka. Polska Sekcja RWE albo będzie politycznym zespołem o własnym programie i koncepcji, albo będzie drugim „Voice of America”. Innej możliwości nie ma. Tylko zespół świadomy swojej roli mógłby oddziaływać nie tylko na Kraj ale i na czynniki amerykańskie walcząc skutecznie z inspiracją niemiecką.

W OKU CYKLONU

Książka Marka Hłaski pt. „Cmentarze” wydana i nagrodzona przez KULTURĘ — jest zdumiewającą lekturą. Oczywiście zupełnie innymi oczyma czytać ją będzie Polak w Kraju a innymi emigrant, dla którego zjawisko

określane mianem Polski Ludowej znane jest tylko z listów, z opowiadań i z książek.

Od wszystkich innych utworów tego typu „Cmentarze” różnią się w dwóch punktach.

Hłasko nie jest ani intelektualistą ani typowym inteligentem. Inteligenckość jest produktem szkoły, atmosfery uniwersyteckiej a nie samouctwa. Jego „cynizm” jest bardzo swoistego gatunku i w niczym nie przypomina inteligentkiego folkloru.

Ponieważ autor „Cmentarzy” nie jest intelektualistą, psychologia jego bohaterów nie ma nic wspólnego ze „zniewolonym umysłem” — a on sam nie ma nic wspólnego z jakże częstym u inteligentów ideologicznym masochizmem.

I punkt drugi. Hłasko w tej chwili ma 25 lat. Innymi słowy był pięcioletnim dzieckiem w chwili wybuchu wojny. Polska dwudziestolecia — epoka sprzed wielkiej awantury — to są wszystko dla niego trojańskie legendy. Dlatego nie dławi go i nie trątuje jak Miłosza widmo „procesu dziejowego”. Poczucie Historii to jest poczucie skali. Hłasko urodził się w oku cyklonu i wydaje mu się, że tak właśnie wygląda życie.

Osobiście część drugą książki zatytułowaną „Następny do Raju” uważam za cenniejszą od noweli tytułowanej „Cmentarze”. Akcja opowiadania „Następny do Raju” toczy się na peryferiach polskiego „modelu”. Daleko od świata i ludzi w górach, wśród śniegów — barak. W nim kilku kierowców — każdy z bogatą przeszłością. Przed barakiem stare zmordowane samochody, którymi zwożą drzewo po karkołomnych zawianych drogach. Niemal co dnia któregoś z kierowców ubywa. Giną w nieuchronnych katastrofach. W chwili gdy grozi otwarty bunt kierowców, gdy zdecydowani są uciekać do miasta — zjawia się młody kierowca politruk nazwiskiem Zabawa. W najbliższym czasie nadejdą nowe amerykańskie samochody — należy więc przetrwać i wozić drzewo dalej.

Co wieczór kierowcy w bazie nasłuchują czy nie nadchodzi transport nowych wozów. Szoferzy Hłaski nie pragną „szklanych domów”. Chcą mieć dobre samochody, na których by się nie zabijali i maszyny, które byłaby radość prowadzić.

W bazie drzewnej, wysoko w górach, nie ma żadnej dialektyki. To jest ostatnia cegła tej piramidy i ostatnie ogniwo łańcucha. Tu ręka ludzka dotyka się bezpośrednio materialistycznej materii. Z tej perspektywy gmach partyjnej ideologii wygląda nieco inaczej. Robotnicy są empirykami i mierzą wszystko i wszystkich empirycznymi sprawdzianami. Podobnie jak chłopci. Utopia ich nie fascynuje.

Zabawa, który siedział w więzieniu za komunizm w Polsce przedwojennej i w Polsce powojennej — wyznaje pod koniec prosto: „nie wierzę w wiarę”. Samochody nadeszły ale w bazie nie było już nikogo prócz Zabawy, zbankrutowanego politruka.

Drwała piłującego drzewo w lesie nie przekona żaden profesor Schaff o wyższości systemu komunistycznego jeżeli piła jest z lichej stali — transport źle funkcjonuje a w kantine kradną.

Inteligentów fascynuje „sama rzecz w sobie” i teoretyczna analiza eksperymentu. Wokół nieudanych prób tworzy się cała literatura analiz, dyskusji, studiów — które po pewnym czasie spływają do kotłów z makulaturą. Mówi się wówczas o „minionym etapie”.

Szoferzy Hłaski w swych rozmowach z Zabawą nie wynaleźli żadnej recepty na zbawienie świata. Osobiście sądzę, że zbawienie leży tylko w nadziei, że do wniosków, do których w lesie doszedł Zabawa — dojdą i inni. Przeszaną wierzyć w wiare i zatrzymają z niej tylko to i tylko tyle co można empirycznie sprawdzić. Niestety jednak dogmatycy są nienasyceń. Po tysięcznej nieudanej próbie w tym samym osobowym składzie, w oparciu o identyczne założenia podejmują nowy etap w nadziei, że tysiąc pierwszy eksperyment przyzna im rację. I dla tego lepiej w Polsce Ludowej dzieje się tym co piszą i dyskutują, niż tym co wożą drzewo i wyczekują z nieba nowych samochodów. Gdyby wszyscy robotnicy mogli przedzierzgnąć się w pisarzy i dziennikarzy wówczas Polska Ludowa stałaby się rajem klasy robotniczej.

KONTRAHENT CZY AGENT ?

Dyskusja jaka toczyła się na łamach „Kierunków” na temat polityki Wielopolskiego — w prasie emigracyjnej nie wzbudziła zainteresowania. A przecież w tej dyskusji nie chodziło o przebrzmiałą historyczną kwestię. Pałaca aktualność tematu a nie postać Wielopolskiego — sprawiła, że dyskusja zatoczyła w prasie krajowej tak szerokie kręgi. Głównymi oponentami byli Aleksander Bocheński i Jerzy Łojek.

Rozważając głosy „za” i „przeciw” — przyszło mi na myśl, że od tamtych odległych czasów Polacy całkowicie zrezygnowali z wszelkiej inicjatywy w stosunkach polsko-rosyjskich. Warto może podkreślić, że w odróżnieniu od współczesnych krajowych polityków — Wielopolski miał osobistą sytuację w stolicy Cara. Czy Gomułka, Cyrankiewicz, B. Piasecki lub jakikolwiek inny z przywódców Polskiej Ludowej — ma osobistą sytuację w Moskwie? Wydaje mi się, że nie. Czy którykolwiek z członków tzw. „Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej” dysponuje choćby jedną setną tych wpływów i stosunków jakimi dysponował mecenas Lednicki, ojciec Prof. Wacława Lednickiego najwybitniejszego z współczesnych puszkinologów?

Jeżeli sprowadzić problem do uproszczonej nieco formy: agent czy kontrahent — to trzeba powiedzieć, że w porównaniu z Bierutem, typowym agentem, Wielopolski był kontrahentem.

W dzisiejszej Polsce politycy i działacze powołują się na racje geopolityki tylko wówczas gdy trzeba usprawiedliwić ustępstwo. Ta sama geopolityczna racja nie dyktuje jednak Polakom szukania zbliżenia w celu rozbudowy stosunków, które mogłyby być pomocne właśnie w chwilach trudnych i kryzysowych. Bez względu na to jak ułoży się sytuacja w przyszłości, Rosjanie będą naszymi sąsiadami i suma polskich wpływów w Moskwie stanowić będzie zawsze istotny element w naszej polityce.

W przekonaniu przeciętnego Polaka zbliżenie w powyższym kontekście jest synonimem ugody. W głowie się nam nie chce pomieścić, że zbliżenie, stosunki, wpływy — służą właśnie po temu by nie musieć ustępować — względnie by móc ustąpić mniej. Instynkt niepodległościowy wyżywamy w ten sposób, że choć ustępujemy pod naporem racji geopolitycznych — to jednak równocześnie do Rosjan odwracamy się plecami. „Niech wiedzą, że ich niecierpimy, niech wiedzą, że nimi gardzimy i nie chcemy o nich ani słyszeć ani wiedzieć”.

A jednak Rosjanie są nam potrzebni i będą nam zawsze potrzebni. Bez względu na ustrój. W Polsce powinna zawsze istnieć polityczna szkoła orientacji rosyjskiej. Oficjalnie w Kraju są dziś wszyscy za sojuszem polsko-rosyjskim i równocześnie wszyscy są antyrosyjscy. Znakomita większość tych, którzy twierdzą, że jako przeciwnicy komunizmu są antysowieccy — gdyby jutro w Rosji zmienił się ustrój przestaliby zapewne być antysowieccy ale antyrosyjscy pozostaliby nadal.

Przeciętny Polak ma poczucie ogromnej wyższości w stosunku do Rosjan ale owo poczucie manifestuje się tylko pogardą, a więc w sposób czysto negatywny.

Inny naród na naszym miejscu bronilby swej niezależności rozbudowując na wszystkich polach stosunki z Rosją i rozładowując kompleksy uprzedzeń. Inteligent rosyjski jeśli czytał Gogola, Turgieniewa, Lwa Tołstoja (mowa o pierwszej połowie jego życia i twórczości), Dostojewskiego — nastawiony jest tradycyjnie wrogo do Polaków. Wypowiedzi nowszych autorów nie odbiegają od tego standardu. Galeria Polaków zaprezentowana w trylogii „Piotr Pierwszy” Aleksego Tołstoja — nie może w czytelniku rosyjskim budzić innych uczuć jak lekceważenie i pogardę.

Inny naród w naszej sytuacji starałby się zmonopolizować rusycystykę w swoich rękach. Ale nas interesuje „sowieologia” nie rusycystyka. Przed wojną, w Krakowie, cytowany już w tej notatce prof. Lednicki miał kilkunastu uczniów. Równocześnie na romanistyce było setki studentów.

Innemu narodowi w naszym położeniu instynkt polityczny dyktowałby konieczność kulturalnej ekspansji i penetracji. Lecz u nas inaczej. Kazimierz Brandys jest autorem, którego pewne książki cieszą się w Rosji wielką poczytnością. Ledwo jednak nastąpiła w Kraju „odwilż paszportowa” — Brandys spakował walizkę i wyjechał oczywiście na Zachód do Rzymu. Iwaszkiewicz jak mnie zapewniano — należy do tych nielicznych warszawiaków, którzy mówią pięknie po rosyjsku. Ale oczywiście wydał francuski specjalny numer „Twórczości” nie rosyjski.

W prasie krajowej roi się od reportaży z Paryża, Londynu a nawet Nowego Jorku. Dobrych reportaży z Rosji nie ma. Wyjątek w tej materii stanowił interesujący cykl korespondencji ze Związku Sowieckiego Wiesława Górnickiego w „Świecie”. Z jednego periodyku angielskiego można się zwykle więcej dowiedzieć o współczesnym, ekonomicznym i kulturalnym życiu w Rosji niż z dwudziestu pism krajowych.

Chińczycy mają potężną „lobby” w Moskwie i potężną „lobby” w Waszyngtonie. My nie dysponujemy wpływami ani w Białym Domu ani w Kremlu. W fachowych kolach na Zachodzie mamy opinie najgorszych znawców Rosji. Katyń, Kołyma, Łagry — to jest wszystko co mamy do powiedzenia. I to jest wszystko co mamy do powiedzenia od bardzo dawna.

Powtarzam — zbliżenie, rozbudowanie stosunków i wpływów w kolach literackich, naukowych i intelektualnych — nie musi być synonimem kapitulancwa i ugodowości. Przeciwnie, doświadczenie uczy, że najłatwiej kapitulują niezłomni ignoranci. Problem rosyjski budzi w nas tylko dwie kontrastowe reakcje: nienawistnika lub agenta. Produkuje albo ludzi Rosji ślepo oddanych albo ślepo jej nienawidzących. Pierwsi przed Rosją kapitulują — drudzy od Rosji wymagają kapitulacji. Tak jedni jak i drudzy nie nadają się na kontrahenta.

LIBELLA 

3-CIA KSIĄŻKA

3-CI SUKCES



Nowe wydawnictwo "Libelli"

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOSY PASIERBOW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena : franków 850. — sh. 17/. — — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży :

Jeżeli ktoś mieszka we : Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w : Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak : Brazylia, Wenezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przesyłać do :

“LIBELLA”

**12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV^e
France**

Wolna Trybuna

Medytacje na trasie W - Z

(W ODPOWIEDZI J. MIEROSZEWSKIEMU)

Byłoby niedobrze, gdyby artykuł J. Mieroszewskiego, zamieszczony w kwietniowym numerze „Kultury” nie znalazł natchmiastowej repliki ze strony socjalistów. Nie dlatego, że zostali oni zaatakowani i obarczeni „całkowicie” winą za stan polskiej polityki emigracyjnej. To mniej ważne. Natomiast wydaje mi się konieczne podjęcie kilku myśli i tez zasadniczych, zawartych w artykule Mieroszewskiego pod tytułem : „Dialektyczne medytacje na trasie W — Z”. Pozwoli to może ustalić granice wspólnoty poglądów, lub chociażby rozgraniczenie stanowisk. Jedno i drugie ma swą wagę przy szukaniu wskazań polskiej i w szczególności socjalistycznej polityki.

Zacznijmy od obrachunku „win” polskiego socjalizmu. Mieroszewski widzi je w podpisywaniu się PPS pod niepodległościową doktryną emigracyjną, która straciła aktualność, może jest żywą i pełną treści tradycją dla starszego pokolenia, ale bez znaczenia dla młodych, wywodzi się zaś z tradycji powstań, której wcieleniem był Józef Piłsudski. W tezie tej, którą staram się oddać jak najdokładniej, jest tylko pół prawdy : PPS rozstała się z Piłsudskim bardzo dawno. Ostatni okres dwudziestolecia niepodległości przebiegał w otwartej walce z obozem Piłsudskiego; dokumenty ideologiczne, ogłoszone przez PPS na wychodźstwie, zwłaszcza zaś uchwały jej ostatniego zjazdu jesienią zeszłego roku, nie zawierają najmniejszych śladów koncepcji powstańczej; przeciwnie, są one wyrazem dążeń ewolucyjnych, wiążą się z nurtem życia polskiego, wywołującym przemiany i zdążającym do rozszerzenia ich, by uzyskać możliwość ewolucyjnego rozwoju. Jedynie słusznym momentem w tezie Mieroszewskiego jest podkreślenie uczestnictwa PPS w tak zwanym obozie niepodległościowym na emigracji. Uczestnictwo to nie

oznacza bynajmniej podpisywania się pod doktryną powstańczą, a tym bardziej pod koncepcją piłsudczykowską.

Jeśli udział PPS w obozie „niepodległościowym” uważa autor „dialektycznych medytacji” za decydującą winę polskiego socjalizmu, to trzeba przypomnieć, że w dialektycznym myśleniu wymaga się wprowadzenia do ocen zarówno momentu czasu, jak miejsca, innymi słowy obiektywnych warunków, pod których wpływem w danym wypadku kształtowała się świadomość Polaków na wychodźstwie, a przez to również i postawa polskich socjalistów. Może wówczas zblednie nieco „wina”, a całkowite przenoszenie jej na PPS utraci ostrość potępienia.

Wymieńmy w skrócie te warunki: ostatni rząd niezależny od Rosji pod przewodnictwem Arciszewskiego; duża rola PPS w Podziemiu; wzmocnienie znaczenia klasy robotniczej w życiu Polski; zimna wojna dochodziła do zapalnego szczytu w Korei; zanik niezależnej polityki kraju i rosnące oderwanie emigracji. W tych warunkach większości polskich socjalistów na wychodźstwie, podobnie i zwolennikom innych kierunków politycznych wydawało się najbardziej słuszne kontynuowanie wytworzonych w czasie wojny form polskiego życia politycznego. Może ktoś na to powiedzieć, że działo się to dawno, a dzisiaj warunki się zmieniły. Oczywiście, dużo się zmieniło, ale tak już się dzieje, że zmiana stosunków wyprzedza zmiany w świadomości zbiorowej.

Tak wygląda sprawa przewinień PPS. Przy okazji warto zaznaczyć, że samo ujęcie problemu emigracyjnej polityki niepotrzebnie cechują akcenty dramatyczne. Mam wiele wątpliwości, czy periodyczne zbieranie się w takim lub innym komplecie polskich polityków, wygłaszanie kilku przemówień, albo odprawienie jakiejś konwencjonalnej uroczystości ma wiele wspólnego z polityką. Jestem więc daleki od robienia wielkiej sprawy z tego powodu, że jakiś zespół mi nie dogadza, a jakaś uroczystość wydaje się śmieszna. Po prostu nie biorę udziału w takich imprezach. Jeśli komuś przynosi to satysfakcję, niech mu będzie na zdrowie, tak mało jest okazji przyjemnych wrażeń na emigracji... Ważne natomiast w istniejących warunkach zachować nieco tego wpływu, jaki PPS może wywierać na opinię międzynarodową i polską; sprowadza się to dzisiaj głównie do problematyki ideologicznej i koncepcyjnej.

Tu możemy przejść do drugiej, o wiele ważniejszej z mego punktu widzenia tezy Mieroszewskiego, dotyczącej oceny stanu rzeczy w obozie komunistycznym i perspektyw rozwoju części Europy, która znalazła się w sferze sowieckich wpływów. Nie zamierzam bynajmniej brać udziału w poszukiwaniu wizji „przyszłego zwycięstwa Zachodu nad sowieckim komunizmem”. Związek Radziecki ukształtował i ustabilizował ustrój społeczny o cechach niemniej trwałych niż ustrój państw zachodnich; wytworzył mocną klasę rządzącą i daje jej coraz więcej satysfakcji moralnej i materialnej. Przemiany mogą przyjść i zapewne przyjdą (jeśli Marksowska teoria rozwoju historycznego ma

rację), z wewnętrznego rozwoju stosunków klasowych. Już dzisiaj można dostrzec początek tego procesu. Cóż tu mówić o zwycięstwie Zachodu? Zupełnie inaczej jednak przedstawia się sprawa z krajami środkowo-wschodniej Europy. I tutaj nie chodzi bynajmniej o „zwycięstwo Zachodu”, ale o wewnętrzne procesy rozwojowe w tych krajach, procesy, na które zresztą Zachód patrzy z największą trwogą, modląc się w duszy do tego samego bożka *Status Quo*, któremu bije pokłony Chruszczow.

Widzę wiele czynników, które stanęły niepokonalną zaporą na drodze zwycięstwa komunizmu w naszym rejonie Europy: brak tutaj wszystkich prawie elementów, na których wyrósł ustrój sowiecki, jak wojna domowa, tworzenie partii rządzącej za pomocą „czystek” i łagrów, rozporządzanie olbrzymimi przesłaniami, pozwalającymi dowolnie przetasowywać ludzi i znaleźć wszystkie niezbędne surowce dla gospodarki; inna zupełnie struktura społeczna, klasowa; odrębne, silnie zakorzenione tradycje narodowe i polityczne, a wśród nich dość głęboko wpojone pojęcie demokracji politycznej. Podkreślam to ostatnie, bo Mieroszewski wygłosił bardzo nieopatrne słowa: „W Europie wschodniej z wyjątkiem Czechosłowacji demokracji nigdy nie było”.

Ten słownik znam skądinąd i używanie go wydaje mi się zawsze objawem jakiegoś głębokiego nieporozumienia. Dziesiątki lat swego świadomego życia spędziłem w walce o demokrację. W okresie przewrotu 1918 roku świadomie wybrałem drogę demokratycznego rozwoju Polski, odrzucając pociągającą, ale fałszywą teorię dyktatury proletariatu. I zdaje mi się, że coś niecoś tej demokracji zostało zrealizowane. Inaczej — skąd wziąłbym się w Sejmie, wybrany w powszechnym, tajnym, równym, bezpośrednim i proporcjonalnym głosowaniu? Skąd znalazłyby się w Polsce socjalistyczne samorządy, nawet w tak nieproletariackim mieście jak mój rodzimy Piotrków? Prawda, nigdy nie byłem nasycony polską demokracją i walczyłem o jej udoskonalenie, ale czy demokracja gdziekolwiek na świecie osiągnęła doskonałość? Ważne, że daje warunki dla prowadzenia walki o jej udoskonalenie. I pod tym względem nie musiałem się wstydić innych narodów demokratycznych, a nawet często rodziło się we mnie coś na kształt dumy, że u nas barbarzyństwo faszyzmu nie przybrało nigdy form tak strasznych, jak to zdarzyło się na Zachodzie.

Demokracja to nietyle określona struktura państwowa, co postawa obywateli, ich poczucie, że nie chcą być niczymi poddanymi; to potrzeba prawa i świadomość, że się ono każdemu należy, to uformowanie się pod takim znakiem partii i organizacji, sięgających w miąsz społeczeństwa. Mniejsza w jakim stopniu dążenia te znalazły w danym czasie swój wyraz w instytucjach państwowych. Ważniejsze czy walka o nie przybierała charakter masowy. Ona bowiem wychowuje obywateli i stwarza świat pojęć, ocen rzeczywistości i wizji przyszłych rozwiązań, stanowiąc o tradycjach narodowych i politycznych. W tym sen-

sie demokracja staowała tworzywo wszystkich narodów środkowo-wschodniej Europy, co właśnie wyróżnia jej narody od narodów Związku Radzieckiego, gdzie demokracja była dopiero w powijakach, a wojna domowa zadała jej cios, z którego tak prędko niełatwo się podnieść.

Z takich to przesłanek wynika me przekonanie, że komunizm sowiecki przegrał swą stawkę na importowaną rewolucję. Oznaki tej przegranej można było dostrzec nawet za życia Stalina. Polski Październik i węgierskie powstanie manifestowały już kapitulację komunizmu wobec oporów, jakie zgotował obcy grunt narzucanym wzorom. Odtąd problematyka przyszłości układała się w płaszczyźnie kształtowania się form ustrojowych państw „demokracji ludowej”, również dalekich od wzorów zachodnich jak i wschodnich. Nie ma bowiem ustroju radzieckiego bez pełnej kolchozacji i totalnej gospodarki przemysłowej, jak nie ma kapitalizmu ani nawet zachodnich metod jego uspołeczniania czy publicznej kontroli bez prywatnej własności wielkiego kapitału. Musi więc wyłonić się z dzisiejszego zamieszania jakiś inny typ ustroju, — ustrój trójsektorowej gospodarki i demokracji.

Nie jest tu bynajmniej konieczne „pozagrobowe zwycięstwo kapitalizmu”, jak sugerowali Mieroszewskiemu jego rozmówcy komunistyczni z kraju. Świat zachodni może iść swoją drogą, gdy nasze kraje weszły na swój odrębny tor rozwoju. Rzecz w tym, by w tych procesach znaleźć twórcze miejsce, uzyskać warunki dla najbardziej oszczędnego i celowego przekształcania stosunków i pokonywania niechybnych trudności. Na to, jak słusznie podkreśla Mieroszewski, potrzebny jest program, „zgodny z rachunkiem prawdopodobieństwa”.

Takiego programu, według niego, polska lewica nie posiada. Znów tylko pół prawdy. Bo przecież dwa zasadnicze elementy takiego programu, które Mieroszewski formuluje w swym artykule, a więc utworzenie pasa neutralnego i ukształtowanie socjalistycznej opozycji w kraju wysuwa od dość dawna obóz socjalistyczny. Nie chcę zaprzeczać samodzielności w dojściu Mieroszewskiego do takich wniosków, gdyby jednak zechciał on czytać uważniej prasę socjalistyczną, poświęconą zagadnieniom ideologicznym, znalazłby zarysy jednej i drugiej koncepcji na długo przed tym, nim weszła do świadomości politycznej Zachodu. Jeszcze w końcu 1956 roku niżej podpisany miał możność przedstawienia Radzie Międzynarodówki Socjalistycznej sytuacji w Polsce i wysunąć postulat wycofania wojsk sowieckich jako warunek otworzenia możliwości swobodnej ewolucji stosunków w pasie środkowo europejskim i uorganizowania ich na wzór neutralnej Austrii. Tak wyglądała pierwotna próba koncepcji, która znalazła pełniejszy wyraz w późniejszych wystąpieniach Gaitskell'a i którą od tego czasu rozwija każdy prawie numer redagowanego przeze mnie „Światła”, pisma poświęconego problemom ideologicznym ruchu socjalistycznego. Ostatnim dokumentem w tej sprawie jest Memoriał Unii Socjalistycznej środ-

kowo-wschodniej Europy (mała Międzynarodówka tych krajów, afiliowana do Międzynarodówki Socjalistycznej), który daje pełny wyraz koncepcji pasa neutralnego i znalazł się w publikacjach wszystkich prawie partii socjalistycznych świata.

Podobnie przedstawia się sprawa utworzenia opozycji socjalistycznej w Polsce i ewentualnie w innych krajach „demokracji ludowej”. Znów z inicjatywy polskich socjalistów i zaprzyjaźnionych partii socjalistycznych naszego rejonu zagadnienie zostało postawione nie tylko na użytek wewnętrzny, ale również na forum Międzynarodówki Socjalistycznej, która w odpowiedzi na wzniesione komunistycznym umizgów o „jednolity front” postanowiła, że przedwstępnym warunkiem jakichkolwiek kontaktów z ruchem komunistycznym musi być przywrócenie prawa legalnej działalności niezależnego ruchu robotniczego, w krajach znajdujących się pod władzą komunistów.

W konfrontacji z faktycznym stanem rzeczy twierdzenie Mieroszewskiego, że „nasi lewicowcy dzielą pogląd najskrajniejszych prawnicowców... odrzucają z góry wszelki ewolucjonizm, przebudowę, liberalizację”, wydaje się niebardzo usprawiedliwione. Może ważniejsze w stanowisku Mieroszewskiego jest jednak co innego. Zachwyca go Dżilas, jego śladem każe Mieroszewski iść polskim socjalistom. I ja mam dużo uznania, sympatii dla Milovana Dżilasa. Myślę jednak, że polski socjalizm nie wiele może się od niego nauczyć. Polski socjalizm rozporządza czymś bardziej ważkim, niż osoba utalentowanego pisarza i krytyka komunizmu. Dżilas jest jaskółką przebudzenia się świadomości socjalistycznej i demokratycznej w Jugosławii. To bardzo ważne, ale polski socjalizm już dawno przeszedł fazę indywidualnych koncepcji, stał się wyrazem tęsknot i pragnień szerokich mas robotniczych.

Może to brzmieć „drętwą mową”, ale po co szukać nowych słów dla określenia starego i znanego zjawiska. Wyraziło się ono chociażby w tym, że bunt Tito i Dżilasa, gdy szli jeszcze razem, odbył się w nich i przez nich, gdy polski Październik wyrósł na parciu z dołu. Ten fakt stawia też zagadnienie ukonstytuowania opozycji socjalistycznej w Polsce inaczej, niż w wielu innych krajach „demokracji ludowej”. Wbrew bowiem Mieroszewskiemu ośmielam się twierdzić, że ta opozycja w Polsce nigdy nie zaginęła, istnieje i to nie dopiero od października. Ktoś z przyjaciół krajowych Mieroszewskiego mówił o opozycji socjalistycznej w kraju jako o „małych niepowiązanych archipelagach”. Słowo archipelag wiąże się z pojęciem mnogości, ale nie czas rozważać w jakiej liczbie występują wysepki opozycji socjalistycznej i w jakich powiązaniach wewnętrznych. Wystarczy stwierdzenie, że opozycja ta nie zaginęła, a więc czeka chwili, gdy będzie się mogła jawnie ukonstytuować w takiej czy innej formie.

Dzisiaj nie jest to możliwe; wielu moich przyjaciół krajowych twierdzi nawet, że niepożądane; jestem przeświadczony, że w pewnej chwili stanie się konieczne. Można bowiem zamknąć

w więzieniu Dżilasa, czy zasądzonych ostatnio w Jugosławii starych socjalistów, ale nie ma sposobu na wygaszenie ogniska, rozpalonego w setkach tysięcy ludzi, którzy przeszli przez organizację PPS, lub znaleźli się w zasięgu promieniowania polskich socjalistów. Nie można budować socjalizmu w Polsce nie sięgając do tego rezerwuaru sił żywych i świadomych. A w jakich się to ułoży formach, w jakim momencie opór doktrynalny i policyjny komunistów będzie zmuszony do ustępowania, w jakim sensie i zakresie nastąpi współdziałanie socjalizmu z komunistycznym rewizjonizmem, dziś przewidywać nie sposób i nawet nie trzeba.

Jeśli odrębność stosunków społecznych, tradycji narodowych i politycznych stanęła na przeszkodzie przeszczepianiu ustroju radzieckiego w krajach środkowo-wschodniej Europy i będzie zmuszać, już zmusza do szukania innych form ustrojowych, to w tym samym kierunku wydają się działać również inne czynniki, mianowicie ewolucja całego bloku sowieckiego i samej Rosji. Tu widzę sprawy w podobnym świetle, jak autor „Dialektycznych medytacji”. W tej płaszczyźnie układają się nasze wspólne nadzieje. Dzieli nas jednak coś, co warto byłoby usunąć, aby umożliwić znalezienie się również na wspólnej drodze działania. Mieroszewski jest przekonany, że wystarczyłoby odwrócić od Pużaków i pomaszerować za Dżilasem i komunistycznym rewizjonizmem by znaleźć się na torze aktualnej myśli i polityki. W moim przekonaniu nasza przyszłość wyrosnąć może tylko na gruncie dorobku Pużaków, który ukształtował świadomość polskiej klasy robotniczej. Przeciwnie rewizjonizm w istocie swej jest pragnieniem znalezienia dróg do świadomości polskiego ludu, znalezienia dostępu do skarbu tradycji polskiego ruchu socjalistycznego. Wyrzekać się tego skarbu byłoby więc największą lekkomyślnością.

Zygmunt ZAREMBA



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.) na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon: FREmantle 7888/9

Kraj

Notatnik z podróży do Polski

— *Eh ben, mes amis, vous verrez une ville, une des plus belles villes d'Europe, dominée par un gratte-ciel à 40 étages...*

Przekrzykując huk motorów mój cicerone zwraca się do młodych chłopców wypełniających samolot.

Mój cicerone jest entuzjastą, Belgiem, organizatorem futbolowych meczów, zna kraje za żelazną kurtyną i wzdycha do sprawiedliwości społecznej w Belgii na wzór sowiecki. Szepce mi w ucho w ciągu trzech godzin lotu same superlatywy.

Lecimy nad chmurami i nie widzimy polskiej ziemi, ale mój cicerone maluje ją jako mlekiem i miodem płynącą. Zniżamy się i z asfaltu nadchmurnej żeglugi schodzimy na wybrukowane kocimi łbami strzępy i kłęby chmur. Trzęsie jak diabli. *Attachez vos ceintures.*

Wyglądam przez okno. Oto moment przez wielkie M. Pierwsze spojrzenie, pierwszy rzut oka na kraj rodzinny. Gdzież ta Warszawa? Zamglony co prawda horyzont, chmury nisko się wloczą, ale jednak widać pola, lasy, rzadki kapusty nawet, a Warszawy ani śladu...

— *Regardez, Monsieur* — wskazuje Belg na pola kartofli — *regardez un peu. Pas un pouce n'est laissé en friche. Me direz-vous que c'en était ainsi avant la guerre?*

— *De cette altitude, cher monsieur, il m'est vraiment difficile de juger l'agriculture polonaise...*

Ale oto samolot przechyla się w wirażu i widzę już rozbicie Okęcia, a pod nami mkną już, galopują pola, kartofliska i widzę babinę grzebiącą rydlem między grządkami i jeszcze jasne kółko wypasione w ciemnej trawie przez krowinę przywiązaną do palika... i już wstrząs kół dotykających betonu. Oto toczymy się teraz w stronę budynku z napisem Warszawa. Po obu stro-

nach rozbieżni zaparkowane Iljuszyny polskich linii lotniczych. Zatrzymujemy się. Otwierają drzwi. Wchodzi milicjant. Z uroczym uśmiechem zbiera paszporty. Za drutami kolczastymi od strony ulicy nierozpoznawalne jeszcze sylwetki machają chustkami. Na wszelki wypadek odmachują. Zbieram powoli manatki, teczkę, płaszcz, kapelusz. Mam dziwne uczucie — prawie że zawodu. Więc to takie proste? Takie niedramatyczne? Trzy godziny lotu z Zachodu i już? Na to czekać musiałem 18 lat? Cóż ja robiłem przez te wszystkie lata, któż mi zaręczy, że nie mogłem tego zrobić od zawsze. Kupić bilet i wysiąść na stacji Warszawa.

P.S. Już po powrocie notuję, że mój belgijski cicerone był jedynym komunistą z przekonania, z którym danym mi było rozmawiać, nie tyle na ziemi ile w polskim powietrzu.

Warszawa, 28 lipca.

Stare Miasto. Mój cicerone — architekt w czarnym edenie, bardzo wytworny. Włóczy się po zaułkach.

A jakże pięknie tu, kraty kute w żelazie i balkony i latarnie, Rynek — cudo — jeszcze pachnie tynkiem i świeżą farbą, która już blaknie — mówi cicerone — widać podła ta komunistyczna farba.

Nowe Miasto... nie pamiętam w ogóle takiego przed wojną — jeszcze ładniejsze. Rozpędzili się — powiada cicerone — architektki z tą odbudową i już nie wiadomo co wymyślą, bo już zabudowali i odbudowali takie różne cuda, których nigdy tu nie było, a może tylko za Konrada Mazowieckiego, ale to bardzo dawno i trudno stwierdzić.

Rozpędzili się istotnie architektki — myślę ślizgając się wzrokiem po tych ślicznych fasadach, po tych tynkach kolorowych; tu czerwień wenecka, tam lazurkowe kafelki jak z meczetu w Brussie albo i Konstantynopolu. Artyści, widać, hasają sobie po tych płaszczyznach zamalowując je freskami dyskutowanymi w całej Warszawie, a Mecenasa daje im brykać, bo coś przecież muszą zarobić i z czegoś żyć.

Bardzo to wszystko śliczne — mówię do architektki w edenie — ale wydaje mi się to nierealne. Dużo już miast widziałem, ale po tym naszym Starym Mieście to chodząc szczytać się muszę w tydki, by uwierzyć że jestem. Coś mi to nie na miasto wygląda tylko na dekorację teatralną. Takie to wszystko nowiutkie, dom w dom, żaden tynk nie odbity, powinniście Mecenasa poprosić, by mieszkańcom dla lepszego efektu w czamary ubrać się kazał, jeśli już nie w kontusze, bo to mogłoby być nie demokratycznie. Wtenczas efekt byłby całkowity.

Potem z architektką do knajpy. Knajpa nazywa się nieprzyjemnie Krokodyl — coś zanadto przypomina moskiewski *sens of humour*. Sklepienia gotyckie — o widzisz — mówi cicerone — cęgly robimy specjalne w wymiarze jak za gotyku.

Sciany boazerią wykładane, kandelabr, a jakże, także projektowany na chwałę Mecenasu w kutym żelazie.

Sledzik jest, wódka nie bardzo zimna, bo lodówki jeszcze z Moskwy nie nadeszły, ale miło się napić. Kociaków kilka uwija się na sali przytulonych do partnerów w takt „Kiedy znów zakwitną białe bzy”. Nie ma ich dużo — objaśnia cicerone — bo teraz lipiec. Najlepsze właśnie w lipcu mają wczasy, a to jest drugi zestaw, że tak powiem wice-dyrektorski, co dopiero w sierpniu pojedzie.

Ale niebrzydkie, wszystkie na szelmy zrobione z włosami à la Lolo czy inna Lulu. — A partnerzy? — pytam. — Prywatna inicjatywa. No to siadamy przy stoliku, schodzą się znajomi, bo ja funduję. Kawior czarny łyżkami i wódka, która nas już nie odstępować do kawy. I dalejże zasypywać rów szerokości 18 lat. Z początku to tak nieśmiało jakby szufelką. — No powiedz, jak wam się tam żyje w tej Afryce — ale przy truskawkach, to już buldozery puszczane w ruch i rowu prawie że nie widać. — A ja wam mówię, że przybywszy do Polski to czuję, że prawa nie mam wydawać sądów, wyroków... czy nawet się dziwić. Ja się tylko chcę dowiedzieć... — Brawo, brawo... więcej niech takich przyjeżdża — mówi znajomy ex-paxista — Panie starszy wódki jeszcze kolejkę... ja płacę.

Przyzwyczajony do long-drinków zaczyna mi się kurzyć z czupryny pod tą skoncentrowaną nawałą. Znajomy z długim nosem i zwichrzonym włosom prawi: I panie... mówię panu, leje się teraz ta woda do wewnątrz jak do pękniętego kubła, a wszystko co te durnie usiłują zrobić, to zatkać największe szpary.

— Panie, przepraszam, nie rozumiem, jaka woda?

— No Październik, proszę pana; widać, że tam stępieliście w tych antypodach.

Muzyka znów *Charmaine*. Trzeba tańczyć, bo to lepsze niż *bicarbonate of soda*.

— Czy wolno u was *cheek to cheek*?

— Za Stalina nie wolno było, ale teraz tak. Teraz nawet nie wypada nie.

Warszawa, 27 lipca.

U stóp moich rozpościera się Warszawa. Pałac Kultury ma 200 metrów wysokości. Wyjeżdża się na najwyższe piętro za jedno dwa złote nieco chybotliwą windą, by ze szczytowego portyku zwieńczonego barokowymi fidrygałami oglądnąć morze ruin. Wśród ruin sznureczek odbudowanej ośi saskiej i także czerwone, nieotynkowane jeszcze, skupiska nowych osiedli.

— No toście nas zdrowo nabujali z tą odbudową Warszawy — mówię do cicerone. — Wydajecie grube tomiska na temat dzielnic szerokości 400 metrów, długości na 200 metrów, a nam czytając to wydawało się, że chodziło o Warszawę. Czy wiesz

że w Rio buduje się codziennie 63 drapacze, że w Niemczech Zachodnich trzeba się dobrze namęczyć by znaleźć zbombardowany dom? Jak tak dalej pójdzie to doczekacie się tego że Murzyny w Gold Coast wybudują większą i nowocześniejszą stolicę niż wy. I w tym — tu szerokim gestem ogarniam widnokrąg — mieszka milion ludzi? To chyba także lipa...

— Milion ludzi to całkiem nieduża kubatura — mówi cicerone. — Można ich zmieścić na jednym hektarze ułożywszy ich jak sardynki w 30-metrowy stos. Przejdź się po znajomych, zobacz jak mieszkają, to się przekonasz, że tych milion ludzi to nie żadna lipa. Oficjalne dane dają gęstość zaludnienia ponad dwie osoby na izbę, ale myślę, że trzy byłoby bliższe prawdy.

— Patrz — wskazuję palcem memu cicerone — w tym białym budynku, temu 20 lat pracowałem nad planami regulacji Wisły w obrębie Warszawy. I płynie sobie Wisetka jak płynęła za Ziemowita. Nie dali jej rady Jagiellonowie, bo siedzieli w Krakowie, ani Sasi, bo siedzieli w Dreźnie, ani król Staś, bo już był za biedny, ani prywiślańscy gubernatorowie, bo im Newa bliższa sercu była, ani Starzyński, bo był za krótko i też był biedny. No i Warszawa schroniła się na wysoką szkarpę i już nikt stamtąd jej nie spędzi.

— Nie wyrzekaj na wszystko — oburza się cicerone — stoisz na najwyższym budynku po tej stronie Atlantyku. Stoisz na symbolu, który oznacza dla ludzi umiających patrzeć — odwrócenie historycznego kierunku. *Ex Oriente Lux*. Dziś takim samym zaszczytem dla młodego studenta jest dostać stypendium do Moskwy, jak dawniej było iść na Sorbonę czy do Rzymu. I nie bez racji, gdyż mają tam laboratoria i wyposażenia naukowe nie tylko lepsze niż u nas, ale nawet i na Zachodzie. Minęły bezpowrotnie czasy, gdy w obserwatorium zbudowanym z patyczków można było, jak Kopernik, przebudować świat i wstrząsać sumieniami. Na to, by zrobić najbanalniejszy pomiar, trzeba dziś siedzieć za teleskopem wartości kilku milionów dolarów. A na to nas nie stać.

— Mimo tego co mówisz, nie wydaje mi się, byście ten Pałac Kultury pojmowali w sensie w jakim go przedstawiasz. Dla was to nie symbol światła ze Wschodu, ale mongolskiego Satrapy.

— Tak — zgodził się cicerone — stąd nienawiść Warszawy do tego gmachu, którego brzydotę przesadzamy nawet w dziesiątkach nieprzyzwoitych dowcipów. Zauważ, że za carskich czasów istniał nieporównanie większy udział Polaków w życiu ekonomicznym i politycznym Rosji. Era komunistyczna nie wydała ani Czartoryskiego, ani Koziół-Poklewskich, ani Kierbedzia.

— Oczywiście, że nie wydała, ani wydać ich nie mogła. Nazwiska, które wymieniłeś mogły istnieć w erze względnego liberalizmu, a nie dyktatury. Komunizm wydał Dzierżyńskich i Rokossowskich reprezentujących jedyną możliwą współpracę

indywiduum polskiego pochodzenia w klimacie sowieckim — policjanta i kondotiera.

— Czyżby tak było naprawdę — zdziwił się cicerone. — A dlaczego to samo nie dotyczy Niemców, których wielu pracuje od lat w dziedzinie naukowej.

— Dla prostej przyczyny, że istnieli eksperci niemieccy od broni atomowych, a Polaków nie było. Zresztą, nie wiem, czy życzyłbyś sobie, by w ekipie pracującej nad bombami wodorowymi w Rosji były polskie nazwiska.

Cicerone przytrzymuje mnie za ramię ruchem podobnym do tego jaki uczynił szatan w scenie kuszenia. — Nim pójdziemy spojrz jeszcze na tę Warszawę, na to miasto bohaterskie, niegdyś Paryż Północy, skąd bojarowie zapożyczali strój i dworny obyczaj. Mówisz, że Murzyny nas przegonią?... zapewne słusznie; cóż, jesteśmy Dzikim Zachodem dla Imperium. O godzinę lotu stąd jest Trzeci Rzym, nie w sensie humanizmu ani sztuki, ale w sensie technologii. Czy to takie dziwne że na rubieżach tego Imperium stawiają sobie jego władcy piramidy. Ku własnej chwale.

Warszawa, 1 sierpnia.

Ze szpałt dzisiejszych gazet zesłała po raz pierwszy Armia Ludowa. Gdzieś jeszcze pętają się te literki A.L., ale już na szarym ogonie za Kedywem, batalionem „Zośki”, „Parasolem” i tylu innymi autentycznymi nazwami. Teraz jest 11-ta w nocy. Uczestnicy manifestacji przy grobie Nieznanego Żołnierza już się rozeszli. Miasto wymarłe, ulice puste. Długie sznury lamp ulicznych zawieszane nad mokrym asfaltem. Przejeżdżamy Krakowskim Przedmieściem, potem Trębacką na Muranów. Pod tablicami wmurowanymi w ściany domów, w miejscach zbiorowych kaźni — naręcza kwiatów i światła, znicze, świece...

Mówię: Co krok tablice — nie wiedziałem, że tyle tego było... I po chwili: A jednak trudno wierzyć, że sprawiedliwości historycznej zadość się stało. I że tego dożyłem.

— Tak — mówi cicerone, i woła do szofera, by zatrzymał wóz na chwilę: — Wsiądź i weź jeden platek ze sobą do tej Afryki. To szczęście ci przyniesie i może prędzej wrócisz.

Warszawa, 2 sierpnia.

Wracam nad ranem taksówką do Bristolu. W głowie z lekka szumi — długie rodaków rozmowy plus wódka. Mijamy Pałac Kultury i jedziemy szeroką ruinami obramowaną Marszałkowską. Na skrzyżowaniu z Królewską, inna taksówka pomalowana w domino. — Co to takiego? — pytam.

— To pan nie wie? Rządowa taksówka, taryfę mają psie ścierwo wyższą od nas, bo to cholery rządowe. — A tak? — dziwię się — nie wiedziałem. Ale wolno już wam mieć teraz dwie taksówki nie? Przecież prywatną inicjatywę, to już Rząd

popiera? — To pan widać nie tutejszy, że pan wierzy co ta hołota gada — i odwraca się do mnie mówiąc przez zaciśnięte zęby: — Panie, jednego tylko pragnę dożyć, bym tych sukinyśnów widział na latarniach wisieć.

W głowie szumi mi woda, równowaga wewnętrzna zamącona, pobudliwość wzmożona.

— Nie trzeba tak, panie — mówię z większą emocją w głosie, niż bym tego chciał. — Naszą racją stanu jest cierpliwość, przetrzymać, wiecie przecie, że nam nikt nie pomoże.

— Co tam panie, ja już o nic nie dbam. Niech nas jeszcze pięć milionów wyduszą, bylebym ja ich widział dyndać.

Ale już stajemy przed Bristolem i nieogolony portier otwiera drzwi.

— Nie gadaj pan byle czego — mówię wyładowując się — nie stać nas na to, żeby nas ktoś co dziesięć lat wyduszał. Dość już tego. — Ale jestem wzruszony, znicze płoną na ulicach, nonsens uczuć, które kosztują morze krwi.

Kraków, 13 sierpnia.

Kościół Panny Marii. Ostatnie usuwają rusztowania i robotnicy na drabinach pożarowych odkurzają Hooverami polichromię. Reflektory ponad stallami rzucają snopy światła na ołtarz.

Siadamy z cicerone w ławkach. Także tłum gapiów. Hukają pod sklepieniem zawieszeni na drabinach elektrycy. Hej Wacuś... numer trzeci skręć no trochę w prawo na Zwiastowanie. — Echo jak na tatrzańskie turni.

Błękitny, lazury i złocenia zalewają oczy. Wit Stwosz z Matejką tańczą taniec motyli barw. Chciałoby się za nimi nadażyć, ale tchu brak. Dopiero po dłuższej chwili racjonalistyczny umysł usiłuje to sklasyfikować. Co to jest?... gotycka świątynia czy Bizancjum? Kartkuję nerwowo w pamięci zapamiętane katedry gotyckie Zachodu. Tam, ogromny wysiłek kolumn pracowicie zawiązujących pajęczynę sklepień, szarość kamienia i migocące szczeliny witraży. A tu? Tu jest ołtarz złoty i błękitny i zapamiętane z niego barwy rosypane są po sklepieniach i ścianach.

Zwierzam się cicerone z mych wrażeń. Ale ona nic nie wie o gotyku, za to zna polichromię Wyspiańskiego u Dominikanów. — Porównaj obie — mówi — zobaczysz, jaki po pacykarz ten Wyspiański przy Matejce. — Na Rynku inni elektrycy zakładają grube kable w stronę Sukiennic. Gapie objaśniają: — To dla telewizji amerykańskiej i angielskiej. Na cały świat puszczają będą nasz ołtarz.

P.S.: Istotnie w miesiąc później w amerykańskim „Time” kolorowe plansze ołtarza i komentarz: *a German sculptor who was commissioned to do the biggest altar in Christianity*. O Matejce ani słowa.

Kraków, 14 sierpnia.

Jedzie się z Krakowa 10 minut do Nowej Huty. To miasto liczące dziś 100.000 mieszkańców miało w intencji komunistów zneutralizować reakcyjny Kraków. Gmachy olbrzymie, biurowce mieszkaniowce, kolumny, fryzy, portyki. Aleje szerokości boulevard de la Grande-Armée, planowanie, aklimatyzacja (sic) i ekonomiczny absurd.

Wysoki krzyż na miejscu gdzie ma stanąć kościół. Ten krzyż to zdobyc Października.

Zwiedzamy knajpę. Wypełnia ją robociarz i robotnica awansowani niedawno z chłopstwa. Świadczą o tym formy tego, co w języku studenckim nazywa się „podwoziem”. Ten element, który w teorii reżymu jest składnicą wszelkich cnót społecznych, oderwany od religii i zawiedziony w wierze komunistycznej w co wierzy?, o czym myśli?

Cicerone objaśnia: — Zdaje sobie sprawę ze swej wagi politycznej, jest świadomy godności pracy, pije wódkę bo to jedyny luksus, na jaki go stać, nie wie o żadnej alternatywie politycznej poza komunizmem, którego nie cierpi.

— Chodź, pokażę ci życie nocne Nowej Huty.

Pijemy wódkę w knajpie przy barze. Na sali kręcą się, a raczej miotają pary — *woogie-boogie* — muzyka amerykańska. Krawat to rekwizyt prawie nieznan, jest za to moda na kolorowy fular i fantazyjną koszulę. Wdzianka zastępują marynarki. Spojrzenia rybie, zamazane wódką. Robię niewinną minę, bo czuję, że zatrzymanie oczu na jakiejś dziewczynie przez ułamek sekundy dłużej niż konieczność wymaga, grozi oberwaniem po mordzie.

Wracając do Krakowa pytam cicerone, który jest rudy: — Dlaczego proletariatu, a nie na przykład RUDZI mają mieć dyktatorską władzę?

— Bo nie ma takiej teorii, ale gdyby istniała — a są po temu znaczne szanse, że biologia i genetyka ją wymyślą — tu tu przyglądził rzednące pukle — to się wtenczas odkujemy. Zrobimy dyktaturę rudych supermanów, a blondynów i brunetów na uniwersytety w ogóle nie dopuścimy. I uda się, pod warunkiem, że Bezpieka będzie złożona z rudych i że Rude Prawo, nasz organ oficjalny, wbijać będzie ludziom do głowy, że w reszcie świata rudzi też rządzą. Każdy nonsens i każdą teorię społeczno-ekonomiczną można wprowadzić w życie pod warunkiem że się umie stosować terror i nie dopuszcza się do wymiany myśli z światem zewnętrznym. A te durnie tego nie rozumieją...

Warszawa, 17 sierpnia.

Orbis źle wypełnił mój bilet. Gdy przyjechałem na lotnisko samolot Sabeny zniknął już w chmurach. Robię awanturę. Bałagan — arcy. Urzędniczki z awansu społecznego ze zmarszczo-

nymi z wysiłku mentalnego czołami ślinią ołówki. Próbuja życzliwie mi pomóc, ale nie wiedzą jak. Kapitan portu kryje się przede mną za filarkiem. On także chciałby pomóc, ale nie wie jak.

Ostatecznie decyduję się na lot via Kopenhaga. Odprowadzający tłumek znajomych uśmiecha się przez łzy. Przynajmniej tak mi się wydaje. Rozstanie i zakłęcia: Nie zapominaj, nie zapominaj.

Nie zapomnę. Jakże mógłbym zaprzeczyć się mego kraju od Boga i ludzi zapomnianego. Leży sobie ta nieszczęśliwa kraina na uboczu historii, po wsiach stada gęsi i kaczek trzepocą się w przydrożnych bajorach, na odgłos samochodu wszyscy po dawnemu strzyżą uszy. Gdzie indziej po niebie huczą coraz potworniejsze apokaliptyczne bestie, a tu pykający motocykl w obłoku pyłu jest wciąż najnowszą zdobyczą wieku. Inni czytają *science-fiction* i *thrillers*'y, inni piszą o dramacie ludzkim na tle świata, a my wciąż Konopnicka i Sienkiewicz, i wiersze — coraz więcej wierszy. Bo na peryferiach zgiełk świata dochodzi uszu już w formie sublimowanej, nie nadającej się do prozy. Gdzie indziej auto-bahny i motorstrady, a u nas rozbełtana drożyna Chełmońskiego z romantyczno-pokraczną wierzwą. Gdzie indziej szampań, a u nas woda. Gdzie indziej telewizja, a u nas głośniki rozbrzmiewające refrenem pieśni nadawanej z Monachium: Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić Panie...

Znów z okna samolotu patrzę na tłumek za drutami machający chustkami. Na wszelki wypadek odmachuję. Pilot zapuszcza motory. Toczmy się na start. Beton rozbieżni ucieka spod kół.

Gdybym był młodszy pewnie bym zostawił za płotkiem z kolczastych drutów złamane serce. To by wystarczyło, żeby mieć w tej chwili łzy w oczach. A że jestem już na to za stary, więc tylko myślę i rozpamiętywam. I bardzo mi smutno.

Wł. LEDÓCHOWSKI

W Londynie zatrzymaj się
w Polsko-Szkockim Hotelu

"STRATHCONA COURT"

(wł. C.C. Słeziakowie).

Restauracja — w pokojach ciepła i zimna woda, radio i telefon. —
198, Cromwell rd. London S.W.5; tel. FREmantle 7878-9
st. kolejki Earls Court — Autobusy 31, 74 —
300 m. od West London Air Terminal.



Sprawy i Troski

Polonia kanadyjska w gąszczu statystyki

Z ciekawością przeczytałem w numerze październikowym „Kultury” list dr. G. Kaczanowskiego i dłuższą wypowiedź dr. W. Turka w numerze grudniowym, ponieważ stanowiły one jedyne dowody niezdawkowego zainteresowania wśród Polonii kanadyjskiej moim artykułem z numeru czerwcowego (*Wynaradawianie są Polaków w Kanadzie w świetle liczb*).

Prawdopodobnie artykuł nie był dostatecznie przejrzysty i dlatego to obaj wymienieni czytelnicy dochodzą do biegunowo sprzecznych wniosków; dr Kaczanowski sądzi, że spis powszechny w Kanadzie zaliczył błędnie do ludności polskiego pochodzenia szereg osób z innych narodowości i tym samym oficjalna liczba ludności polskiego pochodzenia jest większa od rzeczywistej, podczas gdy dr Turek — nie wypowiadając się o wnioskach dr Kaczanowskiego — uważa, że oficjalna liczba jest za mała, gdyż znaczna ilość osób zarejestrowała się w czasie spisu błędnie, jako narodowości ukraińskiej.

Możliwe, że do braku przejrzystości mojego artykułu, w pewnej mierze, przyczyniły się znaczne skróty, jako że ze względu na trudności wydawnicze musiałem odrzucić prawie 9/10 danych liczbowych, jakie zawierał rękopis.

W tabelarycznym skrócie krytyczna ocena statystyki oficjalnej ludności polskiego pochodzenia w Kanadzie, u różnych autorów przedstawia się następująco:

A) Autorzy, którzy sądzą, że rzeczywiste dane o ludności polskiego pochodzenia są niższe od danych oficjalnych.

Autor :	Przedmiot krytyki	Argumenty	Forma krytyki
Prof. W.B. Hurd	Spis ludności w 1931 r. Ocenia, że liczba rzeczywista jest o 6,4% niższa od oficjal.	Należy odliczyć osoby używające jako język macierzy ukraiński i niemiecki, ale po uwzględnieniu ilości małżeństw miesz. polsk.-ukr. wzgl. polsk.-niem	Monografia (292 str.) wydana w Ottawie w 1937 przez Urz. Stat. pt. <i>Racial Origin and Nativity of the Canadian People</i>
Dr V. J. Kaye	Spis ludności w 1941. Ocenia, że liczba rzeczywista jest o 13,5% niższa od oficjal.	Jak wyżej, ale bez poprawki na małż. mieszane (1)	Artykuł (26 str.): <i>Slavic Groups in Canada, Slavistica</i> no 12, Winnipeg 1951.
Prof. W.B. Hurd	Spis ludności w 1941 r. Ogólne stwierdzenie, że dane polskie są wyższe od rzecz.	Jak i w ocenie spisu z 1931, ale bez liczbowego oznaczenia poprawki.	Rękopis monografii, dostępny jedynie w Urz. Stat. w Ottawie, jako że zachował się jedyny egz.
Dr G. Kaczanowski	Ogólna krytyka spisów ludn. w Kanadzie.	Badanie 62 osób zaszerogowanych jako narod. polsk. w dużym szpitalu psychiatrycz. wykazało w tej liczbie 19 Żydów, 14 Ukraińców i 2 Rosjan.	<i>Kultura</i> Nr 10) 120, 1957 r.

B. Autorzy, którzy sądzą, że rzeczywiste dane o ludności polskiego pochodzenia są niższe od danych oficjalnych :

(1) To jest stosunkowo znaczna poprawka, jako że ilość małżeństw mieszanych w 1931 — polsko-ukraińskich ocenia prof. Hurd na 16,774 a polsk.-niem. na 1,699. Prof. H. uwzględni jeszcze poprawkę na kraj pochodzenia, ale w danym wypadku jest on aliczbowo nieznaczna ok. 350 osób, i wymagałaby długiego opisu współczynnika korelacji cząstkowej (0.15), który prof. H. stosuje do kraju pochodzenia.

Dr A. Jaworski	Spis ludności w 1921. Ocenia, że liczba rzeczywista jest o 83,0% wyższa od oficjal.	Ekstrapolacja wstecz do 1921 r. danych spisowych z lat 1951, 1941 i 1931 (2)	Obliczenia przesłano w październiku 1957 r. do Dom. Bureau of Statistics (D.B.S.) w Ottawie (3).
Dr W. Turek	Spis ludności w 1951. Ocenia, że liczba rzeczywista jest 13,5% wyższa od oficjalnej. W poprzednich spisach różnice były znacznie zwłaszcza przed 1931 r. (4)	Na preriach, stanowiąc mniejszość ludność polska po wsiach ulegała ukrajinizacji. Dowodem duży odsetek rzym.-kat. wśród Ukraińców do których uczeni ukr. się nie przyznają.	<i>Kultura</i> , Nr 12/122, 1957 r.

Trzeba zaznaczyć dla porządku dwie rzeczy po pierwsze: procentowa ocena błędu nie figuruje u odnośnych autorów, a odnośne odsetki obliczyłem dla streszczenia dyskusji z podanych przez autorów cyfr bezwzględnych. Po drugie w moim artykule pominąłem milczeniem zagadnienie błędów w statystykach oficjalnych, ograniczając się do ogólnego sądu, „że nie znam innego państwa na świecie, którego statystyka w tym kierunku (tj. danych narodowościowych) byłaby dokładniejsza od kanadyjskiej”.

To twierdzenie podtrzymuję i dodam, że ilość danych o grupach narodowościowych jest o wiele mniejsza niż w statystykach kanadyjskich: np. stumomowe opracowanie spisu w Stanach Zjed. z roku 1950 ogranicza się do podania kraju urodzenia (5).

(2) Np. dane spisowe z 1951 r. podają ilości emigrantów polskiego pochodz., którzy przybyli przed 1921 i porównując te dane z oficjalnym spisem emig. pol. z 1921 r. stwierdzić można, że ubytek jest tylko 6% co oczywiście na przestrzeni 30 lat jest biologicznie niemożliwe.

(3) W odpowiedzi z dn. 1. XI. 57 D.B.S. przyznał: „As you have indicated, it would appear that there was under-enumeration of persons of Polish origin at the 1921 Census” i że „Further study would have to be made of the 1921 and 1931 Census...”.

(4) Wg dr Turka statystyczną zmianę narodowości poprzedziła zmiana polskiego języka macierzystego na ukraiński, czego dowodem jest, że w 1941 r. więcej ludności używało tego języka niż przyznawało się do narodowości ukraińskiej. Ale ten sam fakt nadmiaru osób używających języka ukraińskiego, Prof. Hurd i Dr Kaye uznają jak argument przemawiający za poprawką danych spisowych z 1931 i 1941 odnośnie ludności polskiego pochodzenia na korzyść ludności pochodzenia ukraińskiego.

(5) Proponuję, aby Redakcja *Kultury* zapytała swoich czytelników w różnych krajach, czy i jakie dane są w oficjalnych statystykach odnośnie ludności polskiego pochodzenia.

Szereg powodów skłoniło mnie do przemilczenia błędów oficjalnej statystyki odnośnie ludności polskiego pochodzenia. Sądzę, że pierwsze kroki poważnej krytyki powinny być podjęte albo na łamach fachowych wydawnictw naukowych, gdzie możliwa jest ocena ekspertów, albo należy „wziąć byka za rogi” przesyłając krytykę do wypowiedzenia się urzędowi statystycznemu w danym wypadku (Dominion Bureau of Statistics — D.B.S., jak się używa w skrócie). I wątpię czy błędy ustalone tym sposobem, mogą zakwestionować wnioski wyciągnięte w głównej mierze ze spisu 1951 i uzupełnione spisem z 1941 i 1931 (6).

Praktycznie, nawet streszczenie zarzutów nie było możliwe, bo zajęło to np. dr Turkowi 10 stron, a jak zaznaczyłem, musiałem drastycznie obcinać z rękopisu dane liczbowe.

Odnosnie statystyk oficjalnych ze szpitali dla umysłowo chorych, o których wspomina dr Kaczanowski w swoim liście, pozwalam sobie zaapelować do Niego o przeoranie tego odcinka, bo uważam za fizycznie możliwe zbadanie wszystkich indywidualnych wypadków, bo ilość osób odnotowywanych w rocznych sprawozdaniach jako polskiego pochodzenia jest poniżej 350 (za rok 1956 Mental Health Statistics podaje 344, a w 1955 — 346). I wtedy byłoby możliwe — jak na to wskazuje badanie dr. Kaczanowskiego w jednym ze szpitali — zmniejszyć dane polskie o połowę i ustalić na przyszłość bardziej miarodajne kryteria odnośnie zaliczania pacjentów do narodowości polskiej. Gra warta świeczki, bo odnotowywanie grup narodowościowych dla umysłowo chorych jest ogłaszane od 25 lat i, jak mnie objaśniano w D.B.S., będzie nadal kontynuowane. Dr Kaczanowski jako wybitny polski psychiatra na terenie Kanady, posiada wyjątkowe kwalifikacje dla takiej pracy.

Nawiasem mówiąc, badania prof. Hurd danych spisu 1941 op. cit. wykazały, że różnice odsetka chorych umysłowo między emigrantami a tubylcami maleją do 20%, gdy się uwzględni podział wg. wieku i płci, gdyż bardzo niski jest ten odsetek u dzieci, a nieco niższy u kobiet niż u mężczyzn. A emigrantów, w porównaniu z tubylcami, cechuje niski odsetek dzieci a natomiast wysoki odsetek mężczyzn.

Należy jednak zaznaczyć, że gdy nawet udowodniło się, iż są kardynalne błędy (7) w statystykach umysłowo chorych odnośnie zaszeregowania do polskiej narodowości, to nie można wyciągać pochopnego wniosku, iż także błędy istnieją i w spisach ludności. Bo to, że klasyfikacja grup narodowościowych w odnośnych szpitalach nie odpowiada takiej klasyfikacji w czasie spisu powszechnego, było znane od dawna. Prof. Hurd omawiając spis 1931 zaznaczył wyraźnie „... the racial origin records collected by the

(6) Dla ogólnych danych o ludności polskiego pochodz. w latach 1951 błędy prawdopodobnie będą poniżej 5%, a dla lat 1941-1931, nieco powyżej tej cyfry.

(7) Dr K. wspomina, że u emigrantów odsetek chorych umysłowo jest o 50% większy niż u tubylców. Dlatego jest niepokojące, że 14 lat pod rząd (1939-52), gdy roczniki Mental Health Stat. podawały podział chorych wg. narodowości i krajów urodzenia, odsetki dla narodowości pol. tj. tubylcy + emigranci, jest zawsze większy niż odsetki dla urodzonych w Polsce, tj. sami emigranci. A domieszka nie-polskich narodowości w pierwszym wypadku jest tylko wynikiem błędnego zaszeregowania podczas gdy u urodzonych w Polsce występuje ona z natury rzeczy, jako, że na terenie Kanady co najwyżej 57% z urodzonych w Polsce podaje polską narodowość.

mental institution do not correspond with the census classification for the population as a whole” (op. cit. str. 212). A patrząc na podział ludności polskiego pochodz. wg. wyznań stwierdzimy, iż spis z 1951 wśród tej ludności podaje tylko 3.5% dla wyznania mojżeszowego i 5.2% dla kościoła grecko-katolickiego: Ukrainian (Grek) Catholic, gdzie w znacznej mierze jest to wynikiem małżeństw mieszanych. Tym samym płonne są obawy dr Kaczanowskiego, iż w statystykach ludności polskiego pochodzenia mogą istnieć poważne błędy z tytułu zaszeregowania narodowości żydowskiej i ukraińskiej. Warto dodać, że w Kanadzie obie te narodowości są w stosunku do nas gospodarczo i politycznie o wiele silniejsze, więc wypadki przyszywania się do narodowości polskiej są bardzo wątpliwe. Na odwrót, jednostki oportunistyczne — a takich nigdzie nie brak (8) — wyparły się polskiego pochodzenia i dołączyły się do silniejszych ugrupowań tubylczych, co jednak mogło mieć miejsce u już urodzonych na terenie Kanady i gdzie rodzice zmienili nazwisko i wyznanie. Jak podałem w artykule, wśród ludności polskiej pomiędzy 1931 a 1951 odsetek przynależnych do Church of Canada wzrósł z 1.4% na 5.9%.

Nie mogąc zamieścić tablicy, gdzie obliczyłem odsetek podawania języka polskiego jako macierzysty dla poszczególnych grup wieku (w odstępach co pięć lat), zaznaczyłem w artykule, że u dzieci do lat 10 odsetek ten wynosi tylko 31% podczas gdy u osób powyżej 45 roku życia przekracza 77%. (Dane ze spisu 1951 r.). Myślałem, że odsetki te mówią same za siebie tzn., że stosunkowo duża znajomość języka u starszej generacji zanika szybko u młodszej.

Na tle podanego odsetka 77%, jest dla mnie niezrozumiałe twierdzenie dr. Kaczanowskiego „że wielu spośród nich nigdy nie mówiło po polsku i dlatego zapomnieć nie mogło”. W oficjalnym opracowaniu spisu 1951, w tomie X, który ukazał się po przesłaniu rękopisu mojego artykułu do *Kultury*, na str. 206 jest tablica odsetka znajomości języka macierzystego dla poszczególnych narodowości wg. grup wieku dla lat spisowych 1941 i 1951. Dla ludności polskiej u niemowląt, tj. wiek 0-15 mies. rodzice podali język polski w 32.8% w r. 1951 w porównaniu z 65.0% dla roku 1941. I tak silny spadek odsetka nastąpił mimo poważnego dopływu emigracji polskiej w latach 1941-1951. (U Ukraińców odnośne odsetki wynoszą 66,5% i 99,6%). A w tekście D.B.S. zaznacza, że dla narodowości, gdzie te odsetki są bardzo niskie dla młodej generacji, należy się spodziewać w przyszłości wzrostu języka oficjalnego, tj. angielskiego wzg. francuskiego, jako języka macierzystego dla danej narodowości, chyba żeby nastąpił stały i znaczny dopływ emigrantów takiejże narodowości. Ponieważ dr Turk musiał chyba zauważyć powyższe dane, gdyż powołuje się na tom X jest dla mnie zgoła niezrozumiałe, że w obliczu takich faktów może dojść do końcowego podsumowania swoich wywodów, że „ani cyfry statystyczne ani znajomość terenu nie uzasadniają wniosku o nadmierności lub zbyt

(8) Np. w Stanach Zjed. wyczerpujące badania dla ustalenia kwot emigracyjnych, wykazały, że wśród ludności anglosaskiej jest nieco powyżej 10% przyszywanych. Senate Doc. No 65, str. 4, 1928 r. W rozmowach w D.B.S. pozwoliłem sobie wyrazić zdziwienie, że prof. Hurd w swojej monografii o spisie 1931, nawet nie dyskutuje możliwości błędów tego rodzaju.

szybkim postępie zatracania przez Polaków ich cech narodowych. Integracja ich w łonie tworzącego się narodu kanadyjskiego jest raczej powolna”.

Poważne podejsie do dowodu tezy dr. Kaye, że były liczne wypadki podawania przez ludność ukraińską polskiego pochodzenia, i do tezy dr. Turka, że raczej przeważały wypadki ukrainizacji osób polskiego pochodzenia oraz wycena wpływu małżeństw mieszanych (9), gdzie możność znacznej poprawki z tego tytułu, obaj wymienieni przeoczaają — mogłoby być jedynie w formie łącznego badania ukraińsko-polskiego, gdzie by metody były na wstępie uzgodnione z D.B.S.

Studium prawdopodobnie wykazałoby zarówno słuszność tezy dr. Kaye'a jak i dr. Turka, ale różnica liczbowa między tezami, tj. poprawka sumy ludności polskiego pochodzenia może być znikomo mała, bo — jak podałem powyżej w zestawieniu tabelarycznym — bezwzględna wartość odsetka błędu w spisie 1941 wg oceny dr. Kaye'a jest taka sama jak u dr. Turka oddzielnie danych z 1951.

Co ważniejsze, studium takie mogłoby podjąć badanie czy tak u ludności ukraińskiej, jak i u polskiej nie nastąpiły nie notowane przez statystykę straty na korzyść narodowości anglosaskiej, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych.

Przechodzę do zarzutów dr. Turka odnośnie moich wniosków ze statystyki kryminalnej. Zaznaczyłem w artykule, że niekorzystny dla nas komentarz, iż odsetek wyroków zasądzających jest dla ludności polskiego pochodzenia wyższy niż to by wynikało ze składu ludnościowego, pochodzi nie ode mnie, ale od D.B.S. Następnie podawałem w tabeli dane z okresu 1949-1954, więc nie rozumiem powoływanie się dr. Turka na wpływ czynników, które istniały do 1945 i na prof. Hurd'a, który odrzucił dane z okresu 1931 jako niedokładne i to odnośnie statystyki więziennictwa, a nie wyroków sądowych. A prof. Hurd w swoim manuskrypcie spisu 1941 roku zaznacza, iż mimo, że wskaźnik więźniów ukraińskiego pochodzenia: 25 na 100,000 ludności powyżej 16 lat, jest znacznie wyższy od średniej całego kraju 18/100,000 i dochodzi do wniosku, że jak się uwzględni dodatkowe czynniki (podzia wg. płci, grupy wieku, nadmiar nieżonaty etc), to „their rate would not differ greatly from the Canadian average”. Ale niestety w następnym zdaniu czytamy: „The same cannot be said with assurance either of the Indian, Italian or Polish origin with rates of 41,34 and 40 respectively as against the all Canadian figure of 18”. Bo istotnie trudno wytłumaczyć — nawet po uwzględnieniu wspomnianych czynników — różnice wskaźnika polskiego 40 w porównaniu ze średnią 18.

Prof. Hurd dodaje, iż dla szeregu narodowości liczby bezwzględne były za małe, by wolno z nich wyciągać wnioski. Sądzę, że ta uwaga

(9) Analiza 9,044 małżeństw w Stanach Zjed. w grupie narodowości anglosaskiej, irlandzkiej, niemieckiej, skandynawskiej, żydowskiej, włoskiej i polskiej w latach 1870, 1900 i 1940 wykazała „...Cultural (i. e. ethnic) lines may fade, but religious barriers are holding fast. When marriage crosses religious barriers, as it often does, religious still plays a prominent role, especially among Catholics, in that such marriages are often conditioned upon, and result in, one of the partners being brought into religious community of the other”. W. Herberg: Protestant-Catholic — Jew, An Essay in American Religious Sociology, N. York 1956, str. 320. A wymogi Kościoła Kat. odnośnie potomstwa z małżeństw mieszanych są powszechnie znane.

stosuje się do badań dr. Turka odnośnie więźniów polskiego pochodzenia w Manitobie, gdzie po podziale na poszczególne kategorie, w polskiej grupie musiało być po kilka osób, co przy możności błędów zaszerogowania narodowościowego — nie pozwala na wyciąganie jakichkolwiek wniosków. A dane z *Annual Report of the Commissioner of Penitentiaries* — brak, których wytyka mi dr. Turek — nie wyglądają bynajmniej uspokajająco, bo w roku spisowym 1951 (tj. raport za rok fiskalny 1951/2) łatwo obliczyć, że odsetek emigrantów polskiej narodowości (mężczyzn) przyjętych do więzień wynosił 9.8% w całym kraju, podczas gdy w tym czasie odnośny odsetek polski u emigrantów (mężczyzn) był tylko 5.2%. Nie podając danych liczbowych, a pisząc dość obszernie o wprowadzeniu do spisu 1951 w podziale narodowościowym kategorii: Canadian, American i Unknown (nieznany), dr. Turek wprowadza czytelnika w błąd, bo łączna ilość w tych ogólnikowych oznaczeniach wynosiła tylko 170,000 osób, tj. 1.2% ogółu ludności, co zresztą zaznaczyłem w artykule. Co gorsza, dr. Turek uważa, że taka zmiana w klasyfikacji nie pozwala na porównywanie danych z 1951 z poprzednimi latami.

D.B.S. jest zaś innego zdania, bo jak już wspomniałem w tomie X, na który dr. Turek się powołuje w innym miejscu — D.B.S. przeprowadza porównanie odsetka znajomości języka macierzystego u poszczególnych narodowości w latach 1941 i 1951.

A proste przeliczenie wykazuje, że wspomniana liczba 170,000 „niezdeklarowanych” nie zawiera nadmiernej ilości osób, które mogły być polskiego pochodzenia. Liczba ta odnosić się może jedynie do osób urodzonych w Kanadzie, których zawiadła pamięć o pochodzeniu przodków. Odsetek ludności polskiego pochodzenia wśród urodzonych w Kanadzie w czasie spisu 1951 wynosił 1.02. W poprzednich spisach odsetek ten powinien być większy gdyby liczba 170,000 kryła nadmierną ilość osób polskiego pochodzenia. Tymczasem odsetek ten nie tylko nie rośnie ale maleje jako że w 1941 wynosił 0.87 i 0.85 w 1931.

Ze określenie „ethnic” brzmi przyjemniej niż „racial” zgadzam się z dr. Turkiem w zupełności. Używałem tego ostatniego dlatego, iż było one powszechnie używane w raportach spisowych D.B.S. do roku 1951. A i dziś, gdy się weźmie rocznik D.B.S. 1955, albo 1956 (*Canada Year Book*) to w ustępie „Origins” (str. 164 w roczniku 1956) znajdujemy nadal wyrażenie „racial stocks”.

Reasumując, poważną krytykę oficjalnych statystyk uważam za bezwzględnie konieczną, bo jest to jedyny sposób zapobiegania błędom. Dlatego taka krytyka powinna być praktycznie udostępniona bezpośrednio lub na łamach fachowej prasy odnośnym urzędem statystycznym. A również należy dać możność obrony tym instytucjom. Dlatego mam nadzieję, że zarówno dr. Kaczanowski jak i dr. Turek podejmą odpowiednie kroki w tym kierunku.

Z mojej strony, serdecznie i mdziękuje za poświęcenie mi tyle cennego czasu. Niestety z oceną nie mogę się zgodzić, dopóki nie przeprowadzą, w przyjętej formie, krytyki oficjalnych statystyk z lat 1931-1951, na których głównie są oparte moje dociekania. A prawdopodobnie, błędy z tego okresu będą tak nieznaczne, że nie podważą mojego podstawowego wniosku, iż przebieg wynaradawiania się Polaków w latach 1931-1951 jest za szybki, nawet z punktu widzenia interesów Kanady.

Przy sposobności chciałbym sprostować kilka ważniejszych chochlików w moim artykule. Otóż na str. 76 (nr 6/116, 1957) w szóstym wierszu od góry wkradła się feralna trzynastka (13%), a powinno być 41%. Na stronie 83 w tablicy należy dopisać rok 1955 i wstawić pod nim: 2,64; 2,28 i 1,80.

W dopisku (4) na str. 69 sytuacja się zmieniła, jako, że wybory czerwcem 1957 dały wreszcie posła polskiego pochodzenia: dr S. Hajdasza z Toronto. Wszedł on do parlamentu federalnego, gdzie Polonia nie miała przedstawiciela od chwili ustąpienia posła Globenskiego w 1876. Pogratulowania godny sukces odnieśli Ukraińcy, bo po raz pierwszy mają ministra: Mr. M. Starr (minister pracy), który przez pewien czas był nauczycielem języka ukraińskiego w Montrealu i co ciekawe, mówi chętnie i biegle po polsku. Prawdopodobnie jest on w historii rządów federalnych w Kanadzie pierwszym członkiem słowiańskiego pochodzenia.

Adam JAWORSKI

NAJBARDZIEJ NOWOCZESNE MASZYNY DZIEWIARSKIE

DZIĘKI SWOIM ZALETOM SZCZEGÓLNI

POPULARNE W KRAJU

TRICOLETTE (RIBOMATIC). Całkowicie zautomatyzowana. Ściągacz wykonywany automatycznie. 360 igieł w dwóch STALOWYCH łożyskach. Jedyny prawdziwie przemysłowy aparat nadający się do wszelkich odmian ściągacza, do wykonywania wielkiej różnorodności wzorów, jak również do fasowania i okrężnego trykotowania bez szwu.

Obszerna polska instrukcja. Cena £ 46 (albo \$ 138.00)

AUTO-KNITTER 181 igieł w jednym rzędzie. Długość 90 cm. Łożysko całkowicie stalowe. Dwustronna kontrola napięcia włóczki umożliwia wielką dokładność i rekordową szybkość, dochodzącą do 10.000 oczek na minutę. Maszyna najczęściej spotykana w Polsce. Niewspółmiernie niska cena w stosunku do wartości.

Obszerna polska instrukcja.

CENA z licznikiem £ 24.00. (\$ 72.00).

poleca **NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY**

TAZAB & Co LTD.

LONDYN
22 ROLAND GRDNS,
LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 3175/6

NOWY JORK
36, 3rd Avenue,
New York 3, N.Y., USA.
Tel. ALgenquin 4-4160/1.

Najnowsza historia Polski

Na marginesie polemiki

Przez kilka ostatnich miesięcy byliśmy świadkami ataków prasowych na generała Sosnkowskiego. Zaczęło się od polemiki, wszczętej przez p. Bregmana na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” ex re przedmowy do książki generała Sosabowskiego o dziejach brygady spadochronowej: p. Bregman podał w wątpliwość relacje Naczelnego Wodza o jego rozmowie z dowódcą frontu śródziemnomorskiego, marszałkiem brytyjskim (podówczas generałem) Wilsonem, który w dniu 3 sierpnia 1944 roku zaproponował przetrzucenie naszego 2-go Korpusu do „północnej Polski”, czyli na ziemię zajęte już wtedy przez armie sowieckie. Początkowo p. Bregman kwestionował w ogóle sam fakt odbycia takiej rozmowy, gdy jednak w świetle dokumentów okazało się, że pofna rozmowa między generałami miała w tym dniu miejsce i że to nie generała Sosnkowskiego, ale marszałka Wilsona (do którego p. Bregman zwracał się) pamięć zawodzi, zaczęto zarzucać nieścisłość relacji: że przecież marszałek Wilson nie miał dostatecznej ilości samolotów, lub że nie mógł wykraczać poza swoje kompetencje itp. Jak gdyby w świetle mowy premiera Churchilla, wygłoszonej dnia poprzedniego, 2 sierpnia, w parlamencie, a zawierającej apel do połączenia naszych wojsk z armią Berlinga — nie było rzeczą zrozumiałą, że propozycja generała Wilsona miała charakter sondażu przeprowadzonego na polecenie władz wyższych. Synchronizacja więc tej propozycji z mową brytyjskiego premiera rzuca się w oczy każdemu czytelnikowi dobrej woli.

Gdy więc faktu rozmowy nie można już było kwestionować — zaczęto dociekać, czemu to Naczelnny Wódz nie informował o niej swoich podkomendnych, czemu to podał ją do wiadomości Prezydentowi, a nie premierowi itd.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Okazało się następnie, że zakwestionowanie rozmowy z marszałkiem Wilsonem było tylko wstępem do dalszych ataków. Zjawyły się więc zarzuty i oskarżenia bardziej zasadnicze, bo sięgające w najistotniejsze zagadnienia obrony polskich interesów narodowych.

Poszedł więc atak na gen. Sosnkowskiego za to, że w roku 1941 był przeciwny podpisaniu paktu polsko-sowieckiego w formie, w jakiej został (przy naciskach brytyjskich) zawarty. Wytoczono, jak zwykle, argument, że przecież obojętne jaki się pakt z Sowietami podpisze, bo one go i tak nie dotrzymają. Generał Sosnkowski przeciwstawiał się podpisaniu paktu w roku 1941 nie tylko dlatego, że pakt otwierał sprawę naszych granic wschodnich (taka była niezmiennie interpretacja sowiecka i tak komentowała pakt cała prasa — prócz polskiej), ale także dlatego, że zwalniał on Anglię ze zobowiązań, jakie wobec nas zaciągnęła w układzie sojuszniczym z roku 1939. Mimo bowiem, że protokół do układu z 25 sierpnia 1939 roku między Wielką Brytanią a Polską zawiera klauzulę o szanowaniu w stosunkach z państwami trzecimi polskiej suwerenności i nietykalności polskiego terytorium bez dyskryminowania granic czy wschodnich czy zachodnich — minister Eden, już w kilka godzin po podpisaniu umowy polsko-sowieckiej z dnia 30 lipca 1941 roku, oświadczył w Parlamencie dwukrotnie, że rząd brytyjski naszych granic nie gwarantuje. To oświadczenie było złożone na żądanie ambasadora Majskiego. Entuzjastyczne przyjęcie układu przez prasę angielską było powszechne, a najdobitniej i lapidarnie stwierdził ten entuzjazm tygodnik „Truth” z dnia 3 sierpnia 1941, stwierdzając, że układ polsko-rosyjski pozwala Anglii „umyc ręce” od spraw Europy Wschodniej: polski rząd zwolnił Anglię od niewygodnych zobowiązań „zaciągniętych w swoim czasie wobec Becka i Rydza Smigłego”.

Generał Sosnkowski przeciwstawił się w lipcu 1941 roku tym siłom, które nas zmuszały do ofiar na rzecz tak zwanego „utrzymania wielkiego aliansu”, a które w następstwie zostały nas sam na sam z Rosją. Nadmierna polska uległość i brak odporności na naciski aliantów ułatwiły wtedy, jak i później, grę naszym partnerom.

Sytuacja Polski jako sprzymierzeńców, była w roku 1941 jeszcze mocna, a nasz wkład w wojnę — zarówno moralny, jak materialny — ceniony. Sytuacja natomiast Rosji w owym okresie była krytyczna i wymagała olbrzymiej pomocy ze strony państw zachodnich. Pamiętano także niedawny sojusz Sowietów z Hitlerem i atak na Finlandię, wprowadzenie więc Sowietów do „rodziny narodów europejskich” nie odbywało się bez oporów. Jeżeli kiedy, to właśnie w tym okresie mieliśmy możliwość lepszego rozegrania tej arcytrudnej partii. Gdyby nie nasza zbytnia ustępliwość — znalazłyby się możliwości utworzenia sowieckich łagrów bez płacenia za to tak olbrzymiej ceny.

Tak więc, gdy wznowiono dawną linię podziału: za paktem 1941 roku czy przeciw — przypomniano w konsekwencji, że

Anglicy niechętnym okiem widzieli nominację Naczelnego Wodza w roku 1943. Czemuż to? Czy przez dbałość o polskie wojsko lub o polskie interesy państwowe? Bynajmniej — minister Dalton pisze w swoich wspomnieniach, że premier Churchill mówił w roku 1943 p. Retingerowi: macie generała Sos., nie bierzcie go, bo on „zdenerwowałby Rosjan” (przy tej okazji p. Bregman pasował p. Retingera na „szarą eminencję” Rządu polskiego — wedle tej klasyfikacji rolę kardynała Richelieu przeznaczył najwidoczniej p. Mikołajczykowi).

Powyższa rewelacja ma znaczenie nielada i w skrócie wyjaśnia bez reszty stosunek brytyjskiego rządu do polskiego sojusznika w lipcu 1943 roku, a zarazem jest miarą pogorszenia naszego położenia międzynarodowego na przestrzeni dwóch lat od zawarcia układu z Sowietami.

A Stalin, owo „słoneczko narodów radzieckich” (jak czytalem w reportażu polskiego dziennikarza z Rosji w roku 1941 w Londynie) — był pamiętliwy. O generale Sosnkowskim nie zapomniał ani w rozmowach, ani w depezach do Londynu, żądających pozbycia się tego niewygodnego Polaka (Rozmowa na Kremlu 3 grudnia 1941 roku; depeza Stalina i projekt odpowiedzi Churchilla z 12 lutego 1944; późniejsze naciski i żądania w czasie powstania warszawskiego).

Zaś premier Wielkiej Brytanii ma już wtedy w roku 1943 punkt widzenia ustalony: dobry jest tylko taki Polak, który nie zdenerwuje Stalina. Takich Polaków znaleziono pod koniec wojny, niestety, sporo.

Gdy w okresie nominacji generała Sosnkowskiego na Naczelnego Wodza rozpoczęto w prasie angielskiej kampanię zwalczającą go — wydawało się (i słusznie) że źródła tych ataków szukać należy w agenturach sowieckich. Z wynurzeń ministra Daltona dowiadujemy się reszty.

Mam przed sobą pokłosie prasy angielskiej poczynawszy od lipca 1943 roku: z małymi wyjątkami prasa ta coraz wyraźniej popiera żądania terytorialne Sowietów. Równoległe do tej akcji, skierowanej przeciw polskiemu stanowi posiadania atakowany jest generał Sosnkowski. Perfidna, ale jakże zręczna propaganda sowiecka, atakuje za pomocą sloganów, które skuteczniej niż argumentacja rzeczowa, przyczyniają się do zamętu w głowach. Jest to przecież wypróbowana metoda wszystkich ustrojów totalnych. Slogan: „faszysta” w owym okresie, to nie była niewinna polajanka, to metoda, której stosowanie zaczęto od generała Sosnkowskiego, a którą z biegiem czasu rozszerzono na liczne osobistości alianckie, wedle oceny Moskwy stojące na drodze jawnym lub tajnym zamierzeniom i planom sowieckim. Slogan „faszysta” to etykieta, za pomocą której chciano człowieka postawić poza nawiasem społeczności alianckiej. Warto przypomnieć kilka przykładów: już 6 lipca 1943 roku „News Chronicle” sugeruje mianowanie „tymczasowego” polskiego Naczelnego Wodza. 7 lipca „Daily Telegraph” troszczy się, że polska konstytucja daje Naczelnemu Wodzowi „szczególne prawa”. 10 lip-

ca „Evening News”, „Sunday Express”, „Sunday Dispatch”, „People” z 11 lipca podkreślają, że gen. Sosnkowski ustąpił z rządu w okresie paktu z Sowietami oraz insynuują, jakoby był prawicowcem „reakcjonistą”, „wrogiem Rosji”. Pisma te doradzają życzliwie Polakom, aby zmienili ustawę konstytucyjną w sensie uszczuplenia uprawnień Naczelnego Wodza.

Kampania prasowa przybiera na sile po nominacji Naczelnego Wodza, wybucha gwałtowniej w miarę sukcesów wojskowych Sowietów, wzmagają się następne w okresie walki o instrukcje dla kraju. Zjawiać się zaczynają głosy w prasie brytyjskiej, że naród polski nie jest jednolity w stosunku do Rosji, że prócz zachowującej się biernie Armii Krajowej istnieje silny ruch „patriotów” pro-sowieckich. Boć Armia Krajowa jest kierowana przez „faszystę” z Londynu, działającego na podstawie „dyktatorskiej” konstytucji. Zjawiają się porównania nie tylko z Michajłowiczem, ale także z Antonescu, Darlanem, Mannerheimem i Badoglio („Tribune” 10 września, „Economist” 2 października). Coraz częściej mówi się o konflikcie między dobrym rządem polskim, a złym Naczelnym Wodzem („Times” 26 października) lub o konieczności ustąpienia gen. Sosnkowskiego („Reynolds News” z 7 listopada, „News Chronicle” z 16 listopada). Atakuje się „kastę oficerską polską” („Tribune” 12 listopada). Nie wspominam oczywiście o nieustannym akompaniowaniu inwektyw w prasie bezpośrednio kierowanej przez Moskwę.

Kto zna trochę mechanizm informacji prasowych w Anglii w czasie wojny, ten wie, że tego rodzaju akcja, dotycząca spraw sojusznika, nie mogła mieć miejsca bez „placet” brytyjskiego rządu.

W toczącej się obecnie polemice wytoczono najcięższe działa. Między innymi p. Bregman przejął w spuściznie duchowej całą argumentację p. Stronńskiego, który stawiał Naczelnemu Wodzowi zarzuty w związku z Powstaniem Warszawskim.

Stosunek gen. Sosnkowskiego do Powstania jest jasny i nie powinien nasuwać żadnych wątpliwości; od chwili objęcia naczelnego dowództwa informuje on stale komendanta Armii Krajowej o sytuacji i ostrzega przed przedwczesnym zrywem: już w depeszy z 20 października 1943 mówi całą prawdę, jeśli chodzi o możliwości wsparcia powstania: że alianci nie zaangażują się nie tylko z powodu trudności technicznych, które są w depeszy szczególnie wyjaśnione, ale „przypuszczalnie również ze względów politycznych”.

Żmudna walka na jesieni 1943 roku o tekst instrukcji dla kraju była w gruncie rzeczy walką o powstanie. Gen. Sosnkowski reprezentował konsekwentnie pogląd, że do powstania nie należy dopuścić, jeśli nie ma po temu odpowiednich warunków politycznych i kiedy ta najwyższa ofiara nie może przynieść Polsce odpowiednich korzyści. W walce o te instrukcje gen.

Sosnkowski nie przeprowadził wprawdzie wszystkich swoich tez, zwyciężył jednak w punktach zasadniczych, mających na celu całkowite zabezpieczenie od nieprzemyślanego wywołania powstania. Wspólna bowiem instrukcja Rządu i Naczelnego Wodza dla kraju z dnia 27 października 1943 roku nie tylko uzależniała wybuch powstania od wydatnego wsparcia przez sojuszników, ale ponadto na wypadek gdy Sowiety wkroczyć będą do Polski bez uprzedniego nawiązania stosunków z naszym rządem, oraz zastosują represje — Instrukcja zakazuje ujawniania się zarówno władz jak i Armii Krajowej. Innymi słowy: nawiązanie stosunków z Sowietami jest zadaniem rządu, który w tym zakresie korzysta z całego (a w tym wypadku szerszego) poparcia potężnych sojuszników anglosaskich. Żądania tego nie wolno przerzucać na oddziały Armii Krajowej, ryzykując w ten sposób życie najofiarniejszych żołnierzy Polski.

Niestety Instrukcja powyższa została następnie zmieniona przez kraj w punkcie bardzo istotnym, mianowicie ujawniania się: decyzja władz krajowych nakazała ujawnianie się oddziałów Armii Krajowej wobec wkraczających Rosjan w każdym wypadku, a więc nawet wtedy, gdy wkroczyć będą bez uprzedniego porozumienia politycznego. Wiadomość o powyższej zmianie zasadniczej doszła do Londynu z niewielkim opóźnieniem, bo dopiero w końcu stycznia 1944 roku. Spowodowało to nową walkę o tekst Instrukcji, zakończoną w dniu 18 lutego 1944 akceptowaniem decyzji kraju i odrzuceniem poprawek Naczelnego Wodza. Poprawki swoje wraz z wyczerpującym uzasadnieniem przesłał Naczelnny Wódz premierowi 2 lutego 1944. Korespondencja z Premierem wykazuje jak energicznie i cierpliwie Naczelnny Wódz ostrzegał Rząd przed zmianą Instrukcji. Owa zmiana przez kraj Instrukcji wytworzyła położenie niebezpieczne, na co Naczelnny Wódz zwraca nieustannie uwagę dowódcy Armii Krajowej: między innymi w depeszy 13 lutego 1944: „zalecam wam wedle granic możliwości trzymać się Instrukcji z 27 października”, w depeszy z 2 marca ostrzega, że zmiana „Instrukcji może spowodować wybuch powstania, które bez uprzedniego spełnienia warunków politycznych przyczyniłoby się jedynie do zamiany jednej okupacji na drugą kosztem olbrzymich ofiar kraju”; w depeszy z dnia 19 kwietnia 1944: „dalsze nasze ofiary wynikające z ujawniania się mogą być bezowocne z punktu widzenia obrony naszych praw”...

Depesze Naczelnego Wodza do kraju, informujące wnikliwie o położeniu ogólnym, stanowią jedną nierozzerwalną całość. Sprawa powstania była w nich omawiana wielokrotnie i stanowisko Naczelnego Wodza jest dla każdego jasne. Konsekwentnie ostrzega on Armię Krajową przed złe obliczonym zrywem, że zacytuje tylko przykładowo: 2 grudnia 1943 roku: „przez pewien przeciąg czasu kraj może być zdany na własne siły”; 13 stycznia 1944: „wzmoczona akcja dywersyjna gotowa przerodzić się samorzutnie, wobec powszechnej nienawiści do Niemców, w próbę zbrojnego powstania, niestety bez dostatecznego uzbro-

jenia, na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie". 2 marca 1944: „powstanie generalne przyczyniłoby się jedynie do zamiany jednej okupacji na drugą, kosztem olbrzymich ofiar kraju”.

Przed odlotem do II korpusu Naczelny Wódz raz jeszcze ostrzega kraj w instrukcji z 7 lipca: „w tych warunkach wojskowo-politycznych powstanie zbrojne narodu nie byłoby usprawiedliwione, nie mówiąc już o braku fizycznych szans powodzenia” Naczelny Wódz zakazuje nadto w tej depeszy używania nomenklatury „działania powstańcze” (zamiast wzmożonej akcji dywersyjnej), by „nie pociągać ludności do źle obliczonego zrywu powszechnego”.

W depeszy z 11 lipca Naczelny Wódz raz jeszcze rekapitułuje sytuację międzynarodową. Dalsze depesze wysyła gen. Sosnkowski z frontu włoskiego. Los tych depech jest znany: depesza z 25 lipca, nakazująca podział Sztabu AK w Warszawie na dwa rzuty z jednoczesnym zakazem dalszego ujawniania się — została zatrzymana w Londynie i nie przekazana do kraju. Inna depesza z 25 lipca została wprawdzie wysłana, ale ze skreśleniem punktów najistotniejszych, a mianowicie nakazu wycofywania się Armii Krajowej na zachód; trzeba bowiem „dążyć do oszczędzenia substancji biologicznej narodu wobec podwójnej groźby eksterminacji”. Depesza Naczelnego Wodza z dnia 28 lipca, gdzie mowa o tym, że „powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym pociągnąć za sobą niepotrzebne ofiary” — również została w Londynie zatrzymana. Wreszcie depesza z dnia 29 lipca: „nie widzę dla nikogo możliwości nawet rozważania sprawy powstania” została przetrzymana w Londynie przez kilka dni tak, że nadeszła do Warszawy już po wybuchu powstania. W ogóle wszystkie depesze Naczelnego Wodza z Włoch do kraju z trudem i dziwnie powoli przodostawały się przez Londyn.

Tyle, jeśli chodzi o instrukcje dla kraju. Również i Rządowi polskiemu opinia Naczelnego Wodza dokładnie była znana: w piśmie do Premiera z dnia 30 grudnia 1943 ostrzega, że bez spełnienia warunków politycznych „próba powstania przerodzić się musi w rzeź masową ludności polskiej, przy czym morze krwi przelanej nie da spełnienia polskich celów wojny”.

Protokół z posiedzenia Rady Ministrów z dnia 18 lutego 1944 roku (zmiana instrukcji dla kraju) stwierdza, że „zaistniała zasadnicza różnica zdań między Rządem a Naczelnym Wodzem”. Naczelny Wódz przewiduje „kosztem olbrzymich ofiar zamianę jednej okupacji na drugą” — znów konflikt obraca się dokoła możliwości nieprzemyślanego zrywu.

Dalej rozmowa N. Wodza z Premierem i Ministrem Obrony Narodowej z dnia 3 lipca 1944: „powstanie zbrojne bez uprzedniego porozumienia politycznego z Sowietami jest niemożliwością”, „skutkiem podobnej próby byłaby powszechna rzeź ludności polskiej”. „N. Wódz sądzi, że poza ustaloną formułą o wzmożonej akcji dywersyjnej wyjść w danych warunkach nie

można. Powstanie bez uprzedniego porozumienia z ZSSR na godziwych podstawach byłoby politycznie nieusprawiedliwione, zaś bez uczciwego i prawdziwego współdziałania z armią czerwoną byłoby pod względem wojskowym niczym innym, jak aktem rozpaczny”.

Nie trzeba chyba dodawać, że powyższe stanowisko N. Wodza w sprawie powstania znane było zarówno Prezydentowi RP jak i Ministrowi Obrony oraz Szefowi Sztabu.

Odmienny zgoła był stosunek Rządu do powstania. Zaznaczyć dla ścisłości należy, że stanowisko jakie w tej sprawie zajmował premier Mikołajczyk odbiega zasadniczo od poprzednich instrukcji gen. Sikorskiego (Depesze do D-cy AK 19 listopada 1941; 6 października 1942; 6 lutego 1943; wreszcie 24 marca 1943: „gdyby stosunek Sowietów do nas okazał się wyraźnie wrogi, wskazanym byłoby ujawnić tylko administrację cywilną, a siły Armii Krajowej wycofać w głąb kraju, by uchronić ją przed zniszczeniem. W tym kierunku polecam zmodyfikować swoje przewidywania i wydać instrukcje”). Oto bowiem już w dniu 12 października 1943 roku premier Mikołajczyk mówi min. Edenowi, że „odpowiemy powstaniem na walenie się frontu niemieckiego na zachodzie czy wschodzie”. „Minister Eden zareagował silnie i pozytywnie na takie ujęcie sprawy”. „Dał do zrozumienia, że wykorzysta to jako argument do rozmów w Moskwie”. W długich dyskusjach na temat Instrukcji dla kraju stanowisko Premiera dyktowane było niewątpliwie przekonaniem o nieuchronnym wybuchu powstania w każdym wypadku, nawet bez uprzedniego porozumienia z Sowietami.

4 lipca 1944 depezuje Premier do Delegata Rządu w kraju: „Sowiety postanowiły wezwać kraj przez Berlinga do powstania, a równocześnie przystąpią do organizowania administracji... Jeżeli chodzi o Armię Krajową, do której wołaliśmy, że czas nadejdzie, by nie być rzeczywście oskarżonym o ciche porozumienie z Niemcami... Nie możemy milczeć, gdy Sowiety wchodzą do Polski. Czyście rozpatrzyli kwestię powstania na wypadek rozsyпки Niemców, ewentualnie częściowego powstania, gdzieby władze przed przyjściem Sowietów objęli Delegat Rządu i Komendant Armii Krajowej?” Depesze te były starannie tajone przed N. Wodzem.

Gdy wreszcie premier Mikołajczyk decyduje się pod naciskiem brytyjskim na nagłą podróż do Moskwy, nadaje przed odlotem w dniu 26 lipca następującą depezę do kraju bez wiedzy Prezydenta: „Na posiedzeniu Rządu RP zgodnie zapadła uchwała upoważniająca Was do ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranym. Jeżeli możliwe uwiadomcie nas przedtem. Odpis przez Wojsko do Komendanta AK STEM”. W ten sposób Premier wziął na siebie odpowiedzialność za powstanie, przerzucając ją formalnie na kraj.

O tej depeszy o kapitalnym znaczeniu Rada Ministrów dowiedziała się po odlocie Premiera dopiero w dniu 28 lipca i akceptowała ją ex post bez szemrania...

Aby nie było wątpliwości — wicepremier wzmacnia powyższe dyrektywy następującą depeszą do D-cy Armii Krajowej z dnia 2 sierpnia 1944: „W związku z sugestią N. Wodza, aby zaniechać ujawniania oraz akcji czynnej, ustalonej przez Was, Rząd RP nie uważa za możliwe zmieniać swej dotychczasowej instrukcji i Waszej decyzji. Sprawy akcji czynnej i ujawnień są w Waszej tylko kompetencji. Obejmuje to i sprawy powstania”.

W tym samym czasie, w Moskwie, premier Mikołajczyk zapowiadał wybuch powstania.

Wedle własnych jego słów na konferencji dla prasy angielskiej z 31 sierpnia 1944: „Mówiłem Premierowi Churchillowi, w czasie jednej z rozmów, że Warszawa jest gotowa zrobić to, co zrobili Polacy na innych terenach na wschód od Warszawy”. „Będąc zaś w Moskwie mówiłem do Komisarza Mołotowa 31 lipca, że spodziewam się lada dzień wybuchu w Warszawie”... I jeszcze dodaje: „W Moskwie mówiono mi, że Rosjanie są o 111 klm. od Warszawy i przewiduje się, że Warszawa będzie zajęta przez wojska sowieckie 6 sierpnia 1944”.

Ze Naczelnym Wódcą był wybuchowi powstania przeciwny i wyczerpał wszelkie legalne i godziwe środki, aby temu wybuchowi zapobiec — to jest bezsporne. Natomiast Rząd do powstania zachęcał. Dwie doktryny, dwa stanowiska, dwie polityki. Kraj w swej ostatecznej decyzji dyrektywy N. Wodza odrzucił, idąc po linii sugestii Rządu. 26 lipca 1944 kości były rzucone, kompromis nie był już możliwy. Dalsze wzajemne przekonywanie się dać już rezultatu nie mogło.

Gdy więc oczywistej prawdzie o stosunku N. Wodza do wybuchu powstania zaprzeczyć nie można, doczepia się ubocznie zarzut, że dyrektywy gen. Sosnkowskiego nie były ubrane w formę rozkazodawstwa wojskowego. Decyzja powstania była decyzją par excellence polityczną i już z tego względu nie mogła być załatwiana formalnym rozkazem. Inaczej dowodzi się batalionem, a inaczej daje się rozkazy z najwyższego szczebla dla armii konspiracyjnej oddzielonej n.b. frontem i operującej w kraju okupowanym przez nieprzyjaciela. Zresztą jeszcze w depeszy do D-cy Armii Krajowej z 2 marca 1944 N. Wódcz wyjaśnił, dlaczego używa świadomie w stosunku do Armii Krajowej rozkazodawstwa w postaci ramowych dyrektyw. Z tą więc formą dyrektyw były władze krajowe dobrze obeznane.

Tylko więc brak dobrej woli pozwala się posunąć do zarzutu, że gen. Sosnkowski opóźnił swój powrót do Londynu, nie chcąc ujawniać swego stosunku do wybuchu powstania. Opinia N. Wodza w tej materii dobrze była znana czynnikom państwowym w Londynie. Amatorowie zaś dociekań, kiedy, którego dnia i o której godzinie nastąpić miał odlot z Włoch do Londynu i jak plan ten został opóźniony na skutek lotu do Caserty — niech pilnie przestudiują meldunki ówczesnego attaché lotniczego naszej Ambasady, składane na podstawie informacji angielskiego Ministerstwa Lotnictwa. Meldunki te w dniach 1, 2, 3 i 4 sierp-

nia otrzymywali: Prezydent RP, Szef Sztabu, Szef Lotnictwa i Szef Gabinetu N.W. Odszukać je nie trudno.

Depesza Prezydenta, wzywająca N. Wodza do powrotu, wysłana została już po powzięciu przez Rząd decyzji. Prezydent powiadamia N. Wodza o fakcie dokonanym. Kraj również decyzje był wówczas powziął. Od tej więc chwili data powrotu N. Wodza nie ma znaczenia i sytuacja była nieodwracalna, zwłaszcza, że odpowiedzialny za te decyzje w przezwajającym stopniu Premier bawił podówczas w Moskwie. Tam chyba należało szukać z nim porozumienia?

Rzekoma „zagadka” ówczesnego pobytu N. Wodza we Włoszech nie powinna być trudna do rozszyfrowania. Powodem tego pobytu nie były sprawy orderowe (notabene dla Sił Zbrojnych podczas wojny bynajmniej nie bagatelne). Warto przede wszystkim pamiętać, że gen. Sosnkowski pojechał na jedną z głównych bitew kampanii, bitwę pod Ankoną i to na skutek osobistego zaproszenia dowódcy frontu włoskiego (ówczesnego) generała Alexandra, oraz po kilku depeszach gen. Andersa, który, poczynając od końca maja niejednokrotnie domagał się przyjazdu N. Wodza na front. Najistotniejszą jednak okolicznością było, że nad polską sprawą w całokształcie wisiały ciężkie chmury. Po kolejnych ustępstwach i tak zwanych kompromisach pod naciskiem Aliantów Rząd p. Mikołajczyka decyduje się na rozmowy z „Komitetem Wyzwolenia”, uznanym właśnie wtedy przez Sowiety jako rząd polski. Kapitulacja groziła każdej chwili. Odmienne stanowisko N. Wodza spotykało się w sferach rządowych w Londynie z zasadniczą niechęcią i wrogiem nastawieniem. Natomiast wśród wojsk walczących na froncie i w dowództwie wojskowym miał N. Wódcz całkowite poparcie. Cóż mogło wówczas odwrócić politykę kapitulacyjną, jeśli nie jednolita postawa wojska? A wszakże akt kapitulacji mógł przesądzić losy tego wojska. Objawy wrzenia w wojsku znajdują echo w „Orle Białym” z tego okresu. Świadczy o tym między innymi także depesza z Kairu do min. Kota „b. pilna” z 31 lipca 1944 od tamtejszego informatora p. Tabaczyńskiego: „gen. Sosnkowski wygłosił w ubiegłym tygodniu do pułku ułanów Krechowieckich gwałtowne przemówienie przeciwko wszelkim ustępstwom na rzecz Rosji. Również gwałtowne przemówienie wygłosił gen. Anders”.

„To samo źródło donosi, że w razie gdyby rząd poszedł na ustępstwa wobec Rosji dowództwo zdecydowane jest zmanifestować swój sprzeciw przez pójście z całym Korpusem za druty. Gen. Sosnkowski wstrzymał swój zamierzony wyjazd do Kairu do wyjaśnienia sytuacji, aby ewentualnie podzielić losy wojska. W tym kierunku miały iść naciski na gen. S. zarówno gen. A. jak polityków z propagandy APW”.

Przytaczam powyższy tekst sensacyjnej depeszy informatorów prof. Kota — aby zilustrować ówczesne nastroje i rodzące się na ich tle pogłoski.

Sięgnijmy jednak do poważniejszego źródła. W depeszy z dnia 28 lipca do Prezydenta RP Naczelny Wódz raz jeszcze przestrzegając przed wybuchem powstania donosi, że: „wizyta moskiewska premiera wstrząsnęła duszą wojska, któremu znane jest zachowanie się Sowietów w Polsce. Naczelny Wódz pisze w tej depeszy, że „Wojska II Korpusu gonią resztkami odporności moralnej i psychicznej. Gdyby w Moskwie poczyniono ustępstwa — wojsko może wypowiedzieć posłuszeństwo rządowi”.



W atakach na gen. Sosnkowskiego poszczególne epizody i szczegóły techniczne są jednak tylko odskocznią do szturmu generalnego. Pada więc zarzut zasadniczy: Generał Sosnkowski odnosi się do Zachodu z nienawiścią tak, jakby to nie Rosja była przyczyną naszych obecnych nieszczęść, lecz państwa zachodnie. Zarzut, zaiste niesłychanie przewrotny. Jak gdyby gen. Sosnkowski całym swoim życiem nie dowiódł, że wiąże losy Polski z Zachodem i że w związaniu tym widzi także obecnie nadzieje na odzyskanie niepodległości.

Jedno natomiast jest bezsporne: ile razy uważa on, że polityka państw zachodnich idzie drogą niebezpieczną — mówi to, ostrzega i zwraca uwagę na skutki popełnionych błędów. Tak było gdy walczył z kapitulacyjną samobójczą polityką filozofską państw anglosaskich w czasie wojny. Gdzie byli wówczas dzisiejsi oskarżyciele gen. Sosnkowskiego?

Tak jest i dzisiaj, po wojnie, gdy ciągle ustępstwa Zachodu przesuwają coraz bardziej równowagę sił światowych na rzecz Rosji. Ostrzega więc, że stan ten doprowadzić może do śmiertelnej walki Zachodu o własne istnienie. Nie jest bowiem „podżegaczem wojennym” ten, kto śledząc politykę niekończących się ustępstw — bierze pod uwagę możliwość kataklizmu wojennego, gdy granica tych ustępstw będzie osiągnięta. Gdy wykazuje, jak poświęcenie Polski nie „załatwiło sprawy”. Karmienie krokodyla cudzym kosztem nie daje à la longue rezultatu.

Któż jest prawdziwym przyjacielem Zachodu? Czy ten, kto bez szemrania przyjmuje każdą decyzję „starszych braci”, czy ten, który wytyka błędy i przestrzega swych sojuszników przed grożącym niebezpieczeństwem?

Witold BABIŃSKI

Kronika kulturalna

Tragedia amerykańska

Spośród twórczości dramatycznej Arthura Millera teatr polski zainteresowała przede wszystkim sztuka historyczna o ostrym współczesnym wydźwięku — *The Crucible*. Odsłaniająca związki materialne rządzącej teokracji purytańskiej, wskazująca na interes ekonomiczny władzy broniącej czystości doktryny, na ponurą siłę przyjętych przesądów, zwrócona przeciw ciasnocie życia kierowanego dogmatem uświęconego tekstu, przeciw fanatyzmowi i terroryzowaniu społeczeństwa patologicznymi donosami — jest ona najlepszym utworem Millera i jednym z najwybitniejszych dramatów napisanych po wojnie. „Krzyżowa próba”, wystawiona w Ameryce w okresie maccarthyzmu, szybko nabrała znaczenia uniwersalnego urastając do paraboli przystającej do śledztw i procesów pokazowych każdego systemu represji. Główny jej problem — zagadnienie godności i uczciwości jednostki przeciwstawiającej się psychozie tłumu i odrzucającej ocalenie za cenę uznania powszechnego kłamstwa — jest typowym problemem epoki, sprawą okresu okupacji wojennej i tak zwanego „wyzwolenia”.

Kiedy *The Crucible* zaczęto grać w Europie, pod wpływem świeżych wydarzeń widownia stawiała znak równania między absurdem procesów stalinowskich a siedemnastowiecznym oskarżeniem o czarnoksiężstwo, gdzie pomieszanie naiwnej wiary z fałszywym idealizmem, intrygą i zawiścią doprowadziło do legalnej zbrodni na mieszkańcach Salemu. Jeszcze za życia wielu świadków i rodzin skazanych władze stanowe uchylły wyrok i przystąpiły do wypłacania odszkodowań ofiarom „pomyłki” sądowej, dopiero zaś dzisiaj, częściowo pod wpływem prądów „rehabilitacyjnych”, a częściowo, być może, pod wpływem sztuki Millera, Ameryka zajęła się rewizją samego procesu i jego

założeń. Z drugiej strony zagadnienie poruszone w sztuce przeszło dla Millera w sprawę osobistą, gdy przed specjalną komisją Kongresu odmówił — nie będąc zresztą sam komunistą — podania nazwisk autorów radykalnych, których w 1939 r. spotkał na zebraniu pisarzy lewicowych w Chicago.

The Crucible wystawiono w Paryżu w 1955 r., a latem 1956 r. w Londynie. W kilka miesięcy później, zimą 1956/57, pokazano na scenie londyńskiej inny ambitny utwór Millera *A View from the Bridge*, który był największym sukcesem ostatniego sezonu teatralnego. Wobec pasji moralnej *The Crucible* i autentyczności problemu społecznego, w *The Death of a Salesman* (Śmierć komiwojażera), historia nowojorskiego tragarza i jego na wpół kazirodczej miłości może wyglądać na krok wstecz. Sens społeczny jest tu mniej oczywisty, oszczędna forma mniej charakterystyczna, lecz właśnie w tej sztuce, będącej ambitną próbą napisania nowoczesnej tragedii amerykańskiej, skupiają się prądy od lat wpływające na kształtowanie amerykańskiego teatru.

„Widok z mostu”, zbliżony naturą konfliktu do dramatu hiszpańskiego laureata nagrody Nobla, Iacinto Benavente, pt. *Mal Querida* (Złe kochana) rozpoczyna autor w chwili dojrzałej do katastrofy: wyznacza ją wiek i rozkwitająca uroda siostrzenicy i wychowanicy głównego bohatera. Eddie Carbone kocha Catherine miłością nieświadomioną, spychaną automatycznie w podświadomość pod wpływem sycylijskiego kodeksu moralnego, przeniesionego w świat dockerów nowojorskiego Brooklynu. Jest to środowisko zamerykanizowane tylko powierzchownie, w pracy, w rudymentach języka, w codziennym trybie życia wynikającym z odmiennej kultury materialnej. W rzeczywistości rządzi nim siła sycylijskich związków krwi, nakazy wyspiarskiego honoru i solidarności rodzinnej. Pod ich wpływem Eddie udziela schronienia dwóm krewniakom żony, przybywającym do St. Zjednoczonych, jako „submarines”, czyli nielegalni imigranci, robotą w dokach odplacający przemytnikom za potajemny przewóz.

Miłość młodszego z nich, Rudolpho, do Catherine grozi Eddiemu utratą siostrzenicy. W odruchu samoobrony Eddie stwarza fikcję, mającą osłonić dziewczynę przed małżeństwem. Najpierw oskarża Rudolpho o plan poślubienia Catherine wyłącznie dla uzyskania paszportu, a następnie wspiera insynuację podejrzewaniem o homoseksualizm. Kiedy perfidne oskarżenie zawodzi, a wzajemny stosunek młodych staje się coraz bardziej oczywisty, Eddie informuje policję. Internowanie i usunięcie z Ameryki oznacza pozbycie się rywala, ale oznacza także koniec zarobków imigrantów i katastrofę rodziny pozostawionej we Włoszech. Obelga starszego kuzyna, Marco, rzucona w twarz Eddiemu, stawia denuncjatora poza obrębem miejscowej społeczności jako zdrajcę rodziny i zdrajcę towarzyszy pracy. Jest to śmierć cywilna, przekreślenie człowieka w imię moralności ludzkiej i moralności robotniczej, aczkolwiek krok Eddiego formalnie

zasługuje na aprobatę prawa. W walce na noże Carbone pada z ręki Marco, lecz nawet własny jego zgon zamienia się w zbrodnię i wzmagą przekleństwo „złej miłości”.

Uwięzienie zabójcy przypieczętuje wyrok nędzy i zagłady na daleką włoską rodzinę, zapadający w dramacie miłosnym odległego Brooklynu. Skoro zaś odpowiedzialność za ostateczny wynik amerykańskiej wyprawy po złote runo ponosi Rudolpho, zasada vendetty uczyni wątpliwym także i szczęście zakochanych. W sensie tragicznym winny jest i Rudolf, jako naruszający spokój domu, w którym udzielono mu gościny. Jak w greckim cyklu mitologicznym łatwo przewidzieć punkt wyjściowy przyszłego dramatu: przybycie dorastającego syna Marco, żądającego od Catherine i Rudolpho rachunku za więzienny los ojca, nędzę rodzeństwa i przedwczesną śmierć matki pozbawionej pomocy męża. Miłość przekraczająca społeczne granice tabu erotycznego, wyzwala instynkt zbrodni u innych, zgodnie z założeniem o nieprzerwalnym łańcuchu winy i kary, snującym się od chwili dostarczenia pierwszego ognia.

II

Czołowa postać sztuki Millera jest odmianą bohatera literackiego znamienną dla tradycji amerykańskiego dramatu. W powieści reprezentował ją przede wszystkim Th. Dreiser, w dramacie — kontynuatorzy Clifforda Odetsa i O'Neill. Jest to typ człowieka o umysłowości graniczącej z prymitywem, rządzonym ślepych instynktem i zespołem przeróżnych tabu, najczęściej umiejscawiany w środowisku ubogich emigrantów, którzy w Stanach szukają ucieczki od nędzy przeludnionych i zacołanych technicznie krajów europejskich. Ten wybór uderza rezygnacją z pokazania ludzi uosabiających prawdziwą kulturę amerykańską, jak gdyby albo jej nie było, albo też jakby autor dramatyczny nie ufał jej cechom, nie znajdując w nich utrwalonego systemu wartości i tradycji etycznych dostatecznie głęboko sięgających w podświadomość.

Mieszanie Europy i Nowego Świata jest typowa dla masy amerykańskiej i dramata żywi się w Ameryce konfliktami, których źródło tkwi w europejskich kategoriach myślenia.

Na niższych szczeblach drabiny społecznej awans materialny, nawet awans społeczny nie łączy się z awansem kulturalnym. W kulturze, opartej na prymacie techniki i wartości materialnych, zanika wymaganie pewnego poziomu umysłowego, pewnej humanistyczności człowieka jako legitymacji do zwiększonego wpływu. Stąd posiadanie siły i sprawowanie władzy rozmija się nieraz z osiąganiem dojrzałości cywilizacyjnej. Arnold Toynbee podkreśla, że nowoczesna cywilizacja przemysłowa wytwarza swoistą klasę proletariuszy kulturalnych, którzy należąc do spo-

leczeństwa nie są jednak świadomą jego częścią. Łatwość zarobku, zwłaszcza w pracy niewykwalifikowanej, sprawia, że z dobrobytem materialnym łączą się reakcje przypominające lumpenproletariat europejski albo też uboższego chłopca z kraju głodu ziemi. A. Miller i Tennessee Williams nie bez powodu najczęściej dla swych utworów wybierają emigranta pochodzącego z południa Europy. I bohater „Baby Doll” i bohater „A View from the Bridge” są przybyszami z Sycylii.

Wyrwani z rygorystycznej obyczajowości, pozbawieni ścisłego związku niewielkiej gminy, wtrąceni w walkę o zarobek, w pogoń za pieniędzmi, wchodzą w konflikt z niezrozumiałymi dla nich siłami społecznymi i moralnymi, nawet nie zdając sobie sprawy z ich wyzwania. Wąskie doświadczenie życiowe, przeciętność granicząca z ośpieniem, indywidualność niewyraźną i chwiejną, pokrywają brutalnością, zjawiającą się u nich jako odruch ochronny przed wszystkim co przekracza ich zakres rozumienia. Między „Hairy Ape” (Włochatą małpą) O’Neilla, rolą Marlona Brando z głośnej sztuki Tennessee Williamsa „A Streetcar named Desire”, a tragarzem portowym Millera istnieje ciągłość typu literackiego. Brak zróżnicowania psychicznego i typowość zjawiska jeszcze bardziej podkreśla odrzucenie nazwisk i ograniczanie się do imion, co czyni te postacie prawie że anonimowymi członkami amorficznego tłumu. Nazwisko nie gra roli, jest pospolite, powtarza się na każdym kroku, nie określa człowieka odrębnego, innego.

Przy tej tendencji do utożsamiania bohatera sztuki z podobnymi do niego replikami ludzkimi, naturalna konieczność wyodrębnienia bohatera akcji prowadzi z kolei do nadania mu charakterystycznego rysu w formie nałogu czy perwersji. Stąd też pospolite u pisarzy mniejszej wagi ześlizgiwanie się amerykańskiego symbolu „szarego człowieka” do narkomanii, alkoholizmu czy perwersji seksualnej.

Podobny dobór bohaterów nie oznacza tendencji społecznej, chociaż częściowo wywodzi się ze sztuk pisanych w okresie depresji gospodarczej kiedy kult „szarego człowieka” był wyrazem solidaryzowania się z dość niejasno pojętymi masami. W literaturze była wówczas modna mglista lewicowość i nadzieja, że zmiana, odrodzenie wartości humanistycznych, ucłowieczenie życia tłumu wyjdzie od najbiedniejszych, najbardziej krzywdzonych, a zarazem najprymitywniejszych i najdalej odsuniętych od kultury.

Później jednakże, a zwłaszcza obecnie, autor amerykański poprzez dramat prymitywnej jednostki w świecie złożonej techniki, dramat istoty nieartykułowanej, stara się wznieść do uniwersalizmu, pokazać człowieka w jego rysach najistotniejszych, rozdzielonego ze stroju cywilizacji, z przyodziewka tej czy innej klasy społecznej. Mimo realistycznego wskazywania warunków społecznych, pisarz szuka bohatera o reakcjach w istocie rzeczy wymykających się ujednoczającemu wpływowi. Więcej w tym Rousseau’a niż Marksa. Więcej szukania „człowieka natural-

nego” niż ofiary przemysłu. Wprowadzanie postaci nie skomplikowanych kulturalnie, niezdolnych do oceny gry przyczyn i skutków jest jedną z prób wydobycia ze współczesnego tematu materiału tragedii.

W „Widoku z mostu” Eddie — dokładnie zdający sobie sprawę ze swego uczucia, z samego jego istnienia i jego natury, stałby się człowiekiem świadomie walczącym z własnym zaburzeniem psychicznym, z odchyleniem od konformizmu oczekiwanego od członka wysoce zorganizowanego społeczeństwa. Gdyby np. był inteligentem, rozwój wypadków musiałby być inny — znikłby tak silny u Millera motyw konieczności wydarzeń. Odwrotnie, ten sam człowiek poddający się naporowi uczucia i szukający dla niego wyrazu fizycznego, byłby zaledwie przykładem naruszenia erotycznego tabu. Przy takich ujęciach rzecz sprowadzałaby się do zapisu karty medycznej w gabinecie psychologa lub do notatki kryminalnej.

Tematy, które dla Greków były podłożem tragicznych powiadań, z trudnością wchodzą do dzisiejszego teatru nie tylko ze względu na obłudę naszej cenzury obyczajowej, ale przede wszystkim dlatego, że dzieje współczesnego Edypa powinnyby się zakończyć u jakiegoś głośnego psychoanalityka. Prowadzi tam nawet przeżywanie konfliktu metafizycznego jak np. w sztuce Eliota „The Cocktail Party”. To co dawniej dawało dreszcz przerażenia, przestraszało prześwieceniem mrocznej podświadomości, teraz wywołuje aseptyczną, wyrozumiałą litość. Zamiast mitów, mamy kartotekę snów. W tragedii Edypa dzisiaj podziwia się głównie formę i widzi się symbol sytuacji w której człowiek niejasno odgaduje, iż triumf czy sukces może w końcu prowadzić do klęski i zagłady. Znikł natomiast lęk przed zemstą przeznaczenia, poczucie gniewu bogów i granicy ludzkiej siły. Sama idea postępu z góry przekreśla pojęcie grzechu pychy wobec niebios.

Tymczasem warunkiem tragedii jest uznanie zagadkowości losu kryjącego w sobie działanie nieznanych nam przyczyn, irracjonalne ujęcie świata, moralność zbudowana z nakazów i zakazów o sankcji metafizycznej, a nie tylko społecznej. Nie wystarczy istnienie wartości wspartych o racjonalny sąd, muszą istnieć rzeczy święte. Tragedia grecka nie jest dramatem charakteru, lecz ujawnianiem w nieoczekiwanym obrocie wydarzeń istnienia porządku wyższego ponad prawa epoki i konwencjonalną moralność. Naukowy pogląd na świat wyłącza tragedię — pozostawiając dramat; światopogląd chrześcijański nie ma miejsca dla kategorii tragicznych jeżeli największy dramat chrześcijaństwa kończy się odkupieniem i zmartwychwstaniem — jedynie los Judasza miałby w sobie tajemnicze elementy tragiczne odnajdywane dziś u bohaterów powieści Grahama Greene’a. Egzystencjalizm czyni całość ludzkiego istnienia wydarzeniem tragicznym i tym samym usuwa wyjątkowość kategorii tragedii.

Jedynie w ramach marksistowskiego kultu historii i w zasadzie bezwzględnych ofiar na rzecz mitu technologicznego

millenium można dopatrzeć się elementów sprzyjających zarysowaniu się prawdziwie tragicznego konfliktu. Nic dziwnego, że charakterystyczną postacią współczesnych dramatów ideologicznych staje się komunista oszukany przez bóstwo historii, którego wyroków albo nie umiał odczytać albo którym ośmielił się przeciwstawić, względnie wobec których popełnił grzech pychy, nadając im przesadnie pewną siebie interpretację. Mieszczą się w tym zarysie wszystkie typowe „odchylenia” wraz ze swymi dramatycznymi skutkami, walką o władzę i tragediami osobistymi.

W studium o naturze tragizmu T.R. Henn twierdzi, iż można go w pełni odczuwać tylko w społeczeństwie religijnym, skoro nagle wejście w głąb tajemnicy musi ujawniać prawdy o doniosłości metafizycznej. Nie można wyobrazić sobie dziejów Edypa jako tragedii bez klątwy Atrydów, podobnie jak Hamlet byłby albo sztuką sensacyjną albo wyłącznie interesującym dramatem psychologicznym bez otrzymania od ducha ojca nakazu zemsty. Do tragedii dojrzuje dopiero taki „Hamlet”, w którym zemsta na królu nabiera powagi i grozy metafizycznej kary, a sam mściciel staje się z kolei winny wahania, opóźniania wyroku i wątpliwości wobec nakazu otrzymanego od sił nadprzyrodzonych.

Nie może być postacią tragiczną bohater nie rozpoznający natury swego skazania, głębokości zgubnej rysy we własnej duszy.

Toteż Miller, usiłując przezwyciężyć a-tragiczność współczesnego teatru, rozmyślnie w osobie Eddie Carbone łączy działanie etycznego tabu, zagadkę wystąpienia fatalnego uczucia i nieznaną własnego serca. Moralność włoskiej rodziny wiąże miłość do Catherine w automatycznym stłumieniu, przebiera ją w opiekuńczą troskę, oblekając zazdrość w pozór obrony godności nazwiska. Głęboko wszczepione pojęcia moralne są tu warunkiem typowego procesu freudowskiej represji. Eddie nigdy nie zobaczy w lustrze swej prawdziwej twarzy. Uciekiby od tego widoku będąc człowiekiem jednoznacznej moralności, który słyszał o grzechu, ale nigdy nie słyszał o psychologii.

Charakterystyczne jest wyjście autora poza amerykańskie normy moralne i oparcie się o kanon obyczajowy starego, zamkniętego środowiska. Przesłania ten fakt wysunięcie na pierwszy plan solidarności środowiska robotniczego, ale w istocie warunkiem tragicznych powikłań jest swoiste przeszczepienie stosunków europejskich na grunt amerykański. W gronie bowiem włoskich dockerów Brooklynu obowiązuje etyka chrześcijańska ortodoksyjnej co prawda grupy społecznej, ale już pozbawiona oparcia o religię, zanikająca w warunkach zaspakajających potrzeby materialne. Wskutek tego moralność przechodzi w tajemnicę tabu etycznego, z kategorii chrześcijańskich spadając do kategorii niemal antycznych.

Do katastrofy popycha bohatera ślepotą wobec samego siebie, niezdolność racjonalistycznego myślenia, nieznaną przyczyn i skutków osobistej sytuacji.

Zbliżenie do wymiaru tragedii w teatrze amerykańskim dokonuje się za cenę ograniczenia świadomości bohatera, czyli za cenę redukcji jego człowieczeństwa. Innymi słowy — poprzez postawienie go poza dzisiejszą kulturą, poprzez sztuczne odwspółcześnienie. Jest to cofanie się w przeszłość i w niższą fazę cywilizacyjną, a więc przyznanie do niemożliwości stworzenia tragedii w zakresie elementów obecnej kultury.

III

Mimo kataklizmów wiek XX-ty jest wiekiem odartym z wzniosłości i a-tragicznym, tragedia zaś rodzajem literackim nieosiągalnym w czasach łączących racjonalizm naukowy i barbarzyńskie absurdy, w dobie kiedy ofiary dramatu zajęły miejsce jego bohaterów.

Mity straciły znaczenie, odrzucamy wiarę w zawziętość prześladowającego losu, którą można by przebłagać wyrzeczeniem się pychy wyjątkowego stanowiska człowieka i pokornym poddaniem się jego wyrokom. Orestesowskie furie z archaizującego eksperymentu Eliota w „Family Reunion” (Zjazd rodzinny) — są nam obce i niezrozumiałe. Są prawie groteskowe skoro już w nic nie wtajemniczają, straciwszy wartość symbolu a trwając tylko jako zbanalizowana konwencja poetycka, której wątpliwy żywot przedłuża niezdolność współczesnej kultury do stworzenia własnej, oryginalnej symboliki. Pozostajemy obojętni wobec zawartej w nich ładunku „tragizmu”, gdyż Eliot zamiast dokonać autentycznego odkrycia poetyckiego, to znaczy nasycić dawny symbol współczesną treścią, przymusza widza do przyjęcia zdevaluowanego systemu moralnego uznającego odpowiedzialność za zło poprzednich pokoleń. Nie wypełnia już dzisiejszej świadomości ani mit idącego przez historię łańcucha win i kar, ani mit zbiorowego grzechu czy niezawinionego obciążenia złem, ani też mit zemsty niebios lub walki Gigantów i Tytanów. Interesującym przykładem zachwiania równowagi myślowej, uciekania od rzeczywistości do mitów była teoria „zła immanentnego”, jaka pojawiła się wskutek wewnętrznego kryzysu rządów komunistycznych. Na ogół jednak w pojęcie grzechu jako przestępstwa metafizycznego i w pojęcie bezwzględnej odpowiedzialności klasowej wdzierają się teoria urazów jako źródła patologicznych wypaczeń charakteru i zbrodni oraz wskazywanie konkretnych przyczyn kryzysu społecznego. Dawna forma tragedii z pewnością nie jest sztuką wieku nauki.

Obumiera także romantyczny mit kobiecości, jako symbolu pozaziemskiego piękna, odgrywający tak ważną rolę w „Fauście”. Kobieta, oderwana od symbolicznego uosobienia absolutu estetycznego, wprowadzona w zgiełk codziennego życia, opu-

szcza sferę tajemnicy. Nowoczesne próby tragedii trzymają się świata męskiego i niezmiernie rzadko główną postacią czynią kobietę.

Zachwiały się dwa najnowsze mity: postępu i konieczności historycznej. Optymistyczne przekonanie o prawidłowości rozwoju historycznego pozwalało wprowadzać bohatera którego śmiałość i wielkość polegały na wykraczaniu poza konwenans epoki i wyprzedzaniu biegu dziejów. Traktowany z punktu widzenia porządku przeszłości jako przestępca czy buntownik, z naszej pozycji był odważnym, świadomym i ofiarnym prekursorem dnia dzisiejszego. Zawierała się w tym utajona wiara w mit nieustannego postępu, ponieważ tylko dodatnia ocena uzyskanej teraźniejszości i wiara w coraz lepszą przyszłość nadawały wartość i wzniosłość rewolucyjnej walce z tradycją. Prócz tego ilekroć szlachetność i poświęcenie zbyt ściśle łączą się z błędną oceną historycznej fazy rozwojowej, bohaterstwo stoi zbyt blisko pomylki w sądach. W 1848 r. opinia wolnościowa bez zastrzeżeń uznawała bohaterstwo węgierskie, w 1956 r. dramatowi Węgier, jako tragicznemu maksymalizmowi, przeciwstawiano trzeźwy minimalizm polski. Jedynie przyjęcie stałych, pozahistorycznych wartości moralnych podnosi dramat historyczny i polityczny do rangi tragedii.

Do tej kategorii należy hasło wolności jako najsilniejsza współczesna siła mitotwórcza. O rosnącym jego wpływie świadczy dominujący w prozie powojennej motyw obrony godności osobistej, motyw wytrwałości i wiary „usque ad finem” w opozycji przeciw przemocy dławiącej prawo do indywidualności. Poprzez obronę wolności odnajduje się solidarność z innymi ludźmi. Trudność osiągnięcia i utrzymania stanu rzeczywistej wolności sprzyja jej idealizowaniu i mitologizowaniu. Zagadnienie świadomego wyboru jako warunku „doznawania” człowieczeństwa ożywia dziś teatr europejski. W Ameryce wszakże podobny prąd przybiera postać dwóch sprzecznych, ale uzupełniających się dążeń: przeciwstawienia jednostki niwelującemu naciskowi społeczeństwa a zarazem szukania umacniającej z nim wspólności.

Tragedia wymaga bohatera reprezentatywnego, możliwie uniwersalnego przedstawiciela i rzecznika „la condition humaine”. W dramacie greckim mniej dzieliło „króla” Itaki od pospolitego wieśniaka niż dzieli milionera od pracownika jego fabryki, a dygnitarza stroju totalistycznego od proletariusza państwa proletariatu. W społeczeństwie rozdrobnionym na grupy zawodowe i społeczne, pociętym specjalizacją, pozbawionym — poza wstrząsami wielkich wojen i wielkich depresji — wspólnego zasobu doświadczeń i wiedzy, nie posiadającym wspólnych wierzeń, nie łatwo znaleźć postać z którą większość widzowni mogłaby się spontanicznie utożsamiać. Tymczasem teatr który przez długie lata był sztuką wybranych, zwrócił się do mas: w warunkach kapitalistycznych sceny wielkiego miasta opierają swój byt na kilkuset przedstawieniach jednej sztuki, w warun-

kach socjalistycznych mają wprost obowiązek trafienia do dziesiątków tysięcy widzów.

W teatrze amerykańskim najlepiej rozwiązał tę trudność Miller w „Śmierci komiwojażera”, bodaj najwybitniejszym — poza obrębem twórczości O'Neilla — amerykańskim utworze scenicznym od czasu „Naszego miasta” Wildera. Starzejący się agent handlowy, wypierany ze świata pozornego szczęścia i sukcesu przez młodszych gladiatorów businessu był wprost wyjątkowym uosobieniem przeżyć ludności olbrzymiego handlowego miasta. Atakując zdradliwą popularność sloganu indywidualnego powodzenia, Miller wydobywał prawdę, milczącą przyznawaną przez jego słuchaczy, iż w gruncie rzeczy w ich społeczeństwie od ideału wolności i hasła szczęścia silniejsze są wymagania sprawności produkcyjnej, jednolitości i solidarności masy.

Nieszczęście bohatera sztuki wynika z przyjęcia przez kulturę, w której otocze żyje, technologicznego kryterium ludzkiej wartości. Gdzie znaczenie jednostki polega przeważnie na wypełnianiu zadań materialnych w olbrzymim mechanizmie uprzemysłowionej i skomercjalizowanej cywilizacji, tam spadek wydajności szybko przekreśla jej rolę. Bezrobotny agent odkrywa, iż jego śmierć, dzięki ubezpieczeniu, posiada wyższą wartość rynkową i lepiej zabezpiecza pomyślność rodziny niż jego życie. Wyciąga wniosek — samobójstwo. Mimo to nie oglądamy w nim bojownika przegrywającego w koniecznej choć beznadziejnej walce, lecz po prostu ofiarę błędów pewnego typu cywilizacji.

Dramat społeczny polega tu na tym, iż Harry Loman nie posiadał właściwie żadnej nowej wartości, żadnej idei dla przeciwstawienia ich swemu światu. Komórka, która zginęła, aby inna mogła żyć. Przeniesienie klęski biologicznej organizmu na warunki społeczne. Śmierć z ogólnej pogoni za pieniądzem tak jak umiera się z zapalenia płuc czy raka. Anonimowość pracy, zależność od koncernu, bezsens i zbyteczność wieku starości i dojrzałości, gdy wszystko goni za nowością a suma doświadczeń nie jest szanowaną mądrością życiową. Los Lomana budzi litość pomieszaną z lekką pogardą, ale nie wstrząsa. Jest patetyczny, nie jest tragiczny. Życie zmiażdżyło człowieka nawet nie przeżywającego istnienia powalających go sił. Umarł dzielnie, ale przeszedł tylko z jednej ciemności do drugiej. Krzesło elektryczne czy depresja gospodarcza zabijają inaczej niż gniew bogów. Tragedia pozostaje nieosiągalna, mimo talentu pisarza, w świecie konformizmu i kultu produkcji. Nawet Antyfony nie zdoła otoczyć niezmierny blask, jeżeli najważniejsze będzie unikanie zaburzeń mechanizmu wytwórczości i rozsądna kalkulacja szans.

IV

Jedną z głównych postaci głośniejszej sztuki Tennessee Williamsa („A Cat on a Hot Tin Roof”) jest stary ojciec, chory na raka, odkrywający postępy choroby i wytracony z naiwnego optymizmu

i taniego cynizmu klasyczną niemal sceną „rozpoznania”. Na nieprzytomną miłość dla przybranej córki w „A View from the Bridge” również można spojrzeć, jak na zwyrodnienie chorobowe, na skutek doznanej „rany” psychicznej, a nie jak na namiętność czy grzech. Klęska jest wówczas niezawiniona, cios zadaje ślepe okrucieństwo natury.

Wielu autorów amerykańskich szuka rezerwatu sytuacji tragicznych w dziedzinie nie opanowanej ścisłym poznaniem naukowym, a więc poddającej się interpretacji irracjonalistycznej. Przyznanie decydującej roli przypadkowi czy dziedzicznemu obciążeniu zmieniałoby ofiary w groteskowych aktorów niepoważnej choć bolesnej sztuki życia. Dopatrzenie się w tym działaniu ślepego fatum, bez podporządkowania go sile metafizycznej, uczyni rzecz dramatem wyłącznie biologicznym. Ale potęgując i stylizując jego elementy może go autor zbliżyć do wymowy mitu, tak natężając obraz aby nagle dawał wspomniane przez Keatsa „przeniknięcie w głąb” — „momentous depth of speculation”. Na dnie niespodziewanie odsoniętej przepaści odkrywamy coś co może być, tak jak u Greków, albo bezsensem, albo tajemniczym, niezrozumiałym dla nas porządkiem rzeczy. W obu wypadkach jesteśmy jego igraszką.

Odkrycie ludzkiej słabości, wynurzenie się zagadki spoza naukowego ujęcia świata, w zestawieniu z ludzką odwagą i zdolnością cierpienia budzi i dumę i rezygnację, przyjęcie nieobliczalności losu i niedoskonałości życia jako formy istnienia skazującej na cierpienie i upadek, a zarazem napełniającej odwagą i zdolnością przejścia drogi aż do końca. Jest to o krok od wzniosłości. Gdzie dawniej kończyła się wiedza ścisła, zaczynała się filozofia; gdzie dziś kończy się filozofia nauki, zaczyna się poezja. Być może — tragedia.

Linia tradycji dramatycznej O'Neill — Miller jest częściowo następstwem zwięzienia pola tragizmu do irracjonalnej niespodzianki genów i hormonów. Bohater Racine'a spoglądał z szerego otwartą powieką w kłębowisko żmij własnego serca, bohater Williama czy Millera jest prawie niezdolny do monologu, jego mowa składa się z wykrzykników wyrzucanych w rytmie staccato uczuć przedzierających się do mglistej świadomości. Śmierć budzi wtedy litość, taką samą, jak widok zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Nie ma w tym ani świętej grozy ani oczyszczenia. Pozostaje wąski, lecz istotny przedział między nieśczęściem a tragicznością.

Wymiary konfliktu najczęściej przerastają skalę wewnętrzną bohaterów. Od patosu sceny greckiej przechodzimy do lęku prawie że człowieka pierwotnego, otoczonego światem obcym, niezrozumiałym i sprzysiężonym przeciw ludzkiemu plemieniu.

Artystyczne wyniki tego ujęcia tragizmu nie są zachęcające u jego amerykańskich inicjatorów. Dopiero Miller potrafił użyć wrażliwych się w pamięć symbolów psychologicznego konfliktu społeczeństwa amerykańskiego tam gdzie dramat prywatnego życia łączy się z dramatem społecznym. Obok Millera Tennes-

see Williams, najbardziej „teatralny”, najotwarciej przyznający się do brutalności i barbarzyństwa duchowego swych bohaterów, wydobywa z nich jakiś prawie nieludzki skowyt bólu, skręcając sytuację dramatyczną w sposób robiący wrażenie ostatecznego zacisku śruby tortury. Najbardziej humanistyczny pisarz sceniczny Ameryki, Th. Wilder, zadawała się dramatem, odnajdując patos życia w codziennej rutynie „way of life” państwa-kontynentu i nie szukając zawodnych wyżyn tragedii.

V

Kompozycja współczesnej „tragedii niedość tragicznej” zbliża się do prostoty greckiego wzoru i sugeruje uniwersalność znaczenia pokazanych konfliktów. Miller mitologizuje treść dramatu postaciami tylko częściowo wciągniętymi w obręb akcji i zdolnymi przejąć zadania chóru. Z filmowym niemal realizmem często idzie w parze margines poetycki, ekspresjonizm czy symbolizm znacząco wyodrębnionej postaci. Dla nawiązania do czystości greckiej formy, autor usuwa wszystko co nie jest niezbędne dla węzła dramatu, podporządkowuje się jedności czasu i miejsca lub przynajmniej stosuje ich współczesny odpowiednik: zamknięcie akcji w środowisku ograniczonym, wąskim w jednej sekwencji wydarzeń. Całość, zaznaczająca zaledwie zasadnicze kontury sprawy dramatycznej, jest jak szkielet wielkiej, ponurej budowli.

U Williama pojawia się swoisty romantyzm, łączenie zwrotów poetyckich z wulgaryzmami; u Millera dialog zachowuje złudzenie potocznej mowy mimo celowości i oszczędności słowa. Język naturalistyczny i szorstki ma usunąć podejrzenie patosu wyłączonej możliwości symbolicznego znaczenia głównych postaci. Nie idzie mu bowiem o powtórzenie starożytnego mitu jak u Cocteau czy Giraudoux, lecz o odnalezienie pierwiastku mitotwórczego w sytuacji rdzenie amerykańskiej. Dramat wypaść ma tak jak gdyby autor trafił na ślad mitu który, zagubiony przez wieki, nie dotarł do naszych czasów w skryzalizowanej formie.

Najbardziej sprzeczne wpływy urabiają kształt artystyczny tych utworów. Gdy z jednej strony działa ambicja nawiązania do tradycji wielkiej literatury dramatycznej, z drugiej występuje wpływ filmu, oddziaływanie atmosfery scen nowojorskich, z trzeciej — gorączkowe dążenie do wyzwolenia się z konwencji teatru realistycznego. Zwarte związanie scen, brak przerw, pisanie techniką sztuki jednoaktowej obliczone jest na wzmocnienie wrażenia nieodwracalnej konieczności wypadków. W miarę rozwoju dramatu występują proporcje jakby spiętrzonych brył. Nowojorska inscenizacja „A View from the Bridge” jaskrawo ilustruje połączenie i kolizję tych tendencji: mieszkania dockerów pokazano w oprawie wysokich białych kolumn, występujących w pseudoklasycznej architekturze starszych domów Brooklynu, a zara-

zem sugerujących pokrewieństwo dramatu z czasami greckich świątyni. W rzeczywistości struktura sztuki przypomina barbarzyńską masowość kamiennych bloków.

W tragedii istot nie pojmujących własnego patosu, niedostatki bohaterów może niekiedy okupić siła i poezja języka, wnoszącego — jak np. w irlandzkich sztukach O'Caseya — jedność i plastyczność mowy ludu. W teatrze amerykańskim często poszukuje się folklorystycznej wierności dialogu mimo, że język niższych środowisk społecznych, zwłaszcza w mieście, jest tam żargonem urobionym przez brutalność trybu życia i brak tradycji rodzimej kultury. Kiedy Eliot odrzucał ostentację wiersza we współczesnym utworze dramatycznym, pozostawiała mu wyścieniana, aluzyjna proza języka warstw wykształconych, sama przez się układająca się w jambiczny pentametr. Williams i Miller, a nieraz nawet i O'Neill poczynają w tym wypadku przemawiać językiem, będącym ostatnim gatunkiem wielkomięskiego dialektu. W teatrze tragicznym, bez względu na epokę, istnieje wspólność między językiem sceny, a językiem widowni. Słowo ma majestat w teatrze, jeżeli posiada go w codziennej mowie widzów. Kiedy Wyspiański szukał tworzywa poetyckiego dla podwawelskich „greckich” tragedii, nie bez słusznej przyczyny zwracał się do form i rytmów języka ludowego. W podobnej sytuacji pisarz amerykański nie może się oprzeć na dialekcie ludowym, skoro będzie to albo mało oryginalny wytwór dalekiej prowincji albo niegramatyczny żargon złych ulic wielkomięskich, zabarwiony zależnie od dzielniccy nalotem kraju pochodzenia. Barwność i różnorodność nie okupią tu braku dotarcia do samych korzeni języka i zsumowania wieków poezji ludowej.

Sytuacja językowa ma odpowiednik w nieukształtowanej tradycji. Miller np. twierdzi, że jedynymi przeżyciami, jakie pozostały trwałe ślady w całym społeczeństwie amerykańskim są: wojna domowa stanów północnych z południowymi i kryzys gospodarczy przed przyjściem Roosevelta. Napływ emigrantów wprowadza do społeczeństwa ludzi, którzy albo zachowują własną, europejską tradycję, albo staną się grupami bez przeszłości historycznej. Tempo przemian społeczno-gospodarczych jest tak szybkie, zmiany w ogólnej świadomości tak radykalne, że zakotwiczenie w przeszłości dokonuje się z trudnością. Gdzie nie ma stałego, instynktownego współżycia z historią, gdzie istnieje odpowiedzialność wobec teraźniejszości i — coraz bardziej — wobec przyszłości, ale nie wobec przeszłości, tam nie rodzą się i nie rozwijają wielkie mity.

VI

W szkicu o „sztukach społecznych” Miller dowodzi, że w społeczeństwie niezmiernie zróżnicowanym trudno o dostateczną wspólność przeżyć. Podziały klasowe i kulturalne zwracają się

przeciw uniwersalności dramatu i rodzą sztuki z góry przeznaczone dla pewnej kategorii widzów, lub też wprowadzające bohatera, który wyraża tylko protest przeciw sytuacji życiowej i stwarzającemu ją porządkowi społecznemu. Ambicją Millera jest aby *całość* sztuki była protestem poprzez atak na przyjęte fałszywe wartości i wskazywanie właściwej hierarchii celów.

Wydaje się, że w „Death of a Salesman” uchwycił on typowy splot amerykańskiego konfliktu dramatycznego. Przedział między ojcem a synami, kontrast między optymistycznymi złudzeniami młodości a odkrytą na starość bezytecznością życia, rozdzwięk między światem mężczyzny i światem kobiety, a tym samym rozerwanie spójni rodzinnej — wszystko to trafiło w bolesne punkty zbiorowej świadomości i podświadomości.

W dramacie powojennym przeważa w Ameryce konflikt rodzinny, konflikt życia prywatnego, atakowanego przez mechanizm życia społecznego, rozstrząsanie stosunku między pokoleniami i niezadawalającej relacji uczuciowej między mężczyzną a kobietą. Uderzający kontrast wobec zainteresowań teatru europejskiego, pochłoniętego — na swym najwyższym szczeblu — konfliktem prawa moralnego i prawa państwowego, zagadaniem samodzielności i indywidualności człowieka sprowadzanego do statycznej roli przedmiotu fatalistycznej formuły historii. W dramacie europejskim decydujące sceny rozgrywają się po wojnie między zwierzchnikiem, a podwładnym, między przedstawicielem władzy, a obywatелеm; w dramacie amerykańskim między ojcem a synem, między przedstawicielem starszego pokolenia, a reprezentantem przyszłości.

Więcej w tym jednak biologicznego kontrastu starości i młodości niż ideologicznego starcia pokoleń. Można by to nieraz określić jako dialog między sceptycyzmem doświadczenia i rozczarowania a optymizmem naiwności. Absolutny kult postępu i pędu w przyszłość czyni teraźniejszość bardzo kruchą i podważa znaczenie przeszłości. Prawdopodobnie w każdej kulturze technologicznej pokolenie, które przeszło przez zenit aktywności życiowej, będzie się czuć nieszcześliwe. A gdy w parze z tym idzie przedłużenie ludzkiego życia, w nastroje społeczeństwa zaczyna się wsączać nowy prąd.

Po angielsku „frustration” ma smak bardziej cierpki niż polski odpowiednik tego słowa. Jeżeli „frustration” w życiu rodzinnym i społecznym jest częstym motywem w sztukach Millera, podobne „niespełnienie”, nienasycenie i zawód w życiu erotycznym powtarza się w sztukach Williamsa. Dziwi uporczywość tych negatywnych motywów w utworach dwóch najgłośniejszych dramaturgów średniego pokolenia, gdy można by oczekiwać iż kultura amerykańska, dumna z imponujących osiągnięć materialnych, wyda dzieła broniące jej niezaprzeczalnych zalet. Tymczasem literatura ucieka od realizmu i optymizmu amerykańskiej Północy, w Stanach Południowych szukając rezerwu romantyczności, pamiątek minionych czasów i ludzi o niestępienie sile prymitywnych instynktów.

U podłoża tych zjawisk tkwią różne przyczyny. Autor dramatyczny bywa skłonny do gorzkiej krytyki społeczeństwa utilitarnego, w którym nie posiada uznanego miejsca i które na ogół woli by je bawił niż oświecał. Rozwiązanie głównych trudności ekonomicznych usuwa napięcie społeczne i nie sprzyja żywej reakcji na ideologiczne czy krytyczne interwencje sztuki. Masowość produkcji, tłumna zbiorowość życia i pracy wydaje w końcu odruch protestu i prowadzi, na swym drugim krańcu, do przerosłów indywidualizmu. Symboliczny bohater pierwszego epizodu „Camino Real” T. Williama mówi „It would be selfish of me to be lonely alone” (Byłoby samolubnie z mej strony samemu pozostawać samotnym).

Z odruchu zwróconego przeciw tendencji niwelowania, przeciw statystycznemu traktowaniu człowieka wynika powtarzający się motyw obrony własnego imienia, żądanie szacunku dla życia dokonanego na tej ziemi, choćby życia pospolitego. Śmierci Lomana z „Death of a Salesman” autor towarzyszy słowami: „Attention, attention must finally be paid to him”. Sytuacja rodziny, klanu rodzinnego, znów jest podstawą dramatu w głośnej sztuce Millera o charakterystycznym tytule „All my sons”, gdzie ze sprawą rodzinną łączy się odpowiedzialność za wypuszczenie na rynek wadliwych silników samolotowych.

W krytyce współczesnych form cywilizacji nie idzie Millerowi o ustrój polityczny, ale o powstający typ kultury, łączący się z wielką produkcją przemysłową zarówno w systemie kapitalistycznym jak i w komunistycznym, na który zaczynają działać wymagania racjonalizowania warunków pracy i życia na wzór dostosowującego się do konieczności produkcyjnych i handlowych nowoczesnego kapitalizmu. Jest w tym ambicja odsłonięcia sprzeczności, ukrywających się pod błyskotliwą powierzchnią, dotarcia do rozpacz, zawodu lub nudy i utraty witalności zjawiającej się poza zewnętrznością energicznego i optymistycznego życia i efektowną fasadą statystyk.

W Nowym Jorku grano jednoaktową sztukę Millera — „A Memory of Two Mondays” (Wspomnienie dwóch niedziel). Rzecz dzieje się w olbrzymim składzie zapasowych części samochodowych, którego pracownicy są swoistą historią ostatnich lat — bo nawet ich własne życie układa się według chronologii wchodzenia na rynek kolejnych marek i modeli samochodów. Symbol oczywisty: skład przedstawia obraz technologicznego świata, zaplątanie się w gmatwaninie środków służących do zdobycia zapomnianego celu.

Zatrudnieni tam ludzie mają się dobrze materialnie, starczą im na hazard, niedzielne szaleństwa i zmienianie modeli własnych aut. Gdy jednak pewnego dnia postanowili oczyścić z sadzy kominów fabrycznych wielką szklaną ścianę, by wpuścić do hali jasność światła, blask nieba i wspaniałość nocy — mimo woli odtworzyli sobie widok na wyrosłą na przeciw kamienicę i otwarte szeroko okna domu publicznego. Pomysł jak z naszego

Szaniawskiego — symbol zresztą rażący, bo zbyt prosty i oczywisty.

W sztukach wychodzących spod wielu różnych piór powtarza się uporczywy motyw „marzenia na jawie” kompensującego monotonię życia. To złudzenie nieograniczonych możliwości życiowych, trwanie w mirażu mającego nadejść lada dzień powodzenia jest charakterystyczną cechą kultury wciąż nastawionej na przyszłość i nie bardzo pewnej wartości obecnych. Synowie Lomana śnią o fantastycznych sukcesach, które nigdy nie będą ich udziałem. Z fałszywych marzeń obudzą się u progę starości. Mała Frankie Adams z „Member of the Wedding” Carson McCullers, widzi siebie w roli kobiety znanej całej Ameryce dzięki występom radiowym. Są to halucynacje bohaterskie, optymistyczne, coś w rodzaju narkotyku demokracji i triumfów techniki. W atmosferze powodzenia i sukcesu uderza potrzeba zwrócenia się do tłumu, znalezienia podpory w konformizmie, w złaczeniu się ze zbiorową duszą poprzez ucieleśnienie ideału mas.

McCullers na przykładzie kryzysu wieku dojrzewania pokazuje lęk przed przyjęciem ciężaru odpowiedzialności i jedną z ważnych sprzeczności zbiorowej psychiki społeczeństwa amerykańskiego. Krańcowy indywidualizm trafia tam na przeciwnym biegunie na potrzebę tradycji, norm ujednoczonych i uświęconych przeszłością; ambicja nowoczesności nieraz idzie w parze z bałwochwaltwem antyków.

Potrzeba konformizmu doznaje zaspokojenia, gdy jest jasne co stanowi zakres zgody, a co dziedzinę protestu. Linia rozgraniczająca potrzebny, twórczy konflikt i podstawową łączność ze społeczeństwem wysnuwa się dopiero z doświadczeń historii, z powolnego dojrzewania zbiorowej kultury narodu. Jeżeli pojęcie „my” pozostaje mgliste, a „ja” musi bronić się przed naporem niedojrzałej zbiorowości, tragedia jako sąd nad losem ludzkości i nad kulturą społeczeństwa nie jest w stanie odwołać się do wartości dostatecznie uznanych i odczuwanych. Zbyt mała część kultury narodowej weszła w świat mitu, w dziedzinę narodowej religii, a zbyt znaczna pozostaje w sferze doświadczenia.

Czemuż w takim razie w dramacie amerykańskim wystąpiła wyraźna ambicja stworzenia dzieł tragicznych? Przy wszystkich poprzednich zastrzeżeniach wydaje się, że atmosfera amerykańskiego życia ma zbliżony do teatru greckiego stosunek do bohatera nie jako do określonego wzoru moralnego ale jako przykładu imponującego wysiłku, próby przekroczenia granicy samego siebie. Grecki *agon*, walka o wydobycie maksimum ludzkich możliwości dobrze zestrza się z dynamizmem Nowego Świata.

Alle poczucie konieczności ujęcia spraw ludzkich w kategoriach tragicznych jest także owocem częściowo pożądanego, a częściowo niebezpiecznego sceptycyzmu i pesymizmu, jaki wśród inteligencji zaczyna zajmować miejsce poprzedniej bezkrytycznej wiary w postęp. Jeszcze do niedawna przeważało pojmowanie świata w kategoriach racjonalistycznych i mechanistycznych. Dziś

rzeczy wydają się mniej proste. Nauka rozwiązuje zagadki przyrody, jest wszakże nadal bezsilna wobec tajemnicy człowieka, który ją tworzy i który ją wykorzystuje. Uzyskano środki materialnego zniszczenia w świecie o prymitywnej ciągle znajomości psychologii. Z przeświadczenia, iż niemal wszystko można zmienić i odwrócić w „porządku stworzenia” literatura, jako wyraz podświadomej filozofii mas, przechodzi do przeciwnej wiary, iż istnieje granica zmian, prawdopodobnie granica tragiczna, z którą zderzyła się ambicja *homo sapiens*. Dla czołowych pisarzy amerykańskich (Miller, Faulkner) będzie to groźny nawrót do „systemu zamkniętego”, do koncepcji świata, w którym wywalczona przez ludzką historię ewolucja pozostaje w rażącej dysproporcji wobec czynników niezmiennych. Czyli: nikość doświadczenia wobec zakresu tajemnicy. Z tym słowem powracamy w krąg tragedii. W krąg pesymizmu kulturalnego. Tragedia bowiem jest odważnym, spokojnym, wzniosłym, a więc i przezwyżejającym przyjęciem zasadniczo pesymistycznej oceny „la condition humaine”. Całkowite przejście pod jej majestatyczne, czarne skrzydła jest zjawiskiem płodnym artystycznie, ale niezbędnie społecznym. Wielka sztuka rodzi się z cierpienia, zdrowe społeczeństwa ze szczęścia. Przesadny pesymizm odradza w końcu szkodliwe mity, korektura racjonalizmu i upojenia dynamiką życia nie musi być negacją sceptycyzmu, zwykle poprzedzającą wybuch irracjonalnych wier.

Zdzisław BRONCEL

Czy należy zabić Buffeta ?

Tkwiąc w swojej robocie malarskiej (wystawa w Paryżu w czerwcu i zaproszenie na wystawę jesienią w Warszawie) miałem mocne postanowienie nie pisać. Ale jak tu milczeć, kiedy każdy dzień przynosi tutaj nowy temat, który nie to, że chciałoby się omówić, ale zdaje mi się omówić trzeba. Może Redaktor mi pozwoli na ten miesiąc napisać do „Kultury” nie artykuł, ale prędzej coś w formie listu do przyjaciela: parę sformułowań z konieczności pośpiesznych.

Czytam z prawdziwym zainteresowaniem próbę B. Urbanowicza w warszawskim „Przeglądzie Artystycznym” rozsegregowania abstrakcjonistów na „gorących” i „zimnych” na cerebralnych, scjentystów — od Mondriana i Kandinskiego i na obrońców spontaniczności, intuicjonistów, taszystów, przeróż-

nych przyjaciół Pollocka, czy znów stronników kaligrafa Hartunga.

Otrzymuję jednocześnie z Krakowa list od studenta. Brał on udział w zebraniu dyskusyjnym w Nowej Hucie, w pełnym po brzegi Klubie Książki i Prasy; zebranie zorganizowano z powodu wystawy trzech malarzy: Kantora, Sterna i Jaremiarki. Oto ustęp z jego listu : „nie jestem wielbicielem Kantora, wiecznie potrząsającym „nowości kwiatem”, toteż, gdy się tam wybierałem, siedłem bez serca, ale przed odczytem obejrzałem obrazy jeszcze raz i parę jego taszystowskich obrazów nadspodziewanie spodobało mi się. Na odczycie przemawiał między innymi J. Woźniakowski. Mówił ze swadą, z wiedzą i z przekonaniem o tym, jak malarstwo odrywało się, odchodziło od „przedmiotowości”; podzielił to na trzy rozdziały: dekoracyjność, ekspresja czy metafora, przenośnia, plastyczny ekwiwalent nietyle przedmiotu ile stanów, względnie działań. Słuchaliśmy z coraz większym zaciekawieniem, po czym wybuchła dyskusja. Wstał pewien wykwinny, starszy pan i powiedział nam, że po 20 latach wrócił z zagranicy, że widział wszystkie galerie świata, ale to co się u nas maluje to chuligaństwo i deprawowanie młodzieży, że naszym jest niemoralny itd. Dostał wcale huczne brawa. Potem przemawiali kolejno młodzi, niektórzy świetnie, najzupełniej bez pozy, prosto, odpowiedzialnie, z czuciem — wszyscy *pro* malarstwo abstrakcyjne. Po odczycie poszliśmy na wystawę, przed każdym obrazem — dyskusja (młodzi: robotnicy? mechanicy?) zasypywali Woźniakowskiego świetnymi pytaniami, starszy pan się wtrącał, ale go zjadali. Wróciłem uradowany, zbudowany, podniesiony na duchu...”

Przyjechał do mnie pewien młody malarz z Polski. Pokazał mi parę przywiezionych płócien i sporo rysunków. Był niewątpliwie zdolny; w pejzażach była żywa obserwacja natury i nie tylko reminiscencje chełmońszczyzny ale i impresjonistów. W rysunkach były wyraźne ślady wpływów „pisma” Van Gogha. Patrząc na te obrazy, na te rysunki byłem dziwnie zakłopotany dlaczegoś zdawały mi się jakąś daleką przeszłością, czymś już nieraz widzianym, jakby się czas zatrzymał i to nie w znaczeniu przewyżczenia czasu, ale powtórek z epoki, której już nie ma. Namawiałem malarza by się zainteresował abstrakcjonistami i półabstrakcjonistami od kubizmu do taszystów, żeby patrzył na Picassa, Bracque'a, na Klee, na Miro itd. Cały ten świat przeżyć artystycznych brakował mu.

I nagle rzuciły mi się w oczy dwie rzeczy. Ile sam temu malarstwu zawdzięczam, choć jestem mu bardzo daleki i drugie: cóż za różnica klimatu między Polską a Francją tego co jest tu czy tam wyczuwalne jako żywy nurt sztuki, jaka różnica w *czasie* tego narastania, dojrzewania pewnych prądów. Pomimo samolotów i reprodukcji kolorowych, jakich świat nie widział, zdała mi się ta różnica czasów, między Francją a Polską, niezważona, ale jakby znów wydłużona.

Wybuch impresjonizmu odbył się u nas o jakie dwadzieścia lat później niż we Francji, formiści na terenie Polski podjęli problematykę kubistów i futurystów po Pierwszej Wojnie Światowej, ale we Francji kubizm to 1907 rok („Les demoiselles d'Avignon” Picassa), futurysty na Zachodzie to także przynajmniej od początku roku 1910 r.

Wystawa Bonnarda w 1925 robi nagle w oczach ówczesnej moderny paryskiej z malarza — „zacofańca impresjonistycznego na trycyklu” — nowatora; kapiści ze swym kultem Bonnarda zaczynają mieć wpływ w Polsce dobrze po roku 1930.

A dzisiaj? Tu sobie uświadamiam, że za to, co powiem, niejedynemu w Polsce głowę by mi urwał, albo ją zmiażdżył ciężkim tomem Seuphora „Dictionnaire de la Peinture Abstraite” (1957).

Otóż moje głębokie przekonanie, że jeżeli Polska przeżywa dziś miodowe miesiące abstrakcjonizmu (jakże temu posłużyły tepe lata obowiązkowego socrealizmu) to tu, we Francji, prąd ten, który rozlał się po całym świecie tysiącem potoków, jest na wykończeniu, jak impresjonizm około 1907 r. Gdybym żył w Polsce, na pewno broniłbym abstrakcjonizmu razem z Woźniakowskim, tak jak tu namawiałem malarza z Polski, by się abstrakcjonistom dobrze przyjrzał i próbował ich przeżyć, bo to doświadczenie musi być w Polsce przeżyte do dna — ale cóż mam zrobić tu, w Paryżu? Jeżeli o mnie chodzi, mam ochotę poza bardzo rzadkimi wyjątkami, jedynie na nich urągać, a gdy obrazy abstrakcyjne oglądam — wyć z nudy. Już sama ilość wystaw abstrakcyjnych zniechęca, tak, jak ilość wstępów do nich na glansowanym papierze, gdzie wszyscy ci malarze są zachwalani stylem wysoce filozoficznym, gdzie wszyscy są ezoteryczni, magiczni, liturgiczni, mityczni i bezgraniczni. Wszyscy oni piszą o swej „czystości absolutnej”, „ostateczności idealnej” i „akcie czystym”, a jeden z krytyków i czelowych malarzy abstrakcjonizmu pisze we wstępie do wystawy w jednej z najgłośniejszych moderne-galerii (Stadler, na Rue de Seine) o „pentheisme hypercomplexe”, o „inductance du sacrifice”, o „densité aristocrate, eolipyle redoutable”, „structure post-cantorianne et contenu post-Nietzscheenne” — to wszystko cechuje jakoby *Człowieka Współczesnego*. I proszę nie myśleć że ja to wymyślam, te wszystkie określenia przepisuję z garści katalogów, które mi spadły na głowę z półki nad łóżkiem, gdzie je zwykle składam.

To malarstwo ma na pewno do dziś garść wyznawców szczerych, utalentowanych i wiernych do końca, ale obrasta takim grzebieniem pompatycznej frazeologii, taką błagą i reklamą obskurną, takim nabieraniem głupców hucpą pseudofilozoficzną, że wbrew szlachetnym wyznawcom idzie ku coraz bardziej wątpliwej, coraz płytszej delektacji, gorączkowemu poszukiwaniu coraz to nowej, czysto formalnej oryginalności i jakiejś nie do zniesienia arogancji i nudy. To są znaki, że ten kierunek jest na wykończeniu wbrew sukcesom w Paryżu i, o wiele większym jeszcze, w Londynie i Brukseli, wbrew szalom

wyznawczym, które już w 1955 roku obserwowałem sam w Brazylii, a które dziś ogarnęły i Polskę.

Kiedy cały świat malował jasne płótna z topolami, mgłami i chmurami, a każdy malarz wychodził z paletą na pejzaż i kładł cienie niebieskie („jak nie wiesz co kłaść w cieniu kładź ultramarynę”), impresjonizm jako ruch dynamiczny był już pogrzebany: pożarli go epigoni. I przyszedł kubizm, jako słuszną i konieczną reakcją. Kierunki giną nie przez to co odkrywają i czego bronią, ale przez to co przekreślają. Naturalizm doprowadzony do absurdu, to znaczy naturalizm, który zagubił sens konstrukcji, zmyśl formy, *musiał* wywołać drugą niemniej skrajną reakcję — abstrakcjonizm; ale żywot abstrakcjonizmu znów kierunku kalekiego, który odrzuca „pryncypialnie” naturę, tę naturę, którą widzi oko, jest również skazany.

Za to błyszczyć będą zawsze, jak gwiazdy na niebie, tacy twórcy, jak Rembrandt czy Vermeer, jak Cézanne czy Degas — mistrzowie, którzy do końca walczyli w sztuce o *pełnię*.

Przecie dla konsekwentnego abstrakcjonisty już jest herezja wsteczną zdanie Picassa: „nie ma sztuki abstrakcyjnej, trzeba zawsze zacząć od czegoś”. Można potem odjąć cały pozór realizmu, nie ma już wtedy niebezpieczeństwa, bo idea rzeczy zostawiła ślad niezatarty”.



Niedawno odwiedził mnie kulturalny Polak z Warszawy, architekt, entuzjasta malarstwa. Próbował mi tłumaczyć w czym widzi wielkość malarstwa w Paryżu: że indywidualności tej miary — tak absolutnie różne — jak Picasso i Rouault, jak Léger i Braque mogą współistnieć: „nigdy w Polsce nie zdobylibyśmy się na taką odwagę”. Miałem wrażenie, że mój rozmówca nie umiałby wybrać wśród szeregu nazwisk tak bardzo zachwycał się wszystkimi artystami tej już dzisiaj generacji starców na wymarciu. Chciałem się od niego dowiedzieć czy odkrył *nowych* malarzy wśród młodych czy względnie młodych.

„Bissiere!” odpowiedział mi po namyśle. „Ależ Bissiere (maluje dźwięczne płótna — dywany z kolorowych plam) ma ponad 70 lat” — Co pan mówi o Buffecie?” — spytałem. — „Tego trzeba *zabić*”. — Reakcja była natychmiastowa i całkiem szczerą. Nie była również dla mnie niespodzianką. Ileż razy słyszałem już przeciw Buffetowi gwałtowne wypowiedzi.

Bardzo kulturalna dyrektorka paryskiej księgarni wydawnictwa artystycznych mówi mi, po obejrzeniu zbiorowej wystawy artystów: „Zawsze broniłam Buffeta, ale ta retrospektywa! Wychodząc chciałam się myć. To jest obrzydliwe!”

Te odruchy prawdziwej wrogości do Buffeta (wobec jego obrazów sam stawałem nieraz pełen wątpliwości) *mnie cieszą*. Wystarczy przejrzeć artykuły pisane o Buffecie przez malarzy (np. Amfreville w „Combat”), rozmawiać z malarzami czy „este-

tami", by widzieć jak nawet dobroduszni, nawet zblazowani ludzie na dźwięk tego nazwiska nakładają skóry tygrysów czy padalców. Nie chodzi o zazdrość materialnego sukcesu — gra ona zapewne, ale pobocznie — ostatecznie takiego sukcesu pragnąłby każdy malarz, jeżeli nie zawsze, to w każdym razie w pewnym okresie swego życia, ale Buffet przecina jakiś węzeł gordyjski i to oburza. Podchodzi z prostotą do zagadnień, które nasza generacja uznała za nie do rozwiązania na innej niż wsteczna drodze i dlatego tak pragnie i Buffeta uśmiercić, umieszczając go w obozie rreacji.

Znam malarkę wystawiającą na wszystkich salonach jesiennych i innych, która zaręczała, że nie lubi patrzeć ani na naturę ani na twarze, ani na żaden przedmiot, bo mać to jej wizję abstrakcyjną. A nuż do tej wizji nowoczesnej anielićby wkradłby się nagle jakiś element przedmiotowy? Bo dla pewnego typu dzisiejszej moderny wszelka aluzja do rzeczywistości, *tej którą widzi oko*, jest już dyskwalifikacją artysty.

Retrospektywa Buffeta tej zimy, w Galerie Charpentier: sto płócien, wśród których są świetne (a niektóre bardzo złe, jak np. zbiorowy portret Goncourtów) to więcej niż retrospektywa utalentowanego malarza, to jest jakieś odwrócenie strony, to odbicie się od abstrakcjonizmu, to znowu spojrzenie bezpośrednie, nagie na świat otaczający. Buffet, poprzez rzadki dar prostej kompozycji, ostrą wrażliwość na kolor, rysunek suchy, okrutny, nawracający do przed-cézannowskiej klasycznej perspektywy, mówi nam o sobie i świecie. Jego sztuka zaczyna znów palić — to nie figa ucukrzona.

„Co myśli pan o sztuce abstrakcyjnej”, pyta Buffeta wyślanik „Arts”. Buffet odpowiada: „Jestem gwałtownie przeciwny... uważam, że eksperyment abstrakcyjny jest ślepa ulicą. Chciano to przedstawić jako najwyższą formę ewolucji intelektualnej. To jest paradoks. To zmęczeniu intelektualności wymyślili tę dumną formułę: abstrakcja to ucieczka...”

Zdaje mi się jednak, że Buffet to nie tylko wyraz sztuki odrywający się od panującej afiguralnej czy antyfiguralnej abstrakcji. Jest to również wyraz pewnej wizji świata, która wyraża się w odwróceniu się, odbiciu się od pewnego typu estetyki, któremu Picasso chyba daje wyraz najpełniejszy czy w każdym razie najbogatszy. Tu może „odwrócenie strony” Buffeta jest najbardziej znaczące.

Wypadkowo oglądałem małą wystawę Picassa — rysunki z 1947 r. z Vallauris — zaraz po wystawie Buffeta. Na papierze tak pięknym, że chciałoby się ten papier jeść jak śmietanę, na papierze, na którym każda kreska ołówkiem jest już sama w sobie zachwycająca — wielkie rysunki czysto linearne, kobieta jak amfora z potężnymi balonami piersi, dziwni mężczyźni z brodami jak liście, a ciałami jak z gumy, jedną linią oddana ewokacja morza, słońca czy plaży. I znów przeżyłem przed Picassem to co już przeżywałem tyle razy przed obrazem, rzeźbą, talerzem czy rysunkiem tego artysty. Aż mnie zatkał swoim

smakiem; zawsze to samo uczucie niespodzianki, zabawy, kombinacja niesłychanego bogactwa źródeł, reminiscencji (nie darmo już Basler pisał o jednej z wystaw jego rysunków „rysunek poprzez wieki”). Z czego, z czego Picasso nie robi Picassa, od malarstwa prehistorycznych grot, po rzeźby barokowe czy postacie z gobelinów, od masek murzyńskich po najbezpośredniejsze przeżycie twarzy kobiecej czy gołębia w klatce, czy jabłka na talerzu. I to wszystko połączone z jedynym w swoim rodzaju zmysłem sensacji coraz to nowej. Tak Dior co roku wypuszczał nowy kształt sukien, czy kapeluszy. Bogactwo, wyrafinowanie, fantastycznie nawarstwiony eklektyzm kulturalny i tysiące smaków i smaczków, od najbardziej cierpkich do najśodszych, i wszędzie (prawie wszędzie) lwi pazur genialnego sztukmistrza.

I naraz obok niego wyrasta smutny prostak — młody Buffet. Człowiek z obsesją, z „fabryką” obrazów, gdzie rysunek zdaje się wykonany spawaczem, gdzie twarze są zawsze te same przez lata, bo wciąż wraca ta sama półkońska twarz, brutalna karykatura młodej i sympatycznej twarzy samego artysty. Gdzie tu miejsce na królewską picassowską zabawę!

„Poza mną jest świat bolesny wrogi, niebezpieczny, wszyscy mają chyba to uczucie” — mówi malarz w którymś ze swoich wywiadów. — „Odczuwam ogromną trudność komunikowania się, a z drugiej strony wiem, ile cierpienia dać może wszystko co idzie do mnie z zewnątrz”.

Jakże „Musée imaginaire” Buffeta jest wąskie w porównaniu z Picassem. Ma się wrażenie, że po podróżach, po prehistorii, po Murzynach Nowej Gwinei, Azji czy Meksyku wracamy z Buffetem na nasze drogie, europejskie podwórko. Bo kiedy Buffet mówi o malarzach, cytuje Courbeta i Rembrandta. Iluż znam malarzy, którzy *udają*, że ich „Musée imaginaire” jest równie rozległe jak Picassa czy Malraux i prawie wstydzą się wspomnieć Courbeta czy Rembrandta. Musi być przynajmniej Pierro della Francesca, o którym tyle pisze Malraux, ale jeszcze lepiej jest cytować Tybet, Elefante, płaskorzeźby Barabadur, czy maski Nowej Irlandii.

U Buffeta są jeszcze inne ślady wpływów czy tylko pokrewieństw: na pewno musiał podziwiać Modiglianego (*); na niektórych obrazach znów widzimy wyraźne powiązania z Vuillardem: kobieta na żelaznym łóżku, na tle okna i białej ściany, drugi obraz — mężczyzna na żelaznym łóżku, na podobnym tle, oba obrazy w bielach i szarościach z szarymi cieniami o najprostszej, jakże subtelnej grze; wąski i wysoki obraz morza z paru statkami i z siedzącym na pierwszym planie chłopcem w kostiumie kąpielowym. Wszystko w szarych brązach. Ileż w tej grze, tak wąskiej, jest właśnie vuillardowskiej muzyki. Jego ry-

(*) Chociaż może w porównaniu z Modiglianem najsilniej czujemy czego Buffetowi brakuje: odkrywczego aż tkliwego daru psychologicznego.

sunek jest nieraz schematyczny, zbyt schematyczny; jego kolor to wielkiej delikatności, to znów gwałtowny wydaje mi się prawie zawsze niezmiernie malarski, z wyjątkiem niektórych obrazów, gdzie zdaje się świadomie koncentrować wyłącznie na rysunku pędzlem na czystym walorze.

Sam sobie nie umiem wyjaśnić o co tu chodzi, ale to, co budzi sprzeciw większości dzisiejszych smakoszy i estetyków sztuki to chyba nie ten czy inny rysunek, ta czy inne gama barw, ale nowy stosunek do rzeczywistości, tak inny od Picassa, od Klee, a już tym bardziej od całej hurmy pomondrianowskich, czy taszystowskich malarzy. Naraz u Buffet'a człowiek, przedmiot znów żyją swym własnym, dotkliwym życiem, które nam sztuka Buffet'a narzuca. I to właśnie jest „bezgust” dla każdego malarza, z którego obrazu abstrakcyjnego można zrobić efektowny szalik damski czy wytworną dekorację sklepu na Faubourg St. Honoré.

Ale co to jest gust? Niedawno mówiła mi o Matisse'ie ubierająca się w największych domach mój kobieta: „Cóż za smak — *pas une seul faute de goût*”. Jestem przecie dość stary, aby pamiętać, że takie same eleganckie kobiety uważały malarstwo „wariata” Matisse'a za szczyt bezgustu.

Serpan — jeden z czołowych malarzy abstrakcyjnych Paryża — w uczonym wstępie do wystawy swych płócien (drobny mak czarny na ogromnych białą farbą zalanych płótnach) w Gallerie Stadler, tłumaczy do jakiego stopnia malarstwo pozbawione „de sousabement objectifable”, jest dopiero całkowicie *wolne*, bo formy ekspresji nie mają granic i wskutek tego malarz może wszystko — może każdego dnia pójść w jakimkolwiek chce kierunku, bo nie ma żadnej hierarchii wartości, ani sprawdzianów krytycznych. Malarz może wyrażać co dzień inne, czysto cerebralne koncepcje. Otóż sztuka Buffet'a jest na drugim biegunie takiego ujęcia — *nie jest wolna*, bo sam malarz nie jest wolny: jest jak zamurowany w jedynej, własnej wizji świata; przez swój krzyk malarski próbuje wyrwać się z samotności. Ten świat własnej wizji Buffet'a nieustannie rozszerza ostatnim wysiłkiem woli i świadomości — jego wystawa w Gallerie David, zorganizowana równocześnie z retrospektywą u Charpentiera, z obrazami ilustrującymi życie Joanny d'Arc, jest tego przykładem.

Te wielkie płótna, malowane gwałtownymi zestawieniami kolorystycznymi, gdzie twarze są już inne niż wiecznie ta sama końska i karykaturalna z dawnych płócien — to próba przedstawienia pewnych epizodów historycznych. (Dlaczegożby nie miał malarz być *znowu* ilustratorem? Czy Goya nie „ilustrował” wojny, czy Giotto nie „ilustrował” żywota Św. Franciszka z Assyżu?) Złoto i czerwienie tła, czerwienie szat biskupich nad czarnobiałym kaflowaniem podłogi w jednym z obrazów, gwiazda z promieni, przeszywających Joannę d'Arc na ciemnych schodach zamku, o kolorach gwałtownych i jednocześnie niesłychanie prostych, czernie i niebieskości koło twarzy Karola VII w

obrazie koronacji — psychologia twarzy jest jeszcze uboga, Buffet jakby się jeszcze nie wydarł z monotonii i schematyzmu twarzy — to dla Buffet'a nowa „wyprawa” malarska, jeszcze jedno świadectwo walki wręcz z sobą samym i światem.

„W naszej epoce, gdzie się wie tyle rzeczy — pisze Buffet jako wstęp do swej wystawy — gdzie jest tyle geniuszów, a inteligencja nikogo nie pominęła, muszę przyznać, że nie wiem nic, że geniusz nigdy mnie nie nawiedził, bo jestem zmuszony tak bardzo pracować, i że inteligencja też się ze mną nie spotkała, bo od czasu jak maluję jeszcze nie zrozumiałem rzeczy, które są jasne dla większości, a przede wszystkim nie umiem mówić ani o swoim, ani o cudzym malarstwie”.

Ten związły, z lekka ironiczny tekst jakże odświeża nas po wstępach i komentarzach, do których przywykliśmy!

Gdy niedawno pewien malarz atakował Malraux, ten ostatni zaśmiał się i odpowiedział: „Proszę pana, kiedy mnie malarze atakują to im zawsze mówię: „Cóż mnie atakujecie, któż z was zrobił bogów jeżeli nie ja?” I Malraux ma rację. Jeżeli szeroka publiczność jest bardzo daleka od traktowania zbyt poważnie malarzy, to przecie najlichszy malarz, po przeczytaniu „Głosów Milczenia” czuje się nagle kapłanem, kapłanem dziwnego kultu, o którym Malraux tak pisze, jakby insynuował, że to właśnie jest religia i jedyną religią przyszłości, po śmierci wszystkich innych. Zdaje mi się, że Malraux zrobił nam, malarzom, wyhuśtawszy nas tak wysoko, najgorszą przysługę. Nie wierzę w malarstwo bez ciszy i pokory. Cóż za naukę dał nam Dürer ze swoją radą studiowania jak najdłużej natury stworzonej przez Boga, „badania przedmiotów” i „nasiąkania nimi”, co za naukę pokory dają nam Corot: czuł się tylko małym skowronkiem w porównaniu z orłem, Teodorem Rousseau, tym malarzem już dziś prawie zapomnianym, który całe życie spędził studiując drzewa; mówił, że człowiek, który maluje drzewa, a umie tylko zrobić z nich piękną arabeskę jest dobry na tapicera albo handlarza perfum, nie na malarza. Jaką nauką pokory jest dla nas półślepy stary Degas, który wprowadzając kogoś do swojej pracowni, zawalonej tysiącami rysunków i studiów, sprzedawanych już wtedy przez marchandów na wagę złota, powiedział: „Kilka z tych rysunków zostanie”.

Może czas byłoby powiedzieć malarzom gręczącym w gęstwinie dumnych frazesów, że oni są niczym, że w rzadkim i najlepszym wypadku są sługami prawd wiecznych, o których sami wiedzą tak niewiele. Po teocentryzmie średniowiecznym, gdzie malarz żył i pracował, tak samo skromnie jak dzisiaj szwec ześluzujący buty za szybą na rogu ulicy, po dzisiejszym ubóstwie artysty, wielkiego kapłana wielkiej religii ku czci człowieka przez duże C, jest może czas zdegradować go z tej fałszywej wielkości, fałszywego boga.

Wbrew pozorom: reklamie i sukcesom pieniężnym, o które nigdy nie zabiegał „ograniczony” Buffet, to struga świeżej krwi,

to znowu sztuka o życie zahaczona, to nieustanne, bezpośrednie, żywiołowe starcie artysty z otaczającym go światem ludzi i rzeczy, tym światem które *widzi oko malarza* i od którego abstrakcjonści odwrócili się plecami.

Józef CZAPSKI

List z Kresów

Zapoznanie się z geografją kulturalną Emigracji nie należy do spraw skomplikowanych; poza Paryżem i Londynem rozciąga się na kulę ziemską polonijna prowincja, inna w Australii, Belgii czy Kanadzie, mniej lub więcej zażywna i liczebna, wszędzie podobnie — powiedzmy grzecznie — PROWINCJONALNA.

Nikt nie umniejsza zasług ofiarnej działalności polskich parafii, szkół i sobotnich szkółek ani trwałych osiągnięć organizacji społecznych, kombatanckich i oświatowych; dziwi jedynie fakt że przedsiębiorczość kulturalna Polonii ogranicza swój rozmach głównie do szczebla elementarnego, bez ambitniejszych przedłużeń. Nagabywani, Ojcowie polonijni odpowiadają że dobrze jest jak jest, że aktywność kulturalna „stołecznych” ośrodków w zupełności zaspakaja ambicje „terenu”, że paryska „Kultura” i londyńskie „Wiadomości” — a od 1956 roku i pisma krajowe — dostarczają dość strawy intelektualnej z zakresu problematyki ogólnonarodowej; o informacje bieżące troszczy się prasa lokalna.

Powyższe rozumowanie — głęboko zakorzenione w polonijnej tradycji — wypływa z błędnego przekonania o istnieniu Emigracji jako niepodzielnej całości, wewnątrznie scalonej, kulturalnie i politycznie scentralizowanej a więc w jakiś sposób uzależnionej od ośrodków dyspozycyjnych, stojących u szczytu hierarchicznej piramidy. A przecież diaspora polska nie jest niczym innym jak zespołem silnie zróżnicowanych społeczności rządzących się de facto własnym prawem, ulegających przemianom w zależności od warunków kraju zamieszkania.

Prowincjonalizm życia Polonii Kanadyjskiej, wszechwładnie panujący kompleks Pipidówki, brak kulturalnego klimatu, nie przejawiająca większych ambicji prasa lokalna — wszystko to jest pośrednią konsekwencją programowego życia „na stołecznym garnusku”, stanowiska, którego w dzisiejszym układzie stosunków nic już nie usprawiedliwia.

Z nieodpartą siłą sugestii nasuwa się analogia pomiędzy mapą terytoriów kulturalnych Polski sprzed 1939 roku a rozmieszczeniem poszczególnych Polonii, do czego upoważnia przede wszystkim tradycja tworzenia skupisk etnicznych, „trzymania się razem”. Zamieszkała przez grupę polską dzielnica kanadyjskiego miasta nabiera charakteru nadgranicznego osiedla, w rodzaju trzyjęzycznego Pińska, z całym bogactwem i niedoborem podobnego współludźnia. Dziś, gdy kilka milionów pełnokrwistych Polaków przeniosło domy do Argentyny, Australii, Ameryki i Kanady — czy to po prostu nie znaczy że *granice Polski uległy przesunięciu*, że właśnie wzdłuż nowych pasów kresowych osiedły liczne Polonie?

Mądra polityka kulturalna szła zawsze po linii faworyzowania odrębności lokalnych, które są twórczym zaczynem w ogólnonarodowym procesie cywilizacyjnym. Dlaczego polskie kresy znad rzeki Świętego Wawrzyńca nie miałyby wziąć czynnego i świadomego udziału w owym procesie? Egzotyzm góralski, folklor kaszubski i śląski, odmienny typ życia na ziemiach wschodnich i zachodnich złożyły się na barwną mozaikę kultur regionalnych; trudno nawet wyobrazić sobie życie umysłowe Polski bez twórczych ośrodków Lwowa, Wilna, Krakowa i Poznania; w latach 1956-1958 — bez Gdańska (Bim-Bom), Szczecina („Ziemia i Morze”), Lublina (KUL), Kielc (teatr Byrskich), nawet Rzeszowa, (prapremiera „Ludzi z martwej winnicy” — Brandstaettera) nie mówiąc o Krakowie czy Poznaniu.

Dążenie do awansu polskiej prowincji znad St. Lawrence River było by w duchu narodowych tradycji.

Jest sprawą wielkiej wagi, aby Polonijni Ojcowie zrozumieli powyższe sugestie. Wtedy może i działacze miejscowi o ton podwyższą poziom swoich wystąpień i organizowanych imprez; prasę lokalną zacząć zasilać pióra i nazwiska, o których wiadomo że niżej „Kultury” i „Wiadomości” słowa pisanego nie uświadcza; Polacy poczną w sobie przyplwy regionalnego patriotyzmu; powstaną nowe pomysły, nowe perspektywy, nieoczekiwane możliwości... Może nawet znajdą się fundusze.

Bo czyż 250-tysięczną zamożną społeczność nie stać na kulturalny rytm — powiedzmy 23-tysięcznego Nowego Sącza? Na jeden miesięcznik literacko-społeczny? Na stały, subsydiowany teatr amatorski? Na kabaret literacki? Na klub dyskusyjny? Na czynny udział w... „Mrzonki” — przerywają rozsądnie myślący. Zobaczymy.

Od grudnia ub. roku wychodzi już „Prąd” (*). Pismo nie jest idealne, a nawet dalekie od tego czym być powinno, aby spełnić pokładane w nim nadzieje. Ale jest — i to wydaje się najważniejsze: przy istniejącym rozproszkowaniu energii należy raczej poprzeć i usprawnić istniejące poczynania niż szukać nowych rozwiązań.

„Miesięcznik ten swoją nazwą i charakterem kulturalno-społecznym wskrzesza tradycję przedwojennego miesięcznika o tej samej nazwie wychodzącego niegdyś na Uniwersytecie Lubelskim a będącego organem polskiej inteligencji katolickiej” — czytamy. Myślenie bezprzymiotnikowe, wiadomo, rzecz niebezpieczna: z „Prądem” stanęliśmy na gruncie katolickim. Nie, nie — nikt nie jest przeciw. Po prostu nie lubimy przymiotników.

Zgadza się z Redaktorem że „pierwszy numer odbiega od zamierzonego ideału”: wiele deklaracji, sztandarologii i odezw w stylu polonijnym z odwołaniem się do odwiecznej misji włącznie; ale szeroki wachlarz poruszanych tematów i raczej niezupełnie ortodoksyjne wypowiedzi — pozwalają marzyć.

Po lekturze trzech kolejnych numerów staje się jasne, iż redaktor miesięcznika, Andrzej Manteuffel — poeta, dziennikarz i artysta-malarz w jednej osobie — nie daje pełnej miary swych możliwości. Dlaczego? W czytelniku powstaje podejrzenie: czy nad pismem i jego redaktorem nie ciąży ograniczenia i wytyczne polonijnych mecenasów? Pan Manteuffel dyskretnie wymija pytania: „Robimy, co możemy” — mówi.

Najbliższe numery wyjaśnią czy „Prąd” *zdoła* się wyzwolić z ciasnego prowincjonalizmu.

Klara SZPAKOWSKA

(*) „Prąd” — Miesięczny dodatek literacko-społeczny tygodnika „Głos Polski”, Toronto.

Komunikat

Nowy York, NY 22 luty 1957

Komisji powołanej przez Zarząd Koła Macierzystego SPK w sprawie wniesionej przez kol. M. Wańkowicza odnośnie artykułu p. Z. Stahla pt. „Monte Cassino” ocenzone przy współudziale autora.

1. Komisja wyraża podziękowanie kol. Wańkowiczowi za zaufanie do Koła Macierzystego SPK i wysiłek jaki włożył, przedstawiając komisji tę sprawę i jej obszerne podłoże.

2. Komisja nie czuje się kompetentną i nie posiada odpowiednich środków technicznych dla przeprowadzenia wszechstronnych badań zarzutów zawartych w wiadomym artykule p. Z. Stahla.

3. Zdaniem Komisji, wydanie w kraju książki pt. „Monte Cassino” niczym nie narusza moralnych praw kol. M. Wańkowicza w należeniu do SPK.

4. Komisja nie czuje się powołaną do wydawania oceny działalności kol. M. Wańkowicza na emigracji, która to działalność stała się przedmiotem dyskusji ogólnie-emigracyjnej a w szczególności w kołach literackich i politycznych. Komisja uważa za niewskazane włączanie się do tej dyskusji.

(—) E. Witt — sekretarz (—) T. Popławski — przewodniczący
S. Gierat S. Jordanowski M. Kowalewski

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwie artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.
Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Książki

Drugi krok w chmurach Marka Hłasko

Nowy tom Marka Hłaski odbiega od poprzedniego przede wszystkim przez swą ambicję. „Cmentarze” i „Następny do raj” nie są już opowiadaniem; przez swą budowę należą do rodzaju powieściowego, do utworów o dłuższym oddechu.

Jury warszawskie, które przyznało mu nagrodę wydawców znajdowało się w pewnym sensie w sytuacji przymusowej, podobnie zresztą jak jury „Kultury”. Wśród polskich nowości literackich nie brak utworów zasługujących na wyróżnienie, nikt jednak z młodych autorów nie dorównuje Hłasce nowością i błyskotliwością talentu. Czytelnicy sceptyczni — jak piszący te słowa — niechętnie poddają się urokom i czarom. Na próżno jednak staram się zmierzyć Hłaskę ustalonym dla rynku literackiego łokciem; na próżno waham się czy zaliczyć mu to, co w jego prozie zdaje się należeć do młodości autora; na próżno przymierzam doń wiersz Rimbaud'a:

*Le jeune homme, devant les laideurs de ce monde,
Tressaille dans son coeur, largement irrité...*

Fakt wielkiego talentu pozostaje. Nie zaćmiewa go również zestawienie z starszymi, wieńczonymi wawrzynem autorami współczesnymi.

Wrażenie odniesione z lektury utworu literackiego nie da się bez reszty opowiedzieć. Mówimy o jego klasyfikacji, aktualności, rzemiośle, nie mieści się natomiast w naszych słowach to, co jest dziełem talentu, to co przypisywano dawniej pocałunkom muz. Byłoby więc może niesłuszne mówić o bardziej wymiernych właściwościach powieści Hłaski, nie powitawszy w nich przedtem rzeczy równie istotnej jak nieuchwytniej, mianowicie wybitnego talentu.

Mark HŁASKO, *Cmentarze. Następny do raj*. Str. 256. (Tom XXVIII „Biblioteki Kultury”, Paryż 1958, cena 800 fr.)

Piszacemu na emigracji trudno jest zrozumieć przyczyny gromów krytyki urzędowej, jakie spadły ostatnio w kraju na Hłaskę, i poznać okoliczności, które sprawiły, że jego ostatnia książka ukazała się drukiem w Paryżu. Jest to być może bez znaczenia dla oceny i przyszłości jego powieści i należy jedynie do kroniki literackiej. Okoliczności te zostawiły jednak pewien ślad na stronicach książki.

Nowy tom Hłaski ozdobiony jest epigrafem z Gogola, mającym w sobie coś przekornego, niemal wzywającego: „Jeden u nas porządny człowiek — prokurator, a i ten, prawdę mówiąc, świnia”. Historia tego cytatu z „Martwych dusz” daje pojęcie o względności ocen słowa drukowanego. Tekst ten ukazał się drukiem w najgorszych czasach carskiej cenzury; czytali go nie tylko cenzorzy i prokuratorzy, ale być może nawet sam Mikołaj I, nikt jednak nie poczuł się obrażony. Inaczej brzmiałby dziś, gdy świat podzielił się na wrogie obozy, przekonane o własnej doskonałości. Nie można więcej powiedzieć „świnia”, aby nie odezwały się natychmiast gniewne głosy: „Kto świnia?”, i aby milicjant nie zapytał: „Kto się wam nie podoba?” Nawet Camus wypowiedział w „Upadku” sąd podobny do gogolowskiego, został objechany przez poważnych krytyków francuskich, dotkniętych w swej godności.

Obrażliwe słowo użyte przez Gogola ma zresztą w dialogach między Wschodem i Zachodem pewne precedensy. Myślę tu np. o „Mea culpa” Céline’a. Wracając z ZSSR, Céline chciał napisać pod jego adresem coś bardzo obelżywego i zrobił to w formie najeżonego szpetnymi słowami monologu, rozwijającego m. in. następującą myśl. Sukinsyny Zachodu mogą tłumaczyć się tym, że żyją w łajdackim ustroju kapitalistycznym, w którym każdy musi się jakoś poświnić. W Rosji nie mają żadnego usprawiedliwienia; świnie są tam świniami z własnego wyboru i gustu.

W stosunkach między emigracją i krajem trzymano się — po stronie emigracji przynajmniej — wręcz odwrotnego rozumowania: „Gdyby ktoś z nas zrobił coś podobnego, powiedzielibyśmy o nim, że świnia, ale oni tam biedni w kraju zapewne tak muszą, nie mogą widocznie inaczej”. Wypadki ostatnich dwóch lat dostarczyły temu rozumowaniu nowych przesłanek. Gdyby Hłasko był emigrantem, część czytelników wzięłaby mu zapewne za złe jego przekorny epigraf. Hłasko nie jest jednak emigrantem i nie zna nawet być może naszej emigracyjnej mitologii. Powieści jego nie biorą jej pod uwagę. Jeżeli jego epigraf ma być zrozumiały i dla nas, możemy go tłumaczyć chyba tylko jako rewindykację praw pisarza, które przysługiwały niegdyś Gogolowi. Za taką interpretacją przemawia także okoliczność, że słowa Gogola stoją na pierwszej stronie samotne, bez dalszego ciągu i bez widocznego związku z resztą książki.

„Cmentarze” mają budowę powieści filozoficznej XVIII wieku i opowiadają dzieje Franciszka Kowalskiego, robotnika,

byłego partyzanta i członka partii. W stanie nietrzeźwym, Kowalski spotkał na ulicy dwóch milicjantów, wobec których zachował się tak, jak gdyby chciał zostać — jego zdaniem najnieślusznij — odprowadzony do komisariatu. Tam inni zatrzymani wzywają mu, w trybie ponurych żartów, że sami słyszeli, jak mówił rzeczy, za które odsiaduje się kilka lat w więzieniu. Rano Kowalski zostaje zwolniony, podpisawszy protokół, którego dobrze nie przeczytał. Wieczorem tegoż dnia podnosi tę sprawę na posiedzeniu komitetu fabrycznego, który wyklucza go z partii. Gdy w domu zwierza się z tego synowi, także członkowi partii, ten ostatni opuszcza dom. Córka jego zostaje wydalona ze szkoły i odbiera sobie życie. Wreszcie Kowalskiemu wymawiają mieszkanie. Zbiedzony i obdarty spotyka na ulicy milicjanta, który go aresztował, i z rozmowy dowiaduje się, że wszystko to było właściwie żartem, że w komisariacie potraktowano go po ojcowsku, chcąc go tylko trochę nastraszyć, aby się taki porządny człowiek nie upijał. Drugim wątkiem powieści jest obchód towarzyszy partyzantów, u których Kowalski szuka na próżno pomocy. Akcja powieści toczy się oczywiście za życia Stalina.

„Następny do rajów” jest powieścią zbliżoną do wzorów naturalistycznych, opisującą środowisko szoferów, zajętych w Karkonoszach zwózką drzewa. Ciężarówki, na których jeżdżą, są stare i zniszczone, zjeżdżanie nimi ze stromizn z ciężkim ładunkiem drzewa jest rzeczą niebezpieczną; wielu ginie wypadkach przy pracy. Ponieważ warunki pracy są mało pociągające, w baraku szoferów zbiera się kompania ludzi wykolejonych, uciekających od policji, niezdolnych do nagięcia się do żadnej dyscypliny i nie znajdujących innej pracy. Partia przysłała do nich żonatego szofera, mającego podciągnąć towarzyszy i zwiększyć wydajność pracy. Pobyt tej pary wśród gwałtowników i wykolejonych przedstawiony jest w kilkunastu malowniczych, jakkolwiek przeważnie tragicznych i posępnych epizodach.

Przy uważnym czytaniu trudno jest dostrzec w tych powieściach próbę krytyki komunistycznego czy jakiegokolwiek innego reżymu. „Cmentarze” przedstawiają wprawdzie w ujemnym świetle działalność policji politycznej w epoce kultu jednostki, lecz robią to ubocznie. Nie jest to zadaniem Hłaski; ta ponura sprawa znana jest zresztą dobrze skąd inąd. O krytyce reżymu można by mówić wówczas, gdyby ludzie i wypadki w tych powieściach ustawione były w jakiejś społecznej skali wartości. Autor jedzie jednak po innych szynach, na których nie może zderzyć się z żadną ideologią społeczną. Klęski jego bohaterów nie wydają się związane z tym czy innym reżymem; warunki polskie nadają im tylko barwę lokalną.

Akcja „Cmentarzy” toczy się dokoła zagadnienia, które można by nazwać kompleksem Samsona. Franciszek Kowalski wykonuje w pewnej chwili gest, rujnujący w ciągu kilku minut całą jego egzystencję, jak Samson ściągający na swą głowę

lawinę gruzów. Czytelnik z przerażeniem śledzi jego dalsze kroki. Kowalski może się jeszcze zatrzymać na brzegu przepaści, ale własny gest wyzwala w nim żywioł samozagłady. Każdy ruch zaciska na nim fatalną pętlę.

Szoferzy z „Następnego do raję” są grupą straceńców wyzywających los. Patrząc bezstronnie, trudno mieć za złe administracji lasów, że nie przysyła nowych samochodów zawodowym niszczycielom sprzętu. Pozbawieni wszelkiej dyscypliny, bohaterowie Hłaski zdają się być przez to nikomu, nawet sobie samym nieużyteczni. Trzymają tylko fason. Widzimy więc ich w jednym szeregu z wszystkimi innymi postaciami literatury klasycznej. Bohaterowie „Iliady” walczą o piękną Helenę, paladyni Karola Wielkiego z „Pieśni o Rolandzie”, Hamlet i Otello, a wreszcie i panowie szlachta z „Ogniem i mieczem” też niczego rozsądnego i użytecznego nie dokonali; trzymali tylko fason, pozostali wierni sobie, dopełnili swego losu, i to wystarcza dla zapewnienia im egzystencji literackiej. Sam więc już charakter postaci Hłaski wskazuje, że powieści jego nie są krytyką lecz literaturą. Nie wiem czy urzędowi krytycy warszawscy tę różnicę dostrzegą i czy wówczas nawet będą z ostatnich powieści Hłaski zadowoleni.

Powieści Hłaski wyłamują się w jakiś sposób z polskiej tradycji literackiej. W prozie jego nie widać dowodów, że autor czytał Żeromskiego czy Sienkiewicza. Z współczesnych pisarzy polskich Hłasko jest być może najbliższy obecnym wzorów zachodnich. Zbliża go do nich i posępny klimat jego świata wyobraźni i strefa ostateczności, przez którą prowadzi swe literackie postacie. Z tymi wzorami należy go więc porównywać, aby dostrzec co w jego utworach jest nowe.

Wspomniałem już o kompleksie Samsona. Gest przywołujący klęskę ma za sobą długą historię literacką. Im bardziej jednak zbliżamy się do naszych czasów, z tym większą ostrożnością autorzy otaczają ten wątek omówieniami i figurami retorycznymi, jak gdyby obawiali się jego nagości. Hłasko porusza się tu z pewnością lunatyka idącego brzegiem dachu. Niespodziany odruch rujnujący wszystko jest w jego relacji decydujący, absolutny, istniejący sam przez się, poza wszystkimi możliwymi do sformułowania motywami. W tej dziedzinie Hłasko zdaje się być prawdziwym odkrywcą.

Widać to z porównania go z najbliższymi mu wzorami Faulknera. Myślę tu np. o „Dzikich palmach”, gdzie nawet atmosfera pracy w kopalni przypomina chwilami hłaskową zwózkę drzewa. Postacie powieści też uwikłują się same w tragiczne sytuacje, idą z otwartymi oczami do klęski i cierpienia bez końca, ale gesty ich znajdują wy tłumaczenie w planie religijnym, w koncepcji życia jako cierpienia i pokuty. Postacie Faulknera pragną tajemnie tej pokuty, przyjmują ją jako sens ich egzystencji. Dlatego też mimo wyroków sądowych i hańby zachowują pewną czystość.

Nie wchodząc w ocenę tej purytańskiej filozofii, przyznać jej należy pewną wartość jako elementowi kompozycyjnemu, pozwalającemu ustawić sceny cierpienia i hańby w szerszej nieco perspektywie. Przy pomocy podobnych zabiegów niektórzy pisarze katolicycy usiłują nadać pozory głębi swym mizernym często powieściom kryminalnym.

Hłasko nie szuka takich ubezpieczeń. Przedsięwzięcie jego stoi na samym tylko talencie. Autor robi wrażenie idącego po linie nad próżnią. Posuwa się z zadziwiającą pewnością; jest jednak jasne, że trwać ani budować w tym położeniu nie może. Klasyczne formuły — jak *Verweile doch, bist du so schoen* lub *Denn alle Lust will Ewigkeit* — nie mają tu sensu. Dotykamy w tym miejscu jakiegoś słupa granicznego literatury, za którym słowa nie mają określonego znaczenia.

Hłasko wstąpił w tę strefę graniczną rezolutnie, młody, śmiały, być może nieco lekkomyślny, gotowy igrać z ogniem. Dzięki tej postawie zachował pewną przewagę nad starszymi, którzy od wielu lat już popasają na tym posępnym manowcu. W właściwym temu miejscu półmroku zacierają się kształty przedmiotów, postacie ludzkie stają się sztywne i schematyczne, jak na mozaikach bizantyńskich w Rawennie. Brak tam warunków dla sztuki realistycznej. Beckett wraca do form zbliżonych do *commedia dell'arte*, prozaicy zdają się cofać wstecz do najdawniejszych wzorów piśmiennictwa europejskiego, do wymowy kościelnej. Gustowanie w tych twórcach neobizantyzmu jest z natury rzeczą udziałem niewielu. Osobiście znajduję w nich smak tylko w chwilach, gdy brak trosk i pośpiechu skłania mnie do pogody i lekkomyślności. Powieści Hłaski zwracają się do szerszego kręgu czytelników. Zmrok nie pochłoniął jeszcze jego postaci; ich barwna faktura realistyczna gra jeszcze w ostatnich promieniach słońca, i tylko uważny czytelnik dostrzeże w nich pierwsze, dyskretne objawy sklerozy. Gdyby Hłasko pisał w jednym z języków Zachodu, miałby wszystkie szanse znalezienia tam równie licznych czytelników, jak w Polsce.

PaWEŁ HOSTOWIEC

O polskiej technice powstań

Truizmem jest powiedzenie, że Powstanie Warszawskie 1944 roku było wielką narodową tragedią. Ogrom poniesionych strat, ogrom poświęcenia, bohaterstwa i zniszczeń wyzwala w Polakach tyle gwałtownych uczuć i afektów, że utrudniają one rozumowe, beznamiętne rozpatrywanie zagadnień z Powstaniem

się wiążących. Zdążyły już narosnąć mity, legendy, apologie, dyskretne przemilczenia i pośpieszne syntezy. Powstanie — tak bliskie jeszcze w czasie — jest już na dobre zadomowione w „panteonie narodowej glorii”, a z drugiej strony jest jednym z centralnych ognisk ogólnonarodowych i indywidualnych swarów. Zdawało się, że nie prędko doczekamy się jakiejś dokładnej i bezstronnej analizy Powstania, w każdym razie nie za życia i pamięci jego uczestników. Nie tylko predyspozycje psychiczne, ale i warunki zewnętrzne temu nie sprzyjały. Na emigracji, brak pełnych materiałów odpowiedzialny był za błędy niezbyt licznych publikacji oficjalnych, takich jak rozdziały traktujące o Powstaniu w dotyczącym Armii Krajowej tomie III dzieła *Polskie siły zbrojne na zachodzie w II wojnie światowej*. Poza popularnymi i propagandowymi broszurami, oraz nielicznymi pamiętnikami, które tym bardziej były powierzchowne, im ważniejsze stanowisko zajmował autor, nie ukazało się nic godnego uwagi. W kraju sama pamięć o Powstaniu była przez długie lata tępiona, a obraz jego był fałszowany, nie mogliśmy się więc niczego stamtąd spodziewać. Sytuacja zmieniła się w okresie odwilży, ale mimo iż zaczęły się pojawiać poszczególne pozycje dotyczące Armii Krajowej i Powstania, nie oczekiwaliśmy jakiegoś wybitnego dzieła przed upływem długiego czasu. Ale zdarzyła się rzecz nieoczekiwana.

W roku 1956 zaczęły się ukazywać w „Kierunkach” odcinki pracy Adama Borkiewicza, zatytułowanej *Powstanie Warszawskie 1944 — Zarys działań natury wojskowej*. Już wtedy można się było zorientować, że mamy do czynienia z dziełem wielkiej miary. W roku 1957 całość wyszła jako książka (*) i początkowe opinie potwierdziły się w zupełności. W trzydziście lat po Powstaniu otrzymaliśmy do rąk dzieło stanowiące definitywne opracowanie przedmiotu, którego dotyczy. W następnych wydaniach poczynione będą zapewne w sporej ilości poprawki i uzupełnienia. Ogólny kształt na pewno nie ulegnie zmianie. Autor zgromadził ogromny i szczegółowy materiał dowodowy i rzeczowy — opierając się na materiałach opublikowanych w kraju i na emigracji oraz na rękopisach, a także na źródłach niemieckich — i na przeszło 700 stronach dużego formatu dokonał dokładnej analizy działań powstańczych na wszystkich terenach i odcinkach walki.

Adam Borkiewicz był sam jednym z wybitnych uczestników opisywanych wydarzeń. Pułkownik Armii Krajowej, członek Komendy Głównej, w czasie Powstania także redaktor dziennika „Barykada”. Książka pozbawiona jest jednakże akcentów subiektywizmu; jest obiektywną analizą historyka, który opisuje fakty, a choć ocen nie unika i niejednokrotnie ocenia surowo, bez retuszu, nie odbiega nigdy od zadania, które sobie wyznał: opisu działań wojskowych. Nie omawia więc politycznej

strony Powstania, która wciąż czeka na opracowanie. W dziedzinie wojskowej Borkiewicz powiedział właściwie ostatnie słowo. Nie wdaje się też z nikim w polemiki, a jeśli rezultatem lektury jego dzieła jest dość jednoznaczna ocena przez czytelnika dowódców Powstania i ich poczynań, winne są temu fakty, które bezstronie zgromadził. Autor szczęśliwie uniknął apoteozowania czy deprecjonowania kogokolwiek. Fakty natomiast mają swą własną wymowę.

Osiągnięcie Borkiewicza jest naprawdę zdumiewające, jeśli się zważy wyjątkowo trudne warunki, w jakich mu przyszło pracować. Zbieranie materiałów, z których tak znaczna część uległa zniszczeniu, nie byłoby rzeczą łatwą w najnormalniejszych czasach, a do takich nie należał okres stalinizmu. Już z początkiem 1949 roku odebrano mu materiały historyczne i pamiętniki, jakie były w jego posiadaniu, a po ukończeniu pierwszej redakcji książki wzięto mu z mieszkania karty bibliograficzne. Użyte one zostały jako „dowody” obciążające w procesie jedynej jego pomocnicy, która była córka Anna — inwalidka z batalionu „Zośka”. Skazano ją na siedem lat więzienia „za gromadzenie i melinowanie materiałów gloryfikujących AK w celu poniżenia AL”. Prześladowania jego i jego najbliższych, oraz zły stan zdrowia, nie odwiodły go jednak od ukończenia i przygotowania do druku — w zmienionych warunkach politycznych — pracy, w której, jak pisze: „starałem się w prostej formie przedstawić tę wielką tragedię mego Miasta”. Udało mu się to w zupełności. Książka jest wstrząsająca, budzi wiele refleksji i uczuć, z których nie najmniej ważnym jest szacunek dla jej autora. Jest coś symptomatycznego w tym, że definitywne opracowanie wojskowych dziejów Powstania wyszło nie spod pióra żyjących i pracujących w spokoju historyków na emigracji, a z rąk prześladowanego człowieka w uwięzionym kraju.

Niewesoła to książka, bo nie było to „dobre” powstanie. Nie było dobrze obmyślane, przygotowane, dowodzone. Co prawda w walce ujawniło się „bezprzykładne poświęcenie i wartość duchowa pokolenia, które na najwyższym poziomie podniosło cechę narodową Polaków: umiłowanie wolności”, ale „małość, egoizm i warcholstwo szły mimowoli na rękę złu”. (Borkiewicz, op. cit. str. 9). Spójrzmy na niektóre fakty tego Powstania w interpretacji autora i w świetle narzucających się refleksji.

W marcu 1944 roku Warszawa została wyłączona z akcji „Burza” — jak to słusznie określił późniejszy wywiad z gen. Borem — by „uniknąć zniszczeń i zaoszczędzić cierpienia ludności cywilnej” (str. 20). Wskutek tego wysłano na prowincję duże ilości broni. W związku z wyłączeniem Warszawy z akcji powstańczej między innymi 7 lipca 1944 roku wysłano do okręgów wschodnich AK 900 pistoletów maszynowych typu „Błyskawica” z amunicją. (N.b. wskutek aresztowań utracono kontakt w owym okresie z magazynem, zawierającym 678 pistoletów maszynowych z amunicją; odkryto go dopiero w 1947 roku). Zna-

(*) Warszawa, wyd. PAX, str. 746 i 6 map.

czenie tych cyfr uświadomimy sobie w całej pełni, gdy się zważy, że w chwili wybuchu Powstania w całej Warszawie były w rękach AK zaledwie 602 pistolety maszynowe. Wszystkie poczynania zarówno Komendy Głównej jak i poszczególnych oddziałów były bazowane na rozpoczęciu walk w terenie. Z własnych wspomnień możemy stwierdzić jak nawet idąc na ostateczną koncentrację oddziały do tego stopnia były przekonane o tym, iż walki będą się odbywać poza miastem, że zabierano z sobą kompasy i namioty.

I nic w tym nie było dziwnego, skoro nawet dla Komendy Głównej pomysł Powstania w Warszawie datuje się dopiero od 24 lipca, gdy „mjr. Chirurg (...) przedstawił z polecenia płk. Montera wniosek o zarządzenie pogotowia dla Okręgu Warszawa i przygotowań do walk w stolicy” (str. 22). Rzecz nie do wiary, a jednak prawdziwa. Teraz, gdy po latach, czyta się wspomnienia dowódców z ostatniej wojny, widzimy jak plany ich zwycięskich bitew były owocem nie tylko bohaterstwa i wysiłku żołnierza, lecz — i to może przede wszystkim — wielu tygodni, czy miesięcy żmudnych przygotowań zespołów sztabowych. Gdy nawet walka w otwartym terenie przedstawia tyle problemów ściśle technicznych koordynacji i planowania, jakie szanse mogła mieć improwizowana w Warszawie walka setek niezależnych grup szturmowych, których jedyną szansą mogło być absolutne zaskoczenie i najdalej posunięta planowość działań?! Na tydzień przed rozpoczęciem akcji zaczęto rozważać sam fakt, czy bitwa o Warszawę odbędzie się, czy też nie. W tych warunkach nie było mowy o dokładnym przygotowaniu wybuchu powstania, obejmującym poza mobilizacją i koncentracją samych oddziałów tak podstawowe kwestie jak rozpoznanie sieci kanałów, sieci telefonicznej, elektrycznej i wodociągowej, rozpracowanie obiektów nieprzyjacielskich, dojścia do nich itd. Do jakiego stopnia zaniedbano te przygotowania świadczy fakt, że osaczone oddziały niemieckie porozumiewały się z sobą telefonicznie, posiadały prąd i wodę (np. dopiero 15 sierpnia odcięto dopływ wody, a 18 sierpnia przecięto połączenia telefoniczne do osaczonego od początku gmachu PAST, który zdobyto 20 sierpnia. Wiele odizolowanych obiektów niemieckich korzystało z wszystkich sieci miejskich do samego końca). Przygotowania te można było prowadzić w konspiracji bez obaw narażania ludności, wykorzystując kontakty w instytucjach miejskich, w polskim przecież mieście. Ale żeby to uczynić trzeba było przewidzieć możliwość walk w tym mieście. Do 24 lipca w każdym razie nie wchodziło to w rachubę, a potem nie było na to czasu, względnie nie przyszło to nikomu na myśl.

Czy na decyzję wahającego się Bora i jego sztabu wpłynęły względy techniczne takie jak rozmieszczenie, gotowość i uzbrojenie oddziałów, czy też względy na wpol emocjonalne takie jak wycofywanie się niektórych jednostek niemieckich z frontu i dochodzące nocami odgłosy dział, nad tym trudno dyskutować. Faktem jest jednak, że nad kwestią uzbrojenia własnych oddzia-

łów Monter prześlizgnął się z frazesem, że „brak broni zastąpi furia odwetu” (str. 24). Uważano poza tym, że siły niemieckie są „oddziałami o miernej wartości” (str. 23). Liczono na pomoc Sowiec, z którymi nie było żadnych kontaktów i co do współpracy z którymi miano już wtedy smutne doświadczenia. Liczono na to, że pierwsze uderzenie będzie pomyślne i przyniesie duże zdobycze w zakresie broni i amunicji; ale uderzenie to nie mogło się udać bez starannego przygotowania. Liczono też bardzo poważnie — i to nie tylko w kołach cywilnych, ale i wojskowych — na przysłanie z Anglii Brygady Spadochronowej, czego dowodzi choćby depesza Komendy Głównej wysłana do Londynu (str. 22). W jaki sposób jednak samoloty pasażerskie, jakimi przecież były transportowce typu „Dakota”, miały się przedrzeć przez cały teren ówczesnych Niemiec, zamieniony w jedną wielką twierdzę przeciwlowniczą, najeżoną osrodkami artylerii i lotniskami myśliwców, z którymi wielkie kłopoty miały przecież potężnie uzbrojone „Fortece” i „Liberatory”, używane do pojedynczych zrzutów nocnych?! W jaki sposób wreszcie miano zrzucać żołnierzy i sprzęt na tereny zabudowane, a w najlepszym wypadku porośnięte drzewami, tego jakoś wojskowi fachowcy na stopniu sztabowym nie wzięli pod uwagę. A zresztą brygada taka — choćby nawet dostarczona ze stratami — nie mogłaby być zaopatrywana z powietrza i straciłaby znaczną część swej wartości bojowej. Być może jednak liczono na jej znaczenie polityczne (str. 22).

Historia powzięcia ostatecznej decyzji jest niewątpliwie skomplikowana i sporą rolę odegrał tu przypadek. Dnia 27 lipca o godz. 10 rano na odprawie Komendy Głównej głosy obecnych były równo podzielone na tych, którzy byli zwolennikami natchmianowej akcji i tych, którzy byli zdania, że należy ją odłożyć na termin późniejszy. Niemieckie zarządzenie o obowiązku stawiania się ludności do prac fortyfikacyjnych (zupewnie zresztą zignorowane przez ludność) spowodowało natychmiastowy rozkaz płk. Montera zarządzający pogotowie bojowe, którym to rozkazem postawił on Komendę Główną przed faktem dokonanym. Mimo to pogotowie zostało odwołane (powodując, rzecz jasna, dodatkowy chaos), a na odprawie porannej w dniu 31 lipca ustalono, że „walka nie zostanie podjęta 1 sierpnia i mało jest prawdopodobne podjęcie jej 2 sierpnia” (str. 27). Wobec tego na odprawę popołudniową przybyło tylko paru oficerów. W trakcie odprawy zjawiał się płk. Monter z — nieprawdziwym jak się potem okazało — meldunkiem „o wkroczeniu czołgów Armii Czerwonej na Pragę” (str. 27). W porozumieniu z delegatem rządu gen. Bór o godz. 18 wydał rozkaz rozpoczęcia Powstania w dniu 1 sierpnia o godz. 17-ej.

W świetle tych faktów nie ulega wątpliwości, że „decyzja powstania w Warszawie... była pod względem wojskowym pośpieszną, a jednocześnie przenikniętą niezdecydowaniem improwizacją, przekreślającą nie tylko dotychczasowe wysiłki operacyjne, ale i zasady przemyślane i wpojone w ogół członków

Armii Krajowej w okresie konspiracji" (str. 28). Godzina W, choć zaskoczyła Niemców, nie dała jednak powstańcom istotnych atutów do ręki. Z kart historii Borkiewicza wylania się obraz kompletnego bezładu, w którym tylko parę oddziałów zaatakowało wybrane cele i to w sposób nie dający wiele szans powodzenia. Brak łączności, który ciężko zaważył nad dalszym losem bitwy, miał tutaj znaczenie decydujące. Dowództwa obwodów, nie mające kontaktu z własnymi oddziałami, były tylko w nieco lepszej sytuacji niż sama Komenda Główna, gdzie „gen. Bór tylko z odgłosów walki i z dachu fabryki Kamlera” dowiadywał się o jej przebiegu (str. 88). A dowódca Okręgu płk. Monter wydał rozkaz wywieszenia flag narodowych, „by orientować się, która dzielnica walczy” (str. 129). Taka wątpliwa „łączność flagowa” prowokowała jedynie niemiecki ogień, powodując dodatkowe straty (np. na wieży ratuszowej, szczycie Prudentialu i innych). Jak źle wyglądała sprawa łączności niech zaświadczy fakt, że nawet po kilku dniach walki niektórzy dowódcy obwodów sądzili, iż powstanie już się załamało i zdecydowali się na wymarsz z miasta do lasów. Ppłk. Żywiciel z Żoliborza zabrał jednak z sobą podległe mu oddziały; ppłk. Grzymała z Ochoty zgubił ich część; natomiast ppłk. Przegonia z Mokotowa wycofał się tylko osobiście ze swoim pocztem do lasów chojnowskich, porzucając swoje oddziały, z którymi i tak nie miał kontaktu. Oddziały z Ochoty zostały zmasakrowane na otwartych polach pod Pęciami. Oddziały żoliborskie po bezsensownej wędrowce powróciły i obsadziły znowu swoją dzielnicę. Godny uwagi jest fakt, że był sprzęt radiowy, np. dla łączności stronnictw politycznych, czy redakcji pism z Londynem (pisze o tym Korboński w swoich wspomnieniach *W imieniu Rzeczypospolitej*). Na ten cel była osłona, lokale, technicy. Natomiast niemal nie było radiostacji krótkofalowych do działań wojskowych na szczeblu dowództw (choć używały ich niektóre mniejsze jednostki). Można by odnieść wrażenie, że dowódcy z doświadczeniem wojny 1920 roku o radiu... nie słyszeli.

Wskutek wadliwie przeprowadzonej i zbyt krótkiej mobilizacji, oraz chaosu, jaki nastąpił, siły powstańcze zostały już przy samym wybuchu obcięte o 60%. W działaniach powstańczych brak było elementu całkowitego zaskoczenia nieprzyjaciela, brak było przewagi ilościowej, nie mówiąc już o straszliwej niższości ogniowej. Nic dziwnego, że szturm przyniósł ogromne straty. Nawet w rejonach najbardziej zwartej zabudowy zdobyto bardzo niewiele spośród planowanych obiektów nieprzyjacielskich. Na obszarach luźniej zabudowanych, o dłuższym przedpolu wyniki były również fatalne. Na przykład kompania „01” z „Baszty” poniosła 66% strat szturmując przez pola fort mokotowski bez przygotowania artyleryjskiego — w XX wieku sprawa beznadziejna. Ocalał jedynie pluton odwodowy. Fort Dąbrowskiego miał być atakowany przez oddział uzbrojony w jeden pistolet z dwoma nabojami i dwa granaty. (Na szczęście załoga fortu wyniosła się jeszcze przedtem do Wilanowa).

Oplakane skutki miały też natarcia na lotniska — na Okęciu i na Bielanach.

Trzeba było dopiero kilku dni, by odrobić skutki zbyt pośpiesznego wybuchu. Oddziały skonsolidowały się, choć w wielu wypadkach były to resztki rozbitych lub pogubionych oddziałów, mające nowych dowódców. Nawiązano łączność i zaczęto oczekiwać na rzuty. Ciekawie wygląda w ujęciu Borkiewicza ocena sytuacji owego okresu, którą podaje on z relacji dowódców zarówno polskich jak niemieckich. Dowódcy niemieccy spodziewali się, że pierwszy impet natarcia będzie kontynuowany, że nastąpią nowe i silniejsze natarcia powstańców. Spodziewano się akcji oddziałów AK z zewnątrz Warszawy, dywersji na tyłach i ataku na linie komunikacyjne, którymi ściągano do Warszawy niemiecka odsiecz z terenu Śląska i Poznańskiego. Jednakże mel-dunki dowództwa polskiego z owych dni ograniczają się do podkreślenia bohaterstwa żołnierzy i cierpień ludności oraz prób o pomoc z Londynu. „Dowódca Okręgu... mniemał... że czas pracuje dla nas” i „prosił Komendę Główną (AK! przyp. nasz — Z.C. i B.T.) o przyspieszenie wkroczenia Armii Czerwonej” (str. 104). Ale przecież względy techniczne uniemożliwiały efektywną pomoc z zachodu, inne zaś względy, które leżą poza zasięgiem pracy Borkiewicza, uniemożliwiły niewątpliwie współpracę z Armią Czerwoną. Tak więc już po kilku dniach inicjatywa całości bitwy przeszła w ręce niemieckie, choć oczywiście strona polska przeżywała inicjatywę w szeregu bardziej lokalnych walk. Paradoxem Powstania był fakt, że wybuchło ono jako szturm mający na celu zdobycie miasta, a ograniczyło się niemal całkowicie do walk obronnych. Niemcom udało się zepchnąć Polaków w szereg oddzielnych kotłów, mających niezmiernie utrudnioną łączność z sobą. Stało się to zwłaszcza — jak wspomnieliśmy — wskutek zaniedbania technicznej strony łączności, która opierała się prawie wyłącznie na bohaterstwie i poświęceniu pieszych łączników. Komenda Okręgu, a tym bardziej Komenda Główna, przejawiała swą inicjatywę tylko w paru oderwanych wypadkach, i to po paru tygodniach trwania Powstania.

Jak wiadomo główny ciężar natarcia niemieckiego skupił się na Woli, później na Starym Mieście, które to dzielnice stanowiły istotną przeszkodę dla niemieckiej linii zaopatrzenia oddziałów walczących po przeciwnej stronie Wisły. Obrońcy Woli i Starówki, którzy wchodzili w skład najlepiej wyszkolonych i uzbrojonych oddziałów Warszawy, stawiali opór przez 30 dni, tym niemniej za cenę swego niemal całkowitego zniszczenia. Czas ten można było wykorzystać dla zorganizowania wydajnej pomocy dla Warszawy z rejonu puszczy kampinoskiej, gdzie zgrupowały się oddziały, których uzbrojenie równało się uzbrojeniu wszystkich obrońców Warszawy. Zajmowały też one doskonałą strategiczną pozycję do uderzeń odciążających na tyły oddziałów niemieckich atakujących Wolę i Stare Miasto (Mogłyby być one zasilone przez kadrowe oddziały zgrupowania „Rado-

ślaw", które jednak niepotrzebnie wytracono w linii na najcięższych pozycjach Woli i Starego Miasta).

Zdaniem Borkiewicza kulminacyjnym punktem, od którego zaczynała się klęska Powstania, była noc 21-22 sierpnia, kiedy to zużyto znaczny potencjał broni i ludzi z obwodów północnych i Kampinosu w nieudolnym natarciu na Dworzec Gdański. Natarcie to miało przynieść pomoc osaczonym oddziałom Starego Miasta, ale przeprowadzono je zbyt późno i w punkcie, który przesądzał z góry jego wynik. Klęska ta, okupiona stratą 500 żołnierzy, przypieczętowała los Starego Miasta, po upadku którego losy innych dzielnic były już przesądzone. Tygodnie obrony Starówki zostały zmarnowane przez przebywające w Śródmieściu dowództwo Okręgu, które nie było w stanie wyjść poza koncepcje nierealne, a w praktyce „podtrzymywało” opór Starego Miasta takimi środkami jak posłane 28 sierpnia „nieco amunicji” i trzech podpułkowników „na dowódców odcinków” (str. 398). Jedyny zasadniczy plan strategiczny Komendy Okręgu przewidywał wielki manewr od południa, polegający na uderzeniu z dolnego Mokotowa na górny Czerniaków. Akcję tę montowano zbyt późno i zbyt nieudolnie.

Po przesądzeniu się losów Starego Miasta sytuacja oddziałów powstańczych Warszawy stała się beznadziejna także w opinii dowództwa Okręgu Komendy Głównej. Walka przeszła w okres zwany przez Borkiewicza „bitwą o przetrwanie”. Istotnie, nic już nie mogło ocalić oddziałów polskich okrążonych w mieście. Nieprzyjaciel — pomimo niewątpliwie ciężkiej dla siebie sytuacji na froncie wschodnim, zdołał ściągnąć do Warszawy silne oddziały, które poddano jednolitemu kierownictwu (von dem Bach). Wprowadzono też zorganizowaną silną obronę przeciwlotniczą, która — łącznie z faktem poważnego zmniejszenia się terenów nadających się do zrzutów — przyczyniła się do niemożności wydatnego zaopatrywania Warszawy, pomimo bezprzykładowego bohaterstwa lotników z baz we Włoszech i Anglii. Przykładem tego jak beznadziejnie oceniano w Komendzie Głównej sytuację miasta jest fakt, że już dnia 26 sierpnia Komenda Główna zgodziła się na wycofanie z marszu na Warszawę niektórych oddziałów z rejonu Pilicy. Nawiązano też z początkiem września pierwszą próbę rokowań o kapitulację Warszawy, którą jednak przerwano na pogłoski o zbliżaniu się frontu rosyjskiego do Warszawy. Borkiewicz pierwszy daje szczegółowy obraz tych rokowań, o których do tej pory wiedzieliśmy bardzo mało.

We wrześniu też wysunął się na pierwszy plan problem ogromnej wagi, w stosunku do którego — jak się wydaje — nigdy nie umiano zająć należycie przemyślanego stanowiska, i to zarówno przed Powstaniem jak i podczas niego, a także do chwili obecnej. Jest to problem stosunku do zbliżającej się armii sowieckiej. Problem ten ma trzy aspekty: wojskowy, polityczny i moralny. Borkiewicz z wyjątkową konsekwencją (którą można by

połecić innym polskim historykom) ogranicza się do właściwego tematu swej książki, to jest do pierwszego z tych zagadnień. Armia Czerwona w Powstaniu Warszawskim udziału nie brała. Niemniej jednak ciekawym — a do tej pory rzadko opisywanym obiektywnie epizodem — jest kwestia udziału polskich oddziałów I Armii. Opisy krajowe z ubiegłego okresu przedstawiają te sprawy wybitnie tendencyjnie, w najlepszym wypadku podkreślając brak jakiegokolwiek współdziałania czy też chęci nawiązania kontaktu ze strony AK, przed Powstaniem. W najgorszym wypadku oskarżają się powstańców o zdradę i koszarytę z Niemcami. Na emigracji przemilcza się te sprawy, lub podnosi się usiłowania nawiązania łączności na stopniu batalionu, i to w momencie, gdy walka trwała już od miesiąca, a los jej był przesądzony.

Dopiero z kart książki Borkiewicza wyłania się pełny obraz wysiłków oddziałów polskich I Armii Przyjścia z pomocą Warszawy. Poza lądowaniem 9 p.p. na Czerniakowie, które było jedynym, gdzie powstańcy nawiązali bezpośredni kontakt z oddziałami I Armii (przeprawiono 1.307 żołnierzy, a 247 poległo przy samej przeprawie), było przecież inne, tak jak lądowanie dwóch batalionów 6 p.p. na Żoliborzu i ich kompletne zniszczenie (poległo 250 żołnierzy, 218 dostało się do niewoli, ewakuowało się tylko 13 zdrowych i 137 rannych). Mało też mówi się o stosunkowo wielkim lądowaniu 8 p.p. na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Podczas przeprawy tej utonęło 300 żołnierzy, a przeprawiło się 873, z czego ocalało po ciężkich walkach 84 zdrowych i 80 rannych. Miało także miejsce lądowanie na Siekierki z Kępy Goławskiej przez żołnierzy I Dywizji. Oddziały polskie wyginęły po beznadziejnej walce, gdyż w owym czasie powstańcy byli już odcięci od brzegu Wisły (z wyjątkiem Powiśla czerniakowskiego). Oczywiście odcięcie powstańców od Wisły było wynikiem działań niemieckich mających na celu właśnie niedopuszczenie do utworzenia przyczółka i połączenia sił powstańczych z frontowymi oddziałami polskimi i sowieckimi.

Wydaje się, że lądowania oddziałów I Armii na warszawskim brzegu nie były robione z inicjatywy sowieckiej, a były przejawem solidarności narodowej Polaków, do niedawna niedocenianym. A jednak jakiegokolwiek by nie były poglądy polityczne dowódców, nie możemy przyjąć, że Polacy w mundurach I Armii walczyli i ginęli z mniejszym poświęceniem niż Polacy ubrani w panterki i kombinezony powstańcze. O kulisach tej inicjatywy i o jej następstwach po samej walce mało dotąd wiadomo, a warto by opublikować — jeśli nie w Polsce to zagranicą — istniejące materiały. Chyba relacja wydarzeń dziś już historycznych nie ugodzi w... dzisiejszą rację stanu.

Oddziały I Armii lądujące na Żoliborzu stoczyły swoją samotną walkę w odległości 200 metrów od pozycji powstańców, którzy nie wiedzieli o ich istnieniu. Na Czerniakowie było trochę inaczej, gdyż skutkiem decyzji powziętej przez dowódcę odcię-

tego zgrupowania płk. Radosława oddziały powstańcze utrzymały przyczółek nawet za cenę odcięcia od reszty powstańczej Warszawy. Łądowania te nie uratowały sytuacji. Po tygodniu walk pozostało 140 powstańców i 620 berlingowców. Tymczasem dowództwo AK zaczęło znowu rozmyślać o kapitulacji, a dowództwo I Armii zaniechało forsowania Wisły. „Opuszczona przez jednych i drugich załoga przyczółka na Solcu rozegrała ostatni 24-godzinny bój — najcięższą, a zapewne i najszczytniejszą walkę na przestrzeni całego Powstania” (str. 606). Do ostatniego domu i żołnierza. W tym samym dniu gen. Bór spaceruje po Śródmieściu z gen. Monterem, i dochodząc aż do linii frontu rozmawia z posterunkiem o kwiatach (str. 611) oraz dekoruje srebrnym krzyżem *Virtuti Militari* kilku oficerów, między innymi ppłk. Sławbora, dowódcę Śródmieścia południowego, który dziesięć dni przedtem bez wielkiej troski dopuścił do odcięcia Czerniakowa i nie przejmował się zbytnio niemieckim natarciem na tę dzielnicę (str. 564). Piekło Czerniakowa i srebrne krzyże w Śródmieściu — jednocześnie. Taką rozpiętość miał powstańczy los.

Padły potem kolejno — według ustalonego już wzoru — dzielnice Mokotów i Żolibórz, oraz rozbite zostało zgrupowanie kampinoskie, a Śródmieście poczuło się zmuszone do kapitulacji. Wzory się powtarzały nie tylko, jeśli chodzi o niemieckie natarcia, ale także jeśli chodzi o postawę polskiej strony. Żołnierz bił się zażarcie, do upadłego. Dowództwa natomiast nie przejawiały inicjatywy, nie miały żadnej koncepcji. Poszczególne dzielnice nie pomagały innym, nie zdając sobie sprawy z tego, że o paręset metrów od nich rozstrzyga się także ich własny los. Sprawiało to wrażenie, jakby czekały potulnie na swoją kolejkę do rzezi.

Chwiejna i bierna postawa wojskowych przywódców Powstania potwierdziła niestety w całej rozciągłości słuszność dyrektywy Rządu Narodowego z roku 1863, którą autor przytacza jako motto do części swej książki :

„Oddział (powstańczy) trzymający się tylko odpornie zostawia prawie zawsze nieprzyjacielowi wybór miejsca i chwili do boju : nigdy prawie nie wie o jego ruchach, dozwala mu ściągnąć zewsząd wszelkie możliwe siły, a więc same tylko niekorzyści osiągając, ostatecznie naraża się na pewną klęskę” (str. 101).

Rzuca się też w oczy niedocenianie przez dowódców technicznej strony walki. W przygotowaniach do Powstania nie położono należytego nacisku na nowoczesną łączność. Wiele środków i sposobów walki było wynikiem improwizacji powstańczej. Fakt, że na przykład kanałów użyto dopiero w drugiej fazie i nie posiadano nawet ich planów, a prowadzono beznadziejne natarcia przez otwarte pola, jest tylko jednym z wielu dowodów. Dowodów na to, iż Powstanie w znacznej mierze przegrano dla

tego, że nie zrealizowano podstawowej zasady konspiracyjnego regulaminu walki powstańczej, która głosiła :

„Dowódca, planując walkę powstańczą, musi skierować cały wysiłek na oswobodzenie się z nawyków myślowych, zasad regulaminowych i przedwojennego wyszkolenia, a kierować się jedynie własnym zdrowym rozsądkiem i wyobraźnią” (str. 11).

Zbigniew CZAJKOWSKI

i Bolesław TABORSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZAGRANICZNE

WÓYCICKI (Stanisław). *Słońce świeci tak samo*. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1958, cena 16 sh.).

GROSS (Feliks). *Druga rewolucja przemysłowa*. Zagadnienia współczesnego socjalizmu. Str. 271. (Wyd. „Światło”, T. I, „Biblioteki Społecznej”, Paryż, 1958).

Między Rosją a Niemcami. Polska i Czechosłowacja Str. 24 (Nakł. Klubu Niezależnych Polaków w Chicago, USA, 1957).

Conrad żywy. Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Redaktor: Wit Tarnawski. Str. 303 + 1 nlb. + 10 wkładek kredowych z reprodukcjami zdjęć rodzinnych oraz facsimile rękopisów. Obwoluta Z. Turkiewicza. Wydawca: B. Swiderski. Londyn, 1957. Cena 24/6, opr. 30/—.

Wypiański żywy. Książka zbiorowa wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Red.: Herminia Naglerowa. Str. 233 + 3 nlb. + 10 wkł. kredowych z reprodukcjami dzieł malarskich St. Wypiańskiego. Obwoluta Z. Turkiewicza. (Wyd.: B. Swiderski, Londyn 1957, c. 24/6, opr. 30/—).

KANTAK (Kamil X.). *Mickiewicza i Towiańskiego Sprawa Boża*. Str. 123. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1957, cena 5 sh.).

HALECKI (Oskar). *Historia Polski*. Str. 316. Z angielskiego tłum. J. Bielatowicz i Z. Kozarynowa. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Tom IV serii Zielonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, luty 1958, cena 15 sh.).

CZARNYSZEWICZ (Florian). *Losy pasierbów*. Str. 332. (Wyd. „Libella”, Paryż 1958, c. 850 fr.).

- BREGMAN (Aleksander). *Najlepszy sojusznik Hitlera*. Studium o współpracy niemiecko-sowieckiej 1939-1941. Str. 163. (Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Londyn, 1958, cena 18/6).
- SOSABOWSKI (Stanisław). *Najkrótszą drogą*. Str. 286. (Wyd. Komitet Wydawniczy Polskich Spadochroniarzy, Londyn, 1957. Skład Główny: Veritas Publication Centre, Londyn, c. 30 sh).
- MACKIEWICZ (Joseph). *Las fosas de Katyn*. Wstęp Arthur Bliss-Lane. Str. 243. (Wyd. Ediciones Paulinas, Zalla (Hiszpania), 1957).
- SZYSZMAN (Simon). *Die Karäer in Mitteleuropa*. Str. 24-54. (Przedruk z „Zeitschrift für Ostforschung. Länder und Völker im östlichen Mitteleuropa. Zeszyt 1, 1957).
- SZYSZMAN (S.). *Le roi Bulan et le problème de la conversion des Khazars*. Str. 69-76. (Przedruk z „Ephemerides Theologicae Lovanienses. T. XXXIII, zeszyt 1, 1957. Ed. Pontificaux, Bruges).
- TYMIENIECKA (A.-T.). *Essence et existence*. Essai sur la philosophie de Nicolai Hartmann et Roman Ingarden. Pp. 252. (Editions Mouton, Paris, 1957, fr. 990).
- JESMIAN (Czesław). *The Russians in Ethiopia*. An essay in Futility. Str. 160. (Wyd. Chatto and Windus, Ltd., Londyn, 1958, cena 25 sh.).
- First Population Census of Sudan*. 1955-1956. Seventh Interim Report. Str. 61. (Wyd. The Republic of Sudan, Ministry for Social Affairs, Population Census Office, Khartoum, listopad 1957).
- i Eight Interim Report. Str. 52.
- ZALESKI (Eugène). *L'Europe de l'Est face au marché commun et la zone de libre échange*. Pp. 18 (Powielacz, wyd. Commission de l'Europe Centrale et Orientale, Paris, 1957).
- POLTAWA (Leonid). *Rimski Soneti*. Str. 30. (Wyd. „Ukraiński Wisti”, Monachium, 1958).
- Lyrische Blaetter* Nr. 13, Februar 1958. Gedichte junger polnischer Autoren (Ansgar Skriver Verlag, Berlin, Dahlem).
- POLONUS. *Retour à la grandeur*. Au Général de Gaulle en hommage. Str. 8. (Wyd. Londyn, 1958).
- KRIDL (Manfred). *The Lyric Poems of Julius Slowacki*. Str. 77. Tome VI „Musagetes”. Contributions to the History of Slavic Literature and Culture edited by D. Cizewskij. (Ed. Mouton and Co, S-Gravenhage, 1958).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Le Problème du Mouvement*. Pp. 145-188. (Odbitka z „Revue de l'Université d'Ottawa”, Lipiec-sierpień 1957).
- SASKI (Witold) i BUKOWIECKI (Henryk). *Pharmaceutical Education in Poland*. Str. 38-50. (Odbitka z „American Journal of Pharmaceutical Education”, Vol. 22, Nr. 1, 1958).
- Latviesu Trindas Izdevumu Bibliografija 1955 (Bibliography of Latvian Publications Published outside Latvia 1955)*. Str. 63. (Wyd. American Latvian Association in the United States, Inc., Foundation for Latvian Culture, Washington, D.C. 1957).
- BARTON (Paul). *Conventions Collectives et Réalités ouvrières en Europe de l'Est*. Pp. 287. (Les Editions Ouvrières, Paris, 1957, fr. 750).
- FRIEDMAN (Philip). *Their Brothers' Keepers*. Str. 224. (Wyd. Crown Publishers, Inc, New York 1958, cena dol. 3.-).
- Manifest der Rada der Weissruthenischen Volksrepublik*. Str. 15.
- CAMUS (Albert). *L'Envers et l'Endroit*. Pp. 126. (Ed. Gallimard, Tome LXXXVIII Collection „Les Essais”, Paris, 1958, fr. 320).
- Ten-Year Report and Current Projects 1948-1958*. Str. 107 (Russian Res.earch Center, Harvard University, Cambridge, Mass., USA, 1958).

Listy do Redakcji

Paryż w lutym 1958 roku.

W tym roku, w 75-tą rocznicę zgonu Cypriana Norwida, zawiązał się w Hôtel Lambert, w Paryżu, KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI CYPRIANA NORWIDA.

Geniusze nie bywają zazwyczaj przez współczesnych rozumiani, bo wyprzedzają utarte światopoglądy i przyjęte systemy. Świadom był tego Norwid, kiedy pisał: „SYN MINIE PISMO, LECZ TY SPOMNISZ WNUKU”.

Dzisiejsze pokolenie „wnuków” docenia już i wertuje skarby NORWIDA-ARTYSTY i NOWIDA-POETY. Należałoby tylko udostępnić i rozpowszechnić zasób jego bogactwa, aby literatura i sztuka ojczysta mogły z niego czerpać natchnienie i odnajdywać nowe prądy.

Tymczasem NORWID-FILOZOF, NORWID-MYŚLICIEL błąka się nadal, zaledwie spostrzeżony, jak cień własny TUŁACZA-WYGNAŃCY, a stosunek jego do katolicyzmu, jego pojęcie wiary i patriotyzmu chyba z jego prochami w grobie na Montmorency dotychczas jeszcze spoczywają. A szkoda, bo kryją najcenniejsze skarby jego wszechstronnej twórczości, owoce głębokiej myśli, dojrzałe wskazania i znamienne przestrogi.

Jakże pełnią treści brzmi jego ocena bytu ludzkiego: „Gdy życia koniec szepcze do początku: „Nie stargam cię ja-nie! — ja u-wydatnie!” A jakż dojrzałość polityczna bije z jego pojęcia patriotyzmu, który „musi być siłą twórczą a nie siłą wypojedynczenia i zeschnięcia... Jeżeli przeto energii jest 100 a inteligencji 3 i to jeszcze niczem nie uprawnionej społecznie, tedy zawsze energia wyskoczy i uniemożliwi wszelki plan i co lat kilkanaście poda pokolenie jedno na rzeź w jatkach, gdzie przypadkiem zabijani będą bezimienni bohaterowie”.

Sam Norwid dochodził do twórczości po „samodzielnych bojach”, których ślady jakby *rylca w kruszcu* albo *śluta w glazie* znaczą jego prozę i wiersze.

Pozostaje on dla nas dziś jak te „rozłożone ręce drogowszkazu” do pracy rozumnej, solidarnej i wytrwałej i do tego „spół-uczucia”, które nas czyni „przystępnymi do innych bytów”.

KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI CYPRIANA NORWIDA projektuje nabożeństwo za spójki jego duszy w dniu 18 maja w Kościele Polskim w Paryżu i otwarciu IZBY NORWIDA z wystawą jego pamiątek w celi Nr 12 Zakładu św. Kazimierza w Paryżu, 119 rue du Chevaleret, w której przeżył 6 ostatnich lat i gdzie życie zakończył. Projektuje się

ponadto urządzenie Akademii ku uczczeniu pamięci Norwida w połowie października.

W wykonaniu tego projektu proszę posiadaczy obrazów, rysunków i rękopisów, albo innych pamiątek Norwida, o łaskawe wypożyczenie na czas trwania obchodu, i wysyłanie tychże na mój adres w Londynie: 20 St. Stephens'Close, N. W. 8, albo kierować na adres księdza Franciszka Stawarskiego: Institut Polonais St. Casimir, 119 rue du Chevaleret, Paris (13).

Dary na urządzenie Izby Norwida, na wykonanie i wmurowanie medalionu z brązu z jego popiersiem, będą z wdzięcznością przyjmowane na konto: „AMIS DE L'ART POLONAIS”, c/c PARIS 15.230-65 z zaznaczeniem: NA FUNDUSZ NORWIDA, pod adresem: AMIS DE L'ART POLONAIS, 11-bis Avenue de Ségur, Paris (7).

Za Komitet Uczczenia Pamięci Cypriana Norwida

Stefan ZAMOYSKI

Berkeley, Calif., 27 marca 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

„Ostrzeżenie” umieszczone w nr 3/125 „Kultury” w sprawie emigracyjnego pismka „Po Prostu” wydawanego pod firmą rosyjskich „solidarystów” jest bardzo słuszne. Jakikolwiek udział Polaków zarówno w wydawaniu tego pismka, jak i w zjeździe urządzonym przez solidarystów jesienią ub. r. we Frankfurcie należy uznać co najmniej za dziwny — tym dziwniejszy, że poważniejsze sfery emigracji rosyjskiej — tak na prawicy jak na lewicy — obserwują działalność solidarystów z wielką nieufnością. Niemniej jednak pewne tezy wspomnianego „Ostrzeżenia” budzą we mnie sprzeciw. Tak np. „Ostrzeżenie” mówi, że „sprawy emigracji rosyjskiej są nam zupełnie obce”. Jeżeli ma to być stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy, tedy należy się starać, aby ten stan rzeczy uległ zmianie. Po pierwsze dlatego, że *nihil humani...* Po drugie, bo jesteśmy też emigracją i w ośrodkach skupiających emigrację wschodnio-europejską żyjemy z nią „pod jednym dachem”. Po trzecie — jesteśmy Słowianami i od tego faktu nie uciekniemy, choćbyśmy po tysiącokroć powtarzali truizmy o „Zachodzie” lub „kulturze łacińskiej”. Po czwarte wreszcie — jesteśmy emigracją o 20 lat młodszą od rosyjskiej i wiele moglibyśmy się od niej nauczyć o wzlotach i upadkach na ciemnym szlaku uchodźczym. (Gdybyśmy w czasie wojny — a i po wojnie — byli mniej pewni siebie i mniej wyniośli, to byśmy — mając przed oczami smutne doświadczenia „białych” Rosjan — zaoszczędzili sobie dużo błędów i rozczarowań).

Również budzi we mnie sprzeciw twierdzenie, że „sprzymierzeńców widzimy w tej części młodej inteligencji rosyjskiej, z którą młoda inteligencja Warszawy i Krakowa, Poznańa i Wrocławia łatwo uzyskuje porozumienie”. Pomijam pytanie, czy owo porozumienie jest tak bardzo łatwe. Pomijam też pytanie, co przedstawia młodzież rosyjska — leningradzka i moskiewska: czy są to antykomuniści, czy raczej „dobrzy” komuniści walczący ze stalinizmem i z jego falą powrotną?... Po prostu nie widzę racji abyśmy nie szukali sprzymierzeńców również wśród emigracji rosyjskiej. Zrzucając niełatwe zadanie osiągnięcia przyjaźni polsko-rosyjskiej wyłącznie na barki młodzieży polskiej w kraju tym samym nie tylko rezygnujemy z ważnej części

naszej emigracyjnej pracy politycznej, ale zdajemy się odrzucać możliwość porozumienia z emigracją rosyjską, choćby tylko na polu kulturalnym. Prócz różnych zmiennych i chodzących „zawilutymi ścieżkami” posunięć białej emigracji w ciągu ostatnich 40-tu lat, nie należy zapominać o wspaniałym wkładzie tej emigracji do kultury rosyjskiej (a i wszechświatowej) — wkładzie, od którego młodzież rosyjska w Rosji jest niemal zupełnie odcięta. Pamiętać też trzeba, że dziś „biała” emigracja nie składa się z samych „dienikowników”: są oni raczej na wymarcu. Dostała ona natomiast poważny zastrzyk w postaci licznych pisarzy, publicystów i naukowców, urodzonych i wychowanych w Rosji sowieckiej, a którzy pragną walczyć na Zachodzie o uwolnienie swego kraju od komunizmu — nie koniecznie pod sztandarem solidarystów.

Rozumiem, że „Ostrzeżenie” miało na myśli przede wszystkim porozumienie polityczne, a nie kulturalne. Dowodem — parę artykułów o rosyjskich pisarzach emigracyjnych, które się ukazały w „Kulturze”. Ale i to porozumienie („kulturalne”) wygląda skąpo i trochę jednostronnie. Czytelnik „Kultury” może bowiem wyobrazić sobie, że na emigracji rosyjskiej byli tylko Bunin i Remizow, że nie było Marka Aldanowa tłumaczonego na kilkanaście języków, że nie pisze fascynujący, *surrealistyczny* (pozwalam sobie podkreślić ten przymiotnik) Sirin-Nabokow, że nie istnieje Georgij Iwanow uważany przez niektórych krytyków za największego współczesnego poetę rosyjskiego (nie tylko emigracyjnego!).

Wracając jednak do porozumienia politycznego powtarzam pytanie: dlaczego nie mamy szukać sprzymierzeńców politycznych wśród emigracji rosyjskiej? Czy mamy trwać w postawie wyniosłej i abstrakcyjnej izolacji? Czy emigracja rosyjska nie posiada pewnej wagi gatunkowej — co *najmniej* równej wadze gatunkowej naszej emigracji? Czy nie szukamy sprzymierzeńców dlatego, że porozumienie nie byłoby łatwe? Czy może dlatego, że za tym lub innym politykiem lub grupą rosyjską może zaiść się obca agencja, prowokacja, „wtyczka” lub inne mętne źródło?... (Co do ostatniego zastrzeżenia zauważyłbym, że ostrożność nie zawadzi w każdym porozumieniu politycznym, nawet gdy mamy do czynienia z najbardziej „rodzimiymi” partnerami).

Pewne zażenowanie budzą użyte w „Ostrzeżeniu” słowa o emigracji rosyjskiej „...szukającej za wszelką cenę sojuszników” i o jej skłonnościach do „ruchów faszystowskich”. Przede wszystkim nie tylko Rosjanie mieli „ciągotki” faszystowskie. (Miałbym zresztą pewne wątpliwości co do używania wyrazu „fasyzm” jako pojęcia gatunkowo i ilościowo równego pojęciom „hitleryzmu” i „komunizmu”). Po drugie — kiedy mowa o „sojusznikach”, trudno się opędzić wspomnieniom, jak to polski premier na wygnaniu nazywał Stalina po powrocie z Moskwy „genialnym strategiem”, jak tenże premier w czasie swego pobytu w Ameryce w r. 1942 agitował za „drugim frontem”, jak wreszcie nasza AK na Wschodzie współpracowała z partyzantami sowieckimi, którzy mordowali nie tylko ziemian polskich, ale i „kułaków” białoruskich i poleskich. Zażenowanie moje zrozumie ten, kto przeczytał wspaniałą „Kontrę” Józefa Mackiewicza, wydaną zresztą nakładem „Kultury”.

Zbiegiem okoliczności w dniu, gdy przeczytałem „Ostrzeżenie”, otrzymałem drogą bardzo okrojoną, bo z Polski, wiadomość, że pewien nasz sędziwy publicysta emigracyjny potępił publicznie jeden z klubów londyńskich za to, że ten udzielił swej sali na jakąś imprezę „białych” Rosjan. Mam nadzieję, że Autorzy „Ostrzeżenia” nie aprobują tak dalece posuniętego „izolacjonizmu”.

W nadziei że Pan Redaktor nie odmówi umieszczenia tych kilku uwag łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Toronto, 14 marca, 1958.

Szanowny Panie Redaktorze —

„Nie bądźmy dziećmi”

Klub Artystyczno-Literacki oraz Stowarzyszenie Techników Polskich w Toronto złożyły podziękowanie i prezent prof. K. Estreicherowi (list prof. Estreichera, nr 3/125 Kultury) za odczyt z którego wierne sprawozdanie napisał p. Heydenkorn (Kultura 1/123 — 2/124).

P. Heydenkorn był łaskaw dla prof. Estreichera. Pragnę dodać że prof. Estreicher w swojej gawędzie mówiąc o urządzeniu się Polaków w Rosji, ujawnił zdumionym słuchaczom na czym to (urządzenie się) polega: „Nie bądźmy dziećmi — mam znajomego, którego żona nie wraca z Rosji, bo znalazła sobie tam przyjaciela”. W dalszych słowach sugerował zebrany, że dla tej samej przyczyny szereg innych Polaków nie powraca z Rosji.

Sądzę, że wielu uczestników odczytu ze zdumieniem dowiedziało się z „Kultury” o prezencie i podziękowaniu, które dwie organizacje torontońskie uważały za stosowne składać za tego rodzaju wystąpienie. Zaiste — nie bądźmy dziećmi.

(—) Marian Tymoteusz CHYLIŃSKI

P.S. Należy wnieść ze styczniowy zeszyt Kultury dotarł do Krakowa przed 4-tym lutym i w świetle recenzji p. Heydenkorna słusznie prof. Estreicher ocenił że: „nie czuje się w możności przyjęcia tak cennego daru”.

Drogi Panie Redaktorze,

Poproszę i ja o głos.

My, wspominkarze, sprawiamy nieraz kłopot historykom, podając fakty bez dokumentacji, bez daty — których ani rusz sprawdzić nie można. Naturalne jest przypuszczenie, że wzięte są z powietrza. Dwa powiedzonka Józefa Piłsudskiego, które przytoczyłem należały do tych, które przytaczano bardzo często w Warszawie. Powtórzyłem je jako coś znanego.

Przecież pochodzą one w istocie nie od kogo innego tylko od tego, komu je przypisywałem.

Polska jest skazana na wielkość powiedział Komendant Piłsudski na zebraniu dnia 10 listopada 1918-go roku. P. Władysław Pobóg-Malinowski wspomina o tym zgromadzeniu (T. I, str. 3 i 8 do 17) wymieniając niektórych jego członków. Opowiadał mi o tym wymieniony przez mojego Szanownego Adwersarza kol. Tadeusz Święcicki, a potwierdził to niewymieniony uczestnik pułk. Jerzy Iwanowski, późniejszy minister RP.

Przystanek niepodległości — słyszałem sam z ust Marszałka Piłsudskiego. Przed bankietem z powodu zjazdu legionistów w roku 1923-cim byłem przedstawiony Naczelnikowi Państwa w jakimś nowym charakterze (nie po raz pierwszy zresztą). Wprowadzał mnie jako gospodarza min. Galecki. Marszałek był mocno schrypnięty i zmęczony. Uśmiechnął się i zupełnie zdawkowo powiedział „Znamy się, jeszcze z PPS” i zwracając się do obecnych raczej niż do mnie Włodzimierza Tetmajera i gospodarza dodał „Partia, którą opuściłem na przystanku niepodległość”. Brzmiało to, jakoby potwierdzenie czegoś, co się nie raz i przy różnych sposobnościach mówiło.

Pozwoli mi Pan, Drogi Redaktorze, zakończyć słowami poważania dla Pana Władysława Pobóg-Malinowskiego i podziękuję za miłe słowa, którymi poprzedził swe sprostowanie.

Łączę serdeczne wyrazy dla Pana

A. UZIEMBŁO

Salisbury S.Rhodesia 8. 4. 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

Właśnie otrzymałem Nr 3/125 „Kultury” i, ponieważ zaczynam zwykle od czytania listów do Redakcji, pierwsze co przeczytałem to list mjr. dypl. S. Zochowskiego w sprawie N.S.Z.

Sprawy Borowa nie znam, nie otrzymując zaś żadnych pism z Kraju nie znam tekstu audycji rozgłośni „Kraj” i „Po Prostu” z 12 maja 1957, wspomnianych w powyższym liście. Będę natomiast bardzo wdzięczny za wydrukowanie powyższego listu w imię prawdy i jako przyczynek do wszechstronnego oświetlenia działalności N.S.Z. na tle wspaniałego i bohaterskiego Polskiego Ruchu Podziemnego.

Powstanie Warszawskie zastało mnie na ulicy Hrubieszowskiej na Woli, na tyłach fabryki Philipsa. Po upadku Woli, w sobotę 5-go stycznia, przedostałem się przez Grzybowską, Plac Żelaznej Bramy, wówczas pod obstrzałem z Cedergrena, na Stare Miasto, zabierając ze sobą paczki gazet, literatury powstańczej z ruin gmachu Ministerstwa Skarbu na Placu Bankowym. — Na Starówce przebywałem na ul. Długiej 23, (Gmach Archiwum Akt Dawnych). Tam początkowo przebywał Sztab Dowódcy Generala Bora-Komorowskiego (o czym dowiedziałem się o wiele później). Nie będąc w stanie przed upadkiem Starówki przedostać się kanałami do śródmieścia, w sobotę rano, 2-go września, zostałem zabrany przez SS-owców i pędzony łącznie z dziesiątkami tysięcy ludności cywilnej na Dworzec Zachodni, skąd przewieziono nas do obozu w Pruszkowie, mieszczącego się w warsztatach kolejowych. Po kilkudniowym pobycie tam, aczkolwiek przeznaczony podczas tzw. selekcji do transportu do Niemiec, przedostałem się do transportu „wybrakowanego”.

Zawieziono nas do Opoczna, gdzie zaopiekował się nami miejscowy oddział R.G.O. Po krótkim obozowaniu w magazynach zbożowych i zwyczajnie na rynku w mieście, przydzielono nas do różnych okolicznych wiosek i zakwaterowano u miejscowych gospodarzy. — W ten sposób znalazłem się w pierwszych dniach września 1944 we wsi Kolonia Zachorzów, 10 kilometrów od Opoczna, na skraju lasu, u gospodarza Franciszka Kupisa. Do tej samej wioski przyszło i przyjechało jeszcze kilkanaście rodzin uchodźców wypędzonych z Warszawy.

Niemcy na wsi się nie pokazywali, byliśmy całkowicie pod władzą i „opieką” oddziału leśnego. Chłopcy z tego oddziału często w białe dni przychodzili i rozmawiali z nami. Pewnego razu, pamiętam, przywlekli nawet na wpół rozbitą samochód niemiecki, zabrany na szosie po zlikwidowaniu „pasażerów”. Obawialiśmy się represji, ale Niemcy się nie zjawili. Było zupełnie oczywiste, że Niemcy wówczas panowali tylko w miastach i na głównych drogach, unikając bocznych osiedli, wiosek, zwłaszcza przylegających do lasów.

Oprócz mnie i mego kolegi, b. adwokata, również Żyda i żony jego, w tej samej kolonii była jeszcze jedna rodzina żydowska oczywiście pod przybranymi nazwiskami, na tzw. aryjskich papierach, również wygnańcy z Warszawy. Rodzina ta składała się z siedmiu osób podzielonych w ten sposób, że stara matka z córką i wnuczką mieszkaly razem, po sąsiedzku z nami, syn — inżynier z żoną i kilkunastoletnim synem oddzielnie na drugim końcu wioski i drugi syn samotny jeszcze gdzie indziej. Aczkolwiek pod różnymi nazwiskami i pozorując zupełnie obcych sobie, czynili to tak nieudolnie, że łatwo można było się zorientować, że to bliscy sobie ludzie. Z wyglądu niestety również nie przedstawiali „typu aryjskiego”, zwłaszcza stara matka i córka.

Otóż w nocy z 10-go na 11-ty października usłyszeliśmy płacz i krzyki, a nazajutrz rano dowiedzieliśmy się, że około północy N.S.Z. oddział leśny zabrał ich wszystkich, zmusił torturami do przyznania się, że są Żydami, sporządził formalny protokół piśmienny o tym i po zamordowaniu w bestialski sposób na skraju lasu pięciu osób, dwoje pozostałych, związanych, samotnego syna i chłopca kilkunastoletniego, nakazał sołtysowi zawieźć do Opczna do Gestapo, co też sołtys uczynił. — Rozmawiałem z sołtysiem po jego powrocie z tej szlachetnej misji... Opowiedział, że Gestapo bardzo pochwaliło ten wielce piękny uczynek, poleciło leśnym chłopcom kontynuować poszukiwanie Żydów, a jemu jako władzy nakazało pochować zwłoki pomordowanych, ponieważ bohaterzy z N.S.Z. zostawili ich na miejscu zbrodni nie pogrzebanych, bestialsko pokaleczonych, z wyklutymi oczami. Podaje poniżej nazwiska pomordowanych:

1. Sitkowska,
2. Żeleńska Halina Julia,
3. Żeleńska — dziecko 6-7 lat,
4. Dudziński — inżynier,
5. Dudzińska — żona,
6. Dudziński — syn lat 13-15,
7. Kaczorowski.

Są to oczywiście nazwiska przybrane, pod którymi się ukrywali: ani prawdziwych nazwisk ani szczegółów, dotyczących tych ludzi, nie byłam w stanie ustalić, gdyż nazajutrz mój gospodarz, Franciszek Kupis, wziął mnie do stodoly, aby mu rzekomo pomóc w nacięciu sieczki i tam powiedział mi, że dowiedział się, że najbliższej nocy, albo następnej (w zależności od innych zadań) mają przyjść po nas celem sprawdzenia, bo powzięli podejrzenie, że i my Żydzi. — Spędziliśmy całą noc ukryci w naci kartoflanej, gdyż natychmiastowa ucieczka spowodowałaby pościg i schwytanie nas. — Ponieważ noc przeszła spokojnie, nazajutrz rano pozostawiliśmy nasz mizerny dobytek w postaci paru żelaznych garnków, misek i łyżek oraz jedyne bogactwa — koców — udaliśmy się jak gdyby nigdy nic do Opczna, a stamtąd w dalszą wędrówkę.

Już po wojnie w 1945 r. spotkałem w Warszawie p. Nowickiego, byłego reżysera teatrów poznańskich, a wówczas urzędnika Ministerstwa Oświaty. Był on z żoną i dwojgiem dzieci jedną z rodzin, przebywających w tym samym czasie w tej wsi. Opowiedział mi, że nazajutrz po naszym zniknięciu z Zachorzowa N.S.Z.-owcy szukali nas i byli wściekli na chłopów za nie przeszkodzenie w ucieczce i że on sam miał dużo kłopotu i trudu przekonać tych bohaterów, że jego żona brunetka z fiołkowymi oczami, kresowianka, nie jest Żydówką. Ze dopiero przysięgi na krzyż, wyrecytowanie wszystkich paciery, no i ostateczny przekonujący dowód w postaci dwóch nieobrzezanych synków i jego samego zdołały dopiero uspokoić sumienia N.S.Z.-owców.

Podczas mych dalszych peregrynacji, kryjąc się już odtąd nie tylko przed Gestapo i SS, ale i przed polskimi oddziałami N.S.Z., starałem się dowiedzieć, co to za oddział był tam w okolicy Opczna stacjonowany. — Udało mi się z zupełnie pewnego źródła dowiedzieć, że to był oddział N.S.Z. podległy Świętokrzyskiej Brygadzie Bohuna.

Czy potrzebne są inne dowody ścisłej współpracy N.S.Z. z Niemcami w sferze mordowania Żydów?

Powyżej opisany wypadek jest jednym tylko z wielu znanych mi z tego okresu.

W wypadku zainteresowania się powyższą sprawą służę nazwiskami sołtysa oraz innych świadków tego mordu, a w szczególności „obywatela”

który się najwięcej zasłużył przy wytropieniu tej nieszczęśliwej rodziny i bardzo bolał nad tym, że ja mu się wymknąłem.

Z wyrazami poważania

M.H. GARWIN
(b. adwokat)

New Britain, 30 marca 1958.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 3/125 „Kultury”, w dziale korespondencji, został zamieszczony przez Pana list majora dypl. S. Zochowskiego, w którym autor bez trudu paruje szereg zarzutów, wysuniętych przeciwko N.S.Z. oraz Brygadzie Świętokrzyskiej przez Mieczysława Moczara, na łamach tygodnika „Po Prostu” z dnia 12 maja 1957 roku.

Nie jesteśmy prenumeratorami wzmiankowanego tygodnika, ale dzięki uprzejmości kolegów z Australii, otrzymaliśmy wspomniane wydanie tegoż i dlatego pragnęlibyśmy, jako byli żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, dorzucić kilka sprostowań oraz faktów. Podkreślić chcemy, że stanowiska, zajmowane przez nas w Brygadzie, należały do podrzędnych, to znaczy, że byliśmy szeregowymi.

Zadaniem, jakie sobie wytyczyliśmy w tym liście, nie będzie bynajmniej analiza tych, czy innych założeń ideowych N.S.Z., bo do tego nie jesteśmy powołani. Pragnęlibyśmy tylko przedstawić kilka faktów z naszych osobistych przeżyć, które najlepiej może zobrazują ówczesną sytuację w kraju na tym odcinku, tak fałszywie przedstawionej przez Moczara w jego elaboracie.

1. W relacji Moczara istniały podwóczas na terenie województwa kieleckiego bataliony, a nawet brygady A.L. W danym wypadku Moczara, albo cierpi na zanik pamięci, względnie używa terminów takich, jak batalion lub brygada, jako ignorant spraw wojskowych, którym prawdopodobnie jest. Istnieje jeszcze inna możliwość, że chce on uwypuklić znaczenie A.L. w podziemiu polskim przez stworzenie z niej, ale tylko w swej bujnej wyobraźni, organizacji wybitnie spoitej, jaką A.L. nigdy nie była. Istnienie takich grup, czy oddziałów, znanych na tym terenie Polski pod nazwą Garbatego, Maślanki, Białego oraz Starego, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale czy działalność ich była na wysokości zadania, jeżeli chodzi o polską rację stanu, to jest kwestia innego rodzaju.

Na podstawie obserwacji tych oddziałów stwierdzić z całą pewnością musimy, że nie przedstawiały one sobą jednostek o wysokich walorach bojowych. Fakty mówią same za siebie. Nie zajmowały się one bynajmniej, jak to wynika z relacji Moczara, „wysadzaniem i szturmowaniem setek podciągów” okupanta, ale starały się przetrwać okupację, terroryzując mieszkańców okolicznych wiosek i majątków ziemskich.

2. Moczara wspomina w swym artykule o zetknięciu się z Brygadą Świętokrzyską pod Zagnańskiem. Niemiecki pociąg pancerny wraz z własowcami brał udział w akcji pod Węglami, ale nie pod Zagnańskiem. Węgale od Zagnańska są odległe około kilku kilometrów. Drobnostka. Brygada zatrzymała się tam na czasowy postój dla wchłonięcia zakonspirowanych ochot-

ników, napływających z wiosek i miast. Moczar twierdzi, że w akcji pod Zagnańskiem, po usłyszeniu czterech salw armatnich, nastąpiła „niczym niezamącona, zagadkowa cisza”. Dla wyjaśnienia sytuacji wysłano kompanię filizjerów A.L. (co to jest?) pod dowództwem Sokoła, którą Brygada zamiast nawiązania łączności, rozbroiła. Dopiero reakcja Moczara, który na tym terenie był odpowiedzialnym za całość oddziałów A.L., w postaci ultimatum, skierowanego do dowódcy Brygady, miała spowodować zwolnienie kompanii A.L. w pełnym uzbrojeniu. W rzeczywistości stan faktyczny przedstawiał się trochę odmiennie. Dowódca oddziału A.L. nawiązał łączność z Brygadą, zapewniając, że grupa, do której on należy, ubezpieczy tyły Brygady w czasie walki z Niemcami. W przebiegu dalszej akcji, w której silny ogień artylerii i ciężkiej broni maszynowej pociągu pancernego wyrządził poważne straty w szeregach Brygady, wycofującej się z wioski Kaniów w kierunku na lasy okoliczne, okazało się, że „bojowe” oddziały A.L. zniknęły, niczym kamfora, z pola walki, zostawiając nasze tyły nieubezpieczone. W relacji Moczara jakoby miał dowódca Brygady, Bohun podjechać samochodem do niemieckiego pociągu pancernego, aby strzelaninę pomiędzy jego oddziałami a Niemcami wyjaśnić jako zwykłe nieporozumienie. Bohun samochodu nie posiadał. Nikt z żołnierzy Brygady nie dawał żadnych sygnałów kocami, workami, czy innymi podobnymi przedmiotami, mają to być Moczar, w celu przekonania Niemców, że oddziały polskie nie mają w stosunku do nich wrogich zamiarów. Jasne chyba jest, że Brygada jako oddział partyzancki, nie rozporządzający specjalnymi środkami walki, była bezsilna wobec pociągu pancernego, stawiła natomiast czoła konnym formacjom własowców. Moczar zapewnia, że jednostka A.L. była świetnie uzbrojona i tak silna, że mogłaby z łatwością pokonać i Brygadę i Niemców. Wobec tego, dlaczego groźba Moczara nie została wykonana?

3. W dalszej części swego artykułu, Moczar wymienia akcję Brygady, a także przy współudziale Niemców, na oddział A.L., dowodzony przez kapitana Białego pod Rzębcem.

Akcja Brygady na oddział Białego miała rzeczywiście miejsce, ale bez współudziału 2000 (dwóch) tysięcy Niemców, jak to przedstawia Moczar, ale jako akt prewencyjny przeciwko oddziałowi, w skład którego wchodzili skoczki spadochronowi o wybitnie azjatyckich rysach twarzy, znani z okrucieństw w stosunku do ludności polskiej, a unikania w uwikłanie się w walkę z Niemcami. Wobec tego likwidacja wymienionego oddziału była dla Brygady kwestią jej bezpieczeństwa.

Brygada poszczycić się może wieloma akcjami, które miały miejsce w rejonie Wislicy, Czarnocina, Raszkowa, Ostrowa (w kieleckim), Nagłowic, Radkowa, Cacowa, Wiśnicz, Huty Drewnianej, Tunelu oraz innych. Są one najlepszym dowodem, że Brygada nie zwalczała, jak to sobie życzy Moczar, przedstawicieli A.L., ale biła się przede wszystkim z Niemcami. Jeżeli akcje Brygady przeprowadzane były przeciwko oddziałom A.L., to tylko wówczas gdy zagrażały one istnieniu Brygady, działając pośrednio na rozkaz Moskwy.

Relacje Moczara nie grzeszą zbytnią dokładnością ani prawdą. Robią one wrażenie, że przyjeżdżał on do swych oddziałów z dobrze zakomunikowanej „meliny” i bardziej polegał na sprawozdaniu swych podwładnych, starających się przypodobać dowódcy, niż zapoznawał się z rzeczywistym stanem rzeczy w polu przez branie udziału w akcji.

Pozostając w głębokim szacunku kreślićmy się

byli żołnierze Brygady Świętokrzyskiej
(nazwiska znane redakcji)

Bridgeport, dnia 8 kwietnia 1958

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałem przebaczyć p. mjr. dypl. Żochowskiemu, ale nie mogłem. Muszę więc coś napisać. W imieniu prawdy.

W związku z listem p. mjr. d. Żochowskiego i wzmiance o 27 DP AK (Kultura Nr 3/125 str. 154) oświadczam:

1. 27 DP Wołyńskiej nie była przedmiotem „wachlarza wszystkich kierunków politycznych” AK, natomiast uznawała postawę AK jako istotną i akceptowała ją.

2. 27 DP miała własne cele i zadania zakreślone w dniu 27. IX. 1939 r. i niezmiennie do chwili rozbrojenia przez Sowietów w Skrobowie pod Lubartowem (tj. w woj. lubelskim a nie na Wołyniu, jak podaje p. mjr. d. Żochowski).

3. „Likwidacja” 27 nie była wynikiem „nieprawdopodobnej współpracy”, lecz brakiem współpracy w kierunku reprezentowanym przez AL czy GL. Tu nasuwa się mimo woli pytanie, czy jednostki postępujące zgodnie z poglądem p. mjr. d. nie zostały zlikwidowane? Jeśli tak, to czy nie zostały zlikwidowane w sensie „zasad”?

4. Używanie nazwy 27 DP jako argumentu w dyskusji o posmaku politycznym, bez znajomości warunków w jakich ta jednostka powstawała i istniała, świadczy o zbyt pochopnym i pozbawionym głębszego przemyślenia sposobie uzasadniania swych życzeń.

Podaję do wiadomości p. mjr. d., że 27 DP Wołyńskiej była bezpartyjna i w jej szeregach znajdowały się różne narodowości: Polacy, Czesi, Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, Niemcy, Gruzini i Węgrzy. Przy wypełnianiu swych zadań niepodległościowych, przez Dywizję, nikt z przedstawicieli tych narodowości nie miał uzasadnionych powodów do zażaleń. Może ten właśnie ogólnoludzki i wielonarodowościowy charakter w składzie 27 DP wytworzył wartości o jakich żaden z regulaminowo myślących żołnierzy nie miał wyobrażenia. Przekrój społeczny był tak samo różnorodny, jak i narodowościowy. Brak było tylko przedstawicieli większej własności, ale i w tym wypadku, przy dobrej woli, można wykazać punkty usprawiedliwiające. Z tego widać, że 27 DP Wołyńskiej jest raczej wdziesięcznym materiałem dla badań przyczyn ochetnego składania najwyższej ofiary w celu osiągnięcia wolności; nie nadaje się natomiast jako argument w rozgrywkach wojskowo-politycznych. Wobec tego pana mjr. dypl. Żochowskiego proszę: „świętości nie szargać”.

Do zabrania głosu upoważnia fakt, że od początku powstania 27 DP Wołyńskiej, aż do jej „zlikwidowania”, miałem zaszczyt być w składzie tej jednostki jako „pierwszy partyzant Wołynia” oraz to że moi Koledzy (więc i wzmiankowany ppłk. Oliwa) polegli nie za AK, lecz za wolność całego Kraju, więc i Wołynia.

Obecnie nie można dopuścić, by Ci najlepsi żołnierze kresowi stali się pionkami w rozgrywkach dyskusyjnych ludzi nie znających istoty sprawy. Większej krzywdy wyrządzić nikt im nie może.

Łączę wyrazy poważania

W. JASTRZĘBIEC

Toronto, Kanada.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mój kolega biurowy, biały Rosjanin, pochwalił mi się kartką pocztową z życzeniami noworocznymi, którą otrzymał od swych ziomek z Nowego Yorku.

Pocztówka wydana przez Yaremenko w N. Yorku przedstawia wspólnego carskiego czarnego orla dwugłowego. Pośrodku herb ze św. Jerzym, na obu zaś skrzydłach rozmieszczone są herby krajów wchodzących w skład dawnego Imperium. Na prawym skrzydle u góry widnieje herb Polski z orłem w koronie.

Czyżby przedstawiciele „białego caratu”, rosyjscy emigranci w Stanach Zjednoczonych, dostrzegli znaki na horyzoncie politycznym wróżące im restytucję carskiego „Imperium”? Czy sądzą także, że Polacy uroczą się i spontanicznie przyozdobią głowę przyszłego cara polską koroną królewską? „Życzenia Noworoczne 1958” zdają się o tym świadczyć.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Z. SZPIKOWSKI

London, 20 marca 58 r.

Szanowny Panie Redaktorze.

Jaka szkoda, że tak interesujący, aktualny i potrzebny artykuł Henryka Schoenfelda pt. „Granica troski” zawierał tak dużo słów o polskich końcówkach. Wprawdzie autor stara się uzasadnić ich stosowanie, nie zmniejsza to jednak uczucia zakłopotania podczas czytania wspomnianego artykułu. Wydaje się, że autor, poza świadomym wprowadzaniem nowych wyrazów, nieświadomie również ulega wpływowi języka angielskiego. Pozwolę sobie podać kilka przykładów błędów z tej drugiej kategorii; większość umyślnych nowotworów nie potrzebuje cytaty.

Znajdujemy oto w przypisku na str. 15 słowo „konfuzja” zamiast „zamieszanie”, żywcem przetłumaczone z angielskiego, bo „konfuzja” po polsku jednak ma inne znaczenie; jest podtytuł „Hazard biologiczny”, gdzie z sensu wynika, że słowo hazard użyte jest w znaczeniu angielskim ryzyka; są „implikacje” (?) na str. 23, wiersz 16 od dołu; nie wiadomo dlaczego „ionizacja” (str. 16 wiersz 13) zamiast „jonizacja”. Te poślizgnięcia się sprawiają, że trudno jest przyjąć bez zastrzeżeń wywody autora, że, np.: „...słowo „promień” ma w języku polskim tak pozytywny klimat... że „radiacja”... lepiej tłumaczy trudną, scjentyficzną groźbę radioaktywności”. To stwierdzenie ma raczej charakter subiektywny, zwłaszcza wobec zilustrowanego wyżej wpływu języka angielskiego.

Uczono mnie niegdyś, że ten język polski jest dobry, który mając do wyboru słowo pochodzenia polskiego i obcego o tym samym znaczeniu, wybiera słowo polskie. Poza tym język polski na pewno tworzy się w kraju, a nie na emigracji; na emigracji tworzą się żargony, które często stanowią źródło śmiechu dla Polaków w kraju.

Nie należę do żadnej z kategorii krytyków wspomnianych przez autora w przypisku na str. 15. Ot, po prostu lubię dobry język polski, lubię każdy dobry język i doznaję nieomal fizycznej przykrości, gdy język ten jest niepotrzebnie zniekształcany i gdy w dodatku dzieje się to na łamach „Kultury”.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Stanisław CHMIELEWSKI

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA „KULTURY”

CZESŁAW MIŁOSZ

KONTYNETY

(ZBIÓR ARTYKUŁÓW
O PISARZACH RÓŻNYCH KRAJÓW,
NOTY, WIERSZE, PRZEKŁADY POETYCKIE)

JAN KOWALIK

KULTURA

(BIBLIOGRAFICZNA ANALIZA 10 LAT 1947-1957)

PAWEŁ ZAREMBA
HISTORIA POLSKI

(DO ROKU 1957)

HOWARD FAST
KRÓL JEST NAGI

W tłumaczeniu Juliusza Mieroszewskiego

JAMES BURNHAM
EPOKA MENADŻERÓW

(Tytuł prowizoryczny)

Nowość

Biblioteka "KULTURY"

TOM XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

Izrael w Poezji Polskiej

(Antologia)

Antologię tę traktujemy jako akt moralny i polityczny, na miarę naszych środków. Nic nie zdoła przekreślić wielowiekowej obecności Żydów na ziemiach Rzeczypospolitej. Jeżeli budowle i dokumenty uległy przeważnie zniszczeniu, to ślad pozostawiony w literaturze jest niezatarty. Przybierające w Polsce na sile tendencje szowinistyczne, będące owocem polityki ubiegłych lat dwunastu, znajdują nieraz ujście w niechęciach rasowych, podsycanych przy tym celowo przez wpływy wschodniego sąsiada. W tych warunkach każdy głos protestu przeciwko jali sarmatyzmu i ciemnoty ma znaczenie. Głosów takich z Polski słyszymy niewiele, są one ostrożne i łkliwe. Dlatego postanowiliśmy wydać antologię która przypomina, że w dorobku polskich poetów na przestrzeni dziejów nigdy nie brakło utworów poświęconych troskom, problemom i tragediom ich żydowskich współobywateli. Całkowity dochód ze sprzedaży książki ofiarujemy na pomoc Żydom-repatriantom ze Związku Sowieckiego.

Cena frs 1.800 (35 sh., \$ 5,00).

Londoni korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2^e Trimestre 1958

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszycza, Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo	50 cruz.	300 cruz.	500 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 220 fr.	21 sh. 1.100 fr.	42 sh. 2.200 fr.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	75 cent.	4 dol.	6 dol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Związkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Goblnerstr. 7/1	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	18 kor.	33 kor.	
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431			
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm			
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent. 3 sh. 9 d. 300 lires	4 dol. 21 sh. 1.750 lires	6 dol. 42 sh. 3.000 lires
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11			
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27			

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

TOM XXVIII BIBLIOTEKI "KULTURY"

**Nagroda Literacka
"Kultury"**

MAREK HŁASKO

CMENTARZE

NASTĘPNY DO RAJU

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Cena egzemplarza : 800 franków (2 dol., 15 sh.)